

JOSEPH DELANEY

KRONIKI
GWIEZDNEJ
KLINGI

NOWY MROK

KONTYNUACJA KULTOWEJ SERII
KRONIKI WARDSTONE

JOSEPH DELANEY

KRONIKI
GWIEZDNEJ
KLINGI

Nowy Mrok

Przełożyła
Paulina Braiter

Jaguar

Spis treści

Dedykacja

Mapa

ROZDZIAŁ 1. Tajemnicza śmierć

ROZDZIAŁ 2. Dziewczyna o mysich włosach

ROZDZIAŁ 3. Źle się dzieje

ROZDZIAŁ 4. Gdzie mieszka potworek

ROZDZIAŁ 5. Purrai nie mają żadnych praw

ROZDZIAŁ 6. Pomóż mi, proszę

ROZDZIAŁ 7. Gwiezdna Klinga

ROZDZIAŁ 8. Uczniowie Johna Gregory'ego

ROZDZIAŁ 9. Kępa pokrzyw

ROZDZIAŁ 10. Nawiedzony dom

ROZDZIAŁ 11. Odmiana rzadka i wyjątkowa

ROZDZIAŁ 12. Głosariusz Nicholasa Browne'a

ROZDZIAŁ 13. Próba Toma Warda

ROZDZIAŁ 14. Matka i córka

ROZDZIAŁ 15. Dziewczyna jak ty

ROZDZIAŁ 16. Kości małych dzieci

ROZDZIAŁ 17. Zajęcia praktyczne

ROZDZIAŁ 18. Vartek

ROZDZIAŁ 19. Pościg

ROZDZIAŁ 20. Błysk fanatyzmu

ROZDZIAŁ 21. Zapiski Grimalkin

ROZDZIAŁ 22. Czasy się zmieniają

ROZDZIAŁ 23. Krzyk bogina

ROZDZIAŁ 24. Początek podróży

ROZDZIAŁ 25. Zabójca Shaiksa

ROZDZIAŁ 26. Znak

ROZDZIAŁ 27. Książę Stanisław

ROZDZIAŁ 28. Przeczucie śmierci

ROZDZIAŁ 29. Najgorszy dzień mojego życia

ROZDZIAŁ 30. Rozpacz Grimalkin

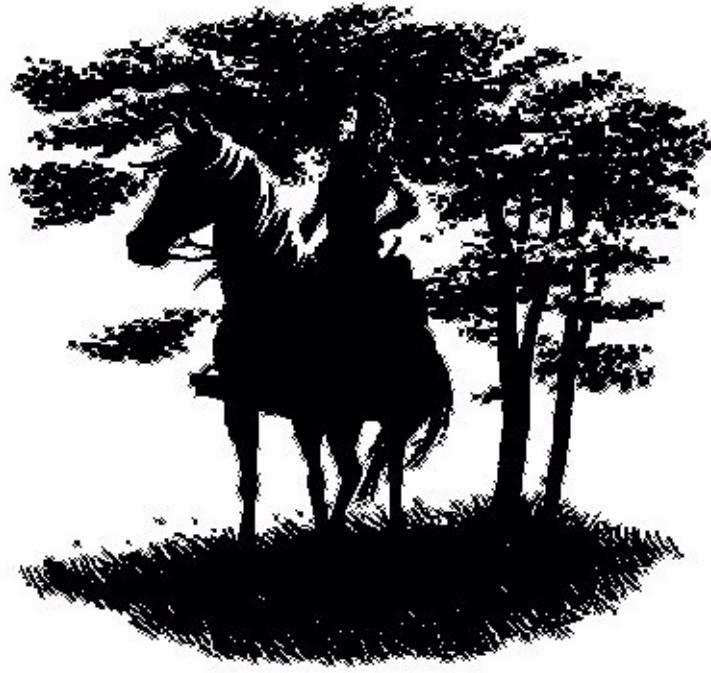
ROZDZIAŁ 31. Obmywanie ciała

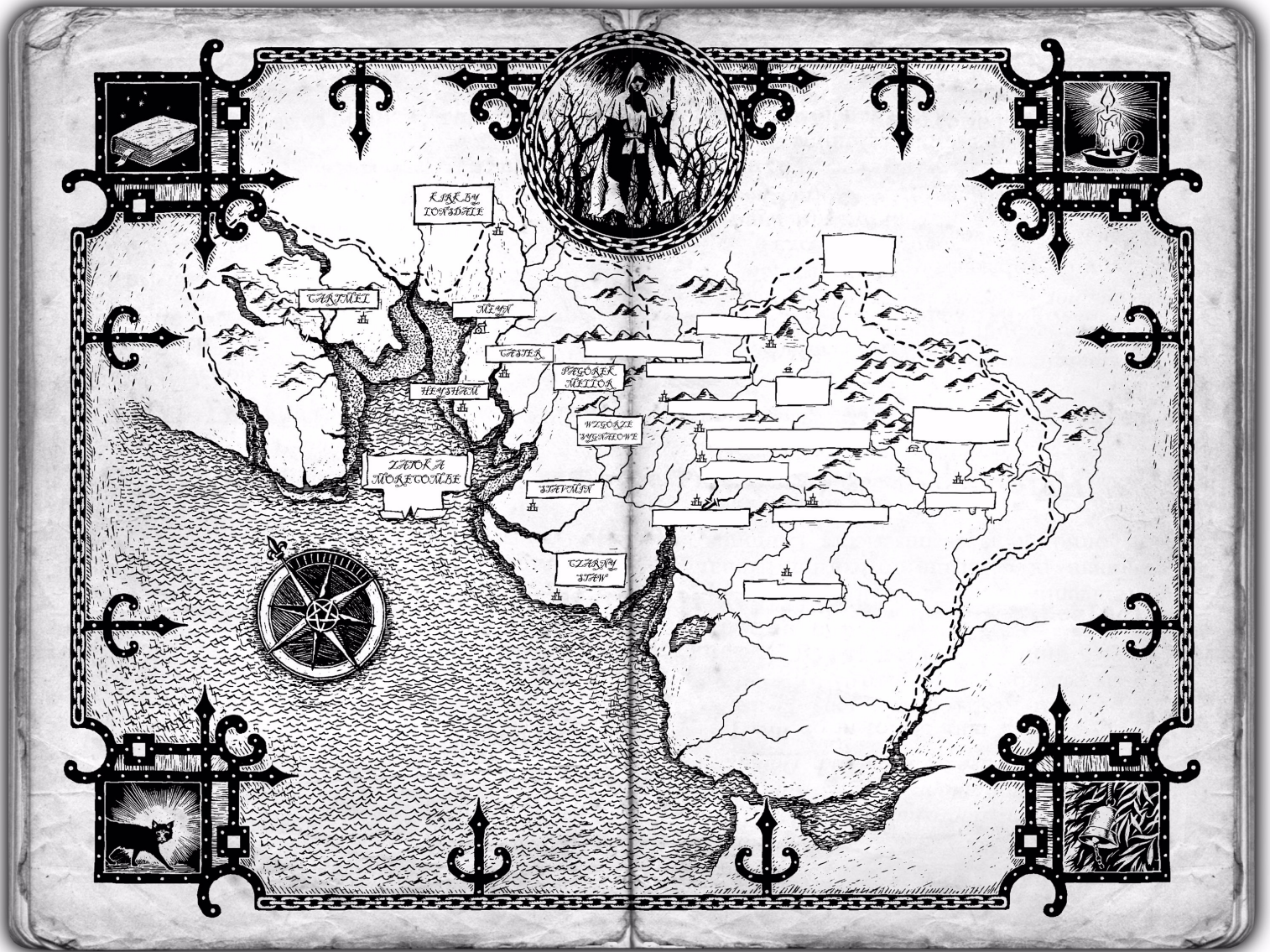
ROZDZIAŁ 32. Straszliwy błąd

Zapiski Grimalkin

Glosariusz Świata Kobalosów

Dla Marie





ROZDZIAŁ 1 TAJEMNICZA ŚMIERĆ



THOMAS WARD

Skądś ciągnęło zimnem; może to sprawiało, że płomyk świeczki migotał, rzucając na ścianę u stóp łóżka osobliwe cienie. Skrzypiąca drewniana podłoga była nierówna – może dlatego drzwi otwierały się samoczynnie, jakby coś niewidzialnego próbowało dostać się do środka.

Lecz zwykle zdroworozsądkowe wyjaśnienia tu nie wystarczały. Gdy tylko wszedłem do sypialni, zrozumiałem, że coś jest bardzo nie tak. To właśnie podpowiadał mi instynkt, a on rzadko się mylił.

Bez wątpienia ktoś lub coś nawiedzało ten pokój. Dlatego właśnie się tu znalazłem, wezwany przez właściciela gospody, abym rozwiązał jego problem.

Nazywam się Tom Ward, jestem stracharzem z Chipenden. Zajmuję się duchami, widmami, boginami, czarownicami i najróżniejszymi stworami nocy.

Niebezpieczna praca, ale ktoś musi to robić.

Podszedłem do okna sypialni i pociągnąłem sznur, podnosząc dolną połowę. Od zachodu słońca minęła godzina, nad dalekimi wzgórzami wschodził już księżyc. Zerknąłem na rozległy cmentarz, ocieniony drzewami, w większości wierzbami płaczącymi i pradawnymi wiązami. W bladych promieniach księżycy nagrobki zdawały się lśnić, jakby promieniował z nich niezwykle blask, a wiązy, rzucające upiorne cienie, przypominały ogromne przyczajone bestie. To była wioska Kikrby Lonsdale, tuż za granicą hrabstwa, a choć leżała niecałe dwadzieścia mil od Caster, otaczała ją odludzie pozbawione ubitych traktów.

Zszedłem na dół, opuszczając gospodę przez frontową izbę, gdzie trzech miejscowych popijało piwo przy kominku. Na mój widok umilkli i odwrócili się ku mnie, jednak bez słowa powitania. Bez wątpienia każdy przybysz w tej wiosce spotkałby się z podobną reakcją – milczeniem, ciekawością i zwarciem szyków przeciw obcemu.

Oczywiście dochodził do tego dodatkowy czynnik. Ja-ko stracharz rozprawiałem się z istotami z Mroku. W Hrabstwie było nas zaledwie kilku, a choć ludzie nas potrzebowali, budziliśmy w nich lęk. Na mój widok wieśniacy często przechodzili na drugą stronę ulicy na wypadek, gdyby w pobliżu czaił się duch albo bogin zwabiony moją obecnością.

Jak zwykle w Hrabstwie, do tej pory wszyscy mieszkańcy tej biednej wioski wiedzieli już, po co się zjawilem.

Kiedy wyszedłem przez frontowe drzwi na ulicę, powitał mnie głos:

– Mości Wardzie, chciałbym zamienić słówko.

Odwróciłem się, patrząc na podchodzącego gospodarza. Był to rosły postawny mężczyzna o rumianej twarzy z udawaną jowialną miną – bez wątpienia przydatną w kontaktach z klientami; choć jednak nocowałem w jednym z jego pokojów, mnie nie traktował zbyt uprzejmie. Okazywał mi tę samą niecierpliwość i wyższość jak wówczas, gdy rozmawiał ze swoją służbą i – wkrótce po moim przybyciu – z dostawcą świeżych baryłek piwa.

Byłem pracownikiem najemnym, tak więc oczekiwał sporo za swe pieniądze, co mnie irytowało. W ciągu ostatnich kilku miesięcy bardzo się zmieniłem. Mnóstwo się wydarzyło, stałem się znacznie mniej cierpliwy niż kiedyś... i szybciej wpadałem w złość.

– I co? Czego się dowiedziałeś? – spytał gospodarz.

Wzruszyłem ramionami.

– Owszem, zgadza się, pokój jest nawiedzony. Wciąż nie wiem jednak przez co. Może mógłby pan przyspieszyć sprawę, mówiąc mi wszystko, co pan wie. Od jak dawna to trwa?

– Cóż, młodzieńcze, to chyba twoje zadanie dowiedzieć się wszystkiego. Płacę ci sporo grosza, więc oczekuję, że nie będę odwalał za ciebie roboty. Z pewnością twój mistrz, niech Bóg ma w opiece jego duszę, załatwiłby już sprawę.

Ostatnie zdanie ukazywało sedno problemu, tyle że był to problem gospodarza, nie mój. John Gregory, stracharz, który mnie wyszkolił, zginął w zeszłym roku w bitwie, próbując zniszczyć Złego, diabła wcielonego i władcę ciemności, który chciał sprowadzić na świat erę tyranii i grozy. Jako jego uczeń odziedziczyłem po nim posadę i działałem jako stracharz Chipenden, faktycznie jednak nie ukończyłem terminu i byłem dość młody jak na mój fach.

Przez miesiące samotnej pracy zdarzało się dość często, że ludzie przyjmowali mnie podobnie jak ten gospodarz i nauczyłem się tłumić to w zarodku. Musieli zrozumieć, że nie

mają do czynienia z chłopcem i żółtodziobem – owszem, byłem młody, ale mistrz dobrze mnie wyszkolił i świetnie sobie radziłem.

– Zapewniam, że pan Gregory spytałby dokładnie o to samo – poinformowałem gospodarza. – I powiem coś jeszcze: gdyby pan nie odpowiedział, zabrałbym swoją torbę i wrócił prosto do domu.

Gospodarz spojrzał na mnie gniewnie. Wyraźnie nie przywykł, by tak go traktować. Ojciec nauczył mnie uprzejmości i dobrych manier, nawet jeśli osoba, z którą mam do czynienia, zachowuje się niegrzecznie – choć zatem patrzyłem na niego, nie mrugając, wyraz twarzy miałem łagodny i milczałem. Czekałem, aż sam coś powie.

– Jutro minie miesiąc, odkąd w tym pokoju zmarła dziewczyna – rzekł w końcu. – Zatrudniłem ją w kuchni. Czasami, gdy zjawiało się więcej gości, pomagała, podając piwo w barze. Była zdrowa i silna, lecz pewnego ranka nie wstała i znaleźliśmy ją martwą w łóżku. Twarz miała wykrzywioną z przerażenia, nocną koszulę mokrą od krwi, ale ani śladu ran na ciele. Od tego czasu jej duch pojawia się w domu i nie mogę wynająć tego pokoju – ani żadnego innego. Nawet na dole, w piwiarni, słyszymy, jak krąży tam i z powrotem. W tej chwili powinno się już zebrać co najmniej z tuzin spragnionych wieśniaków, do których wkrótce dołączyliby inni. Cała ta sytuacja słono mnie kosztuje.

– Widział pan tego ducha? – spytałem, zastanawiając się, jak silna jest zjawa. Niektóre upiory wyłącznie słyszą.

– Tu ani w kuchni nie było po niej śladu. Dźwięki dochodzą zawsze z sypialni, ale nigdy nie zaglądałem tam po zmroku i nie żądałbym tego od mych ludzi.

Przytaknąłem i przybrałem najbardziej współczującą minę.

– A przyczyna śmierci? – naciskałem. – Co miał do powiedzenia medyk?

– Sprawiał wrażenie równie zaskoczony jak wszyscy. Przypuszczał jednak, że mogło dojść do krwotoku wewnętrznego, być może w płucach, ponieważ kasłała krwią.

Widziałem, że jego samego nie przekonało to wyjaśnienie.

– To wyraz zgrozy na jej twarzy najbardziej nas zaniepokoił. Doktor twierdził, że widok wypływającej z ust krwi mógł ją przerazić i sprawić, że stanęło jej serce. Albo może krwawiła dalej w środku. Tak sobie myślę, że tak naprawdę nie wiedział, dlaczego umarła.

Brzmiało to dziwnie i przerażająco. Musiałem dotrzeć do sedna tajemnicy i wiedziałem, jak tego dokonać.

– Cóż, być może jutro będę mógł powiedzieć coś więcej – odparłem. – Po tym, jak pomówię z jej duchem. Jak ma na imię?

– Nazywała się Miriam – odparł gospodarz.

Ukloniłem się i odszedłem ulicą. Wkrótce skręciłem w alejkę, która doprowadziła mnie na tyły gospody i na skraj oglądanego wcześniej z okna cmentarza. Otworzyłem ozdobną bramkę i wąską ścieżką ruszyłem między nagrobkami, mijając niewielki kościółek.

Musiałem się przejść, aby rozprostować nogi, odetchnąć świeżym powietrzem i przeczyścić głowę. Potrzebowałem też trochę czasu, by zastanowić się nad sytuacją.

W Hrabstwie po zmroku zwykle robi się chłodno, nawet latem, to jednak była ciepła sierpniowa noc, końcówka lata. Wkrótce jesień schłodzi powietrze, zwiastując nadejście zimy.

Dotarłem do zbocza, z którego roztaczał się wspaniały widok na dolinę; w dali widziałem pasmo wzgórz, skąpane w blasku księżyca. Krajobraz aż prosił się, by go

namalować, i długi czas stałem tak, zapatrzony.

Od czasu śmierci Johna Gregory'ego bardzo się zmieniłem. Wciąż czułem tęsknotę – naprawdę mi go brakowało – lecz obok niej pojawił się też gniew. Straciłem nie tylko mistrza, ale i przyjaciela. Teraz większość dni spędzałem samotnie, miałem mnóstwo czasu na rozmyślania i tylko jedno źródło pociechy. Coraz częściej doceniałem piękno okolicy, najróżniejsze krajobrazy, łąki, lasy, wzgórza i moczary. Widok w Kikrby Lonsdale dorównywał najlepszym, a może nawet je przerastał.

Powróciłem myślami do przyczyny śmierci Miriam i usiadłem na pniaku, by dokładnie przeanalizować wszystko, co wiedziałem. Dziewczyna była młoda i silna, możliwe zatem, że padła czyjąś ofiarą. Zdarza się często, iż morderca ukrywa własny czyn, obwiniając czary czy inne zjawiska nadprzyrodzone. Ale ten brak rany... może ją otruto? Albo może zmarła śmiercią naturalną i to groza umierania pozostawiła na jej twarzy ów grymas?

Miałem nadzieję wkrótce odkryć prawdę. Wszystko zależało od tego, czy duch pamięta własną śmierć.

Po jakimś czasie tą samą drogą przez cmentarz powróciłem do nawiedzonego pokoju. Zasunąłem zasłony, zdjęłem płaszcz z kapturem i powiesiłem na haczyku na drzwiach. Potem zzułem buty i w ubraniu położyłem się na łóżku, gotów do działania. Nieco się denerwowałem, jak zawsze w kontaktach z nadprzyrodzonym, ale nie bałem się. Już wiele razy rozprawiałem się z duchami.

Zawsze dobrze widziałem w niemal całkowitych ciemnościach i gdy oczy przywykły już do słabego blasku księżyca przenikającego przez zasłony, uważnie obejrzałem pokój. W kątach zalegały cienie – najmroczniejsze tuż pod oknem. Jakiś czas usiłowałem ustalić, czy to zjawisko naturalne, czy też nie. Nie było naturalne. Po chwili, uznawszy, że nie ma się czym przejmować, wyteżyłem słuch. Czasem słyszymy duchy, zanim one same tego chcą. Niektóre stukają cicho w drzwi i ściany, inne tupią po podłodze, niekiedy trudno odróżnić je od myszy.

W tym pokoju panowała absolutna cisza. Miałem kilka godzin, toteż odprężyłem się, zamknąłem oczy i pozwoliłem sobie odpłynąć w sen.

Wiedziałem, że wyczuję przybycie ducha i ocknę się natychmiast.

Jakiś czas później obudziłem się, dokładnie tak jak przewidywałem. Wszyscy stracharze to siódmi synowie siódmych synów, co oznacza, że dysponujemy pewnymi darami. Zwłaszcza jeden zadziałał tutaj: poczułem zimny dreszcz, informujący, że w pobliżu czai się coś z Mroku. Teraz przebiegał mi po plecach, w górę i dół kręgosłupa. Nim jeszcze otworzyłem oczy, usłyszałem płacz dziewczyny i kroki, przechadzające się tam i z powrotem obok łóżka.

Spojrzałem na nią. Duch wyglądał jak młode dziewczę, najwyżej siedemnastoletnie. Miała długie włosy, spięte ciasno w kok z tyłu głowy. Podobnie jak wiele duchów była bardzo blada, jakby śmierć odebrała jej wszystkie barwy.

Wszystkie, z wyjątkiem jednej – przód jej długiej jasnej nocnej koszuli, od szyi aż po rąbek, nasiąkł intensywnie czerwoną krwią.

ROZDZIAŁ 2

DZIEWCZYNA O MYSICH WŁOSACH



Spojrzałem na ducha Miriam i usiadłem na łóżku naprzeciw niej. Następnie posłałem jej możliwie najcieplejszy uśmiech. Starłem się, by mój głos zabrzmiał życzliwie.

– Zatrzymaj się, Miriam – rzekłem cicho. – Stań i popatrz na mnie.

Odwróciła się ku mnie, zaszlochała i jej oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia.

– Ty mnie widzisz! Słyszysz mnie? – spytała; jej głos miał w sobie lekkie echo i zdawał się dobiegać z oddali.

– Owszem, widzę cię i słyszę. Jestem stracharzem, przyszedłem ci pomóc.

– Od wielu dni proszę o pomoc, ale nikt nie słucha. Nikt nawet na mnie nie patrzy.

– Gdzie? Tu, w sypialni?

– Nie. Schodziłam do kuchni, gdzie kiedyś pracowałam. Tutaj nikt nie zagląda po zmroku.

Duchy czasami widuje się przy ich grobach, zazwyczaj jednak nawiedzają miejsce, w którym umarły. Jako siódmy syn siódmego syna mogłem ją zobaczyć i usłyszeć tam, gdzie inni niczego nie dostrzegali.

– Wiesz, czemu tak jest? – spytałem łagodnie.

– To dlatego, że nie żyję? – odgadła i znów się rozplakała.

Doskonale: oto ważny pierwszy krok. Niektóre duchy nie wiedzą, że są martwe, i najtrudniejszą częścią mojej pracy jest przekonanie ich o tym, nim namówię je do odejścia.

– Owszem, nie żyjesz, Miriam. W końcu spotyka to nas wszystkich. Ale teraz możesz odejść do Światła, udać się do lepszego świata. Obiecuję, że pomogę ci to zrobić, ale najpierw muszę zadać ci parę pytań. Czy możesz mi powiedzieć, jak i dlaczego umarłaś?

Dziewczyna przestała płakać i jej twarz wykrzywił grymas przerażenia.

– Zabiło mnie coś złego – oznajmiła.

Starłem się nie okazywać podniecenia, lecz w głowie wirowały mi dziesiątki pytań. Nie mogłem się doczekać odkrycia, jaki stwór z Mroku odpowiada za to brutalne morderstwo.

– Coś usiadło mi na piersi. Było ciężkie, nie mogłam oddychać. Potem wbiło mi zęby w gardło i zaczęło wysysać krew. Słyszałam, jak mlaszcze i żłopie. Oczy miało czerwone, nosiło długi płaszcz jak człowiek, ale z pewnością było to jakieś zwierzę, bo miało włochate ręce, a także długi ogon.

Słuchałem jej opisu z narastającym zdumieniem. Coś takiego wykraczało całkowicie poza moje doświadczenie – nigdy nawet nie słyszałem o podobnym stworze – usiłowałem jednak nie pokazać tego po sobie. Chciałem, by Miriam zachowała spokój, aby wyciągnąć z niej tyle informacji, ile się tylko da.

Doktor nie znalazł ran na jej ciele – łącznie z gardłem – czy możliwe zatem, by tak naprawdę opisywała koszmarny sen, któremu towarzyszył ból fizyczny?

– To się zdarzało już wcześniej – podjęła. – Czułam na piersi ten ciężar i budziłam się zlana potem i słaba, a kiedy wstawałam z łóżka, kręciło mi się w głowie. Ale tamtej nocy było znacznie gorzej. Widziałam jego czerwone oczy. Stwór jakby wpadł w szal: pił moją krew i pił, aż mi w końcu serce zatrzepotało i stanęło.

– Przypomnij sobie dokładnie, Miriam. Chcę, żebyś powiedziała mi wszystko, co wiesz o tym stworze. Jakiej był wielkości?

– Nie! Nie! – Ukryła twarz w dłoniach, cała jej sylwetka zaczęła drżeć i znów usłyszałem szlochanie.

– Proszę, Miriam, spróbuj – nalegałem. – Te informacje mogą mi pomóc ocalić w przyszłości inne dziewczęta.

– Przykro mi, nie mogę. Brak mi sił. Nie zniosę dalszych myśli o swojej śmierci. Powiedziałeś, że mi pomożesz. Proszę więc, proszę, pomóż mi teraz!

Dość już usłyszałem. Czas uwolnić ją od tych męczarni.

– Posłuchaj mnie uważnie – rzekłem, podnosząc się powoli i uśmiechając do niej. – Chcę, żebyś pomyślała o najszcześniejszej chwili swojego życia.

Miriam umilkła, jej twarz przybrała pytający wyraz.

– Zastanów się dobrze – ciągnąłem. – Czy byłaś wtedy dzieckiem?

Bardzo często najszcześniejsze wspomnienia zachowane przez zmarłych dotyczą chwil z dzieciństwa, z czasów, gdy czuli się bezpieczni, chronieni przez rodziców, kiedy życie nie zdołało jeszcze ich zranić.

– Nie! Nie! – krzyknęła poruszona. – Moje dzieciństwo nie było szczęśliwe! – Znów

zadrzała, ale nie wyjaśniła dlaczego. Potem nagle kącki jej ust uniosły się w uśmiechu. – To było wtedy, kiedy przybyłam tu do pracy. Miałam własny pokój, tylko dla siebie, i pierwszego ranka ujrzałam, jak wschodzi słońce, zalewając wzgórze ciepłym blaskiem. Poprzedniej nocy cmentarz tuż pod oknem wydawał mi się upiorny, teraz jednak przekonałam się, że to pogodne, spokojne miejsce, zadbane, pełne kwiatów pozostawionych przez krewnych na grobach ukochanych. A za nim rozciągał się ten cudowny widok: dolina wznosząca się ku dalekim wzgórzom. Ucieszyłam się, że trafiłam w tak śliczne miejsce. Byłam wtedy bardzo szczęśliwa.

– Powrót do tej chwili – poleciłem. – Poczuj znów to szczęście. Słońce wschodzi, zalewając wzgórze blaskiem. Widzisz je?

– Tak! Tak! Jest takie jasne!

– Zatem idź ku niemu. Odejdź do Światła. Potrafisz to. Tylko parę kroków i będziesz na miejscu!

Teraz duch się uśmiechał. Miriam postąpiła trzy kroki w stronę okna, po czym zniknęła bez śladu. Wypełniłem zadanie. Odeszła w Światło, co przyjąłem z wielką satysfakcją. Często stracharz walczy z Mrokiem i znajduje tylko strach i przemoc. Cieszyło mnie, kiedy mogłem pomóc zagubionej duszy, takiej jak Miriam. To zadanie okazało się łatwiejsze niż większość, lecz odejście ducha nie kończyło sprawy.

Dziewczyna wspomniała, jak coś ciężkiego usiadło jej na piersi. Zlekceważyłbym to... gdyby nie jedno ale. W przeciągu trzech miesięcy już trzecia dziewczyna z Hrabstwa zmarła w podobnych okolicznościach. Każdy duch opisał to samo: nieznośny ciężar na piersi. Ale Miriam pierwsza się obudziła i zobaczyła stwora, który się nią karmił.

Miałem do czynienia z czymś bardzo niezwykłym. Musiałem rozwiązać tę zagadkę.

Wróciłem zatem do Chipenden, do domu. Odziedziczyłem go po mistrzu, należał do mnie i póki pracowałem jako stracharz, mogłem w nim mieszkać. To mi odpowiadało. Zamierzałem zajmować się tym fachem do końca życia.

Następnego dnia wstałem tuż po wschodzie słońca, zabrałem laskę i ruszyłem do ogrodu. Stał tam pniak, przy którym trenowaliśmy z moim mistrzem umiejętności przydatne w walce.

Raz po raz wbijałem w drewno klingę z mojej laski, aż zdyszałem się i popłynął ze mnie pot. Wyszedłem z wprawy. Sporo mi brakowało do szczytowej formy.

Laska służyła do walki z czarownicami i stanowiła główną broń stracharza. Musiałem odzyskać dawną wprawę i to jak najszybciej.

Spróbowałem manewru, w którym przerzucam kij z jednej ręki do drugiej, a potem wbijam klingę w pień. Nie poszło mi najzgrabniej, toteż powtarzałem go, póki nie dostrzegłem poprawy.

Od czasu śmierci mistrza, niemal dziesięć miesięcy wcześniej, starałem się, jak mogłem najlepiej, walczyć z Mrokiem, ale zaniedbałem codzienne treningi. Stopniowo ćwiczyłem coraz mniej i mniej. Nie miałem do tego serca, bo za bardzo przypominało mi o czasach, gdy ćwiczyliśmy razem z Johnem Gregorym. Teraz jednak pojąłem, że znów muszę rozpocząć codzienne treningi; muszę być gotów na każdą ewentualność. Śmierć trzeciej dziewczyny uświadomiła mi, że potrzebuję zarówno rozumu, jak i sił fizycznych. Muszę

dalej gromadzić informacje – tak wiele jeszcze nie wiedziałem!

Przed powrotem do domu ćwiczyłem też dziesięć minut ze srebrnym łańcuchem – drugą podstawową bronią stracharza – raz po raz zarzucając go na słupek w ogrodzie. Ucieszyłem się, odkrywając, że tu moje umiejętności pozostały niezmienione. Ani razu nie chybiłem. To była zawsze moja mocna strona; nie chybiałem celu, nawet gdy czarownica pędziła prosto na mnie.

Zadowolony z siebie, wróciłem na śniadanie. Po treningu nieźle zgłodniałem.

Usiadłem przy stole; na talerzu czekała na mnie solidna porcja parującej szynki i jajek. Kiedyś pochłoniąłbym to wszystko i sięgnął po dokładkę, ostatnio jednak apetyt mi nie dopisywał i tylko grzebałem w talerzu. Podczas posiłku omawialiśmy zwykle z mistrzem ostatnie wydarzenia i plany na nadchodzący dzień. Brakowało mi tego, choć oczywiście tak naprawdę nie mieszkałem sam.

Usłyszałem ciche mruczenie.

To był bogin, Kratch.

Istnieje wiele różnych odmian podobnych mrocznych istot. Zwykle stracharze rozprawiają się z nimi. Są na przykład boginy rozpruwacze, wypijające krew zwierząt i ludzi, oraz rzucacze ciskające kamieniami. Obie te odmiany często zabijają, toteż stracharz musi je spętać albo ukatrupić. Inne boginy płatają tylko figle i straszą ludzi: te zwykle przeganiamy w inne miejsce – najczęściej opuszczone, daleko od ludzkich siedzib. Kratch natomiast był boginem-kotem, a choć i on potrafił zabijać, mój mistrz potraktował go w inny sposób.

Ten bogin przyrządzał śniadania i strzegł domu i ogrodu. W zamian, po trzech ostrzeżeniach, mógł zabić każdego intruza i wypić jego krew. Mistrz zawarł ten pakt z Kratchem, a ja go odnowiłem.

Stwór zwykle pozostawał niewidzialny, kiedy jednak się pokazywał, przyjmował postać rudego kocura, którego rozmiary zależały od nastroju. Mruczenie ucichło, poczułem, że oddała się ode mnie. Chwilę później pojawił się na dywanie przed kominkiem, zwinięty w kłębek przy dogasającym ogniu. Zastanowiłem się, czy może to jakaś odmiana bogina zabiła dziewczęta, niemal natychmiast jednak odrzuciłem tę myśl. Po pierwsze, morderczy stwór nosił długi płaszcz, a boginy nigdy nie zakładają ubrań. Po drugie, do żadnego z zabójstw nie doszło na liniach mocy – niewidzialnych szlakach, wzdłuż których wędrują boginy.

Kiedy nie mogłem już zjeść nawet kęsa, zszedłem do wioski po cotygodniowe sprawunki. Odwiedzałem kramy w zwykłej kolejności: najpierw rzeźnika, potem sprzedawcę warzyw i wreszcie piekarza.

Przez ostatnie miesiące Mrok nieco się uspokoił; niewielu ludzi odwiedzało wierzby na rozstajach przed domem i uderzało w przyzywający mnie dzwon. Sporo czasu poświęcałem rozmyślaniom i próbom rozwiązania zagadki śmierci dziewcząt – jak dotąd, bez powodzenia.

Wędrując ulicą, jak zwykle czułem na sobie ukradkowe spojrzenia; od czasu do czasu wieśniacy przechodzili na mój widok na drugą stronę. Nie oczekiwałem niczego innego, ale dziś doszło do tego coś jeszcze: czułem, że ludzie szepczą ukradkiem za moimi plecami. To było krępujące, lecz nie zważając na nic, skupiłem się na własnych sprawach.

Dźwigając na ramieniu pełny worek, ruszyłem po zboczach wzgórza w stronę domu. Kiedy zbliżyłem się do końca ścieżki, odkryłem, że ktoś już tam na mnie czeka.

Na przełazie obok furtki siedziała dziewczyna. Przez chwilę serce zatrzepotało mi w piersi z dziwną mieszaniną żalu i gniewu. To Alice! Alice uczyła się na czarownicę, później jednak została moją przyjaciółką i zamieszkała z nami w domu w Chipenden. Dawno temu odeszła, ale wciąż za nią tęskniłem. Jednakże niemal natychmiast pojąłem, że to nie ona. Alice była mniej więcej w moim wieku – miała siedemnaście lat – natomiast ta dziewczyna wyglądała na co najmniej parę lat młodszą, miała mysie włosy, piegi i pogodną, jasną twarz. Ubrana była w schludną, ciemnoniebieską sukienkę, sięgającą daleko za kolana i parę wygodnych, solidnych butów. Na pierwszy rzut oka można ją było wziąć za hożą córkę rolnika, ale w jej oczach dostrzegłem coś bardzo nietypowego.

Lewe oko miała niebieskie, a prawe piwne.

I jeszcze coś – ich wyraz także wydał mi się dziwny w sposób, którego nie potrafiłem określić. Cokolwiek to było, natychmiast pojąłem, że nie mam do czynienia ze zwyczajną dziewczyną. Nie wyczuwałem zimna, więc wiedziałem, że to nie czarownica, ale było w niej coś, czemu nie do końca ufałem.

– Witaj – powiedziała, gdy się zbliżyłem. – Czy to mości Ward?

– W rzeczy samej – odparłem. – Przychodzisz prosić o pomoc? Powinnaś spytać w wiosce, jak to się robi. Widzisz, najlepiej odwiedzić rozstaje z wierzbami i uderzyć w dzwon: wówczas udałbym się tam natychmiast i nie musiałabyś tu czekać.

– Nie potrzebuję pomocy. – Zeskoczyła z przełazu i ruszyła ku mnie. – Jesteś nowym stracharzem, zgadza się? Zatem szukasz ucznia. Zgłaszam się do tej pracy.

Odstawiłem worek i uśmiechnąłem się do niej.

– Przykro mi, ale nie szukam ucznia, zresztą nie jest to fach, do którego można się ot tak zgłosić. Nim rozpocznie się naukę, potrzeba pewnych wrodzonych zdolności, specjalnego talentu, pomagającego walczyć z Mrokiem. Sam jestem nowicjuszem, mój termin zakończył się przedwcześnie i przez co najmniej kilka lat będę się jeszcze uczył. Trudno zatem, abym kogokolwiek szkolił, nie sądzisz?

– To nie problem – rzekła z uśmiechem. – Całe życie powinniśmy poświęcać nauce i wiem, że masz już wiele do przekazania. Mogę też pomóc, zajmując się domem. Mogłabym odbierać sprawunki z wioski i oszczędzić ci z tym zachodu, a także przyrządzać śniadanie – mama twierdzi, że dobrze gotuję.

– Nie potrzebuję nikogo do przyrządzania śniadań. – Nie wyjaśniłem jej, że mam bogina, który już to robi. – Skąd wiedziałaś, że zejdę do wioski po zapasy?

– Patrzyłam, jak odwiedzasz kramy; kiedy wszedłeś do ostatniego, przybiegłam tu, by na ciebie zaczekać.

– Skąd wiedziałaś, że to ostatni? Szpiegowałaś mnie?

– Nie nazwałabym tego „szpiegowaniem”, ale owszem, obserwowałam cię kilka tygodni i znam twoje zwyczaje: zawsze idziesz najpierw do rzeźnika, potem po zieleninę, a kończysz w piekarni. Widziałam dość, by zrozumieć, że to ty powinieneś mnie szkolić.

– Posłuchaj, lepiej ci powiem, jak się sprawy mają, żebyś wyzbyła się nadziei. Aby zostać uczniem stracharza, trzeba być siódmym synem siódmego syna. To zapewnia względną odporność na czary, a także pozwala nam widzieć zmarłych i rozmawiać z nimi. A to podstawowe kwalifikacje. Powiem otwarcie: jesteś dziewczyną, więc ich nie masz.

Podniosłem torbę, pozdrowiłem ją skinieniem głowy i zacząłem wspinać się na przełaz.

– Jestem siódmą córką siódmej córki – oznajmiła. – I ja też widzę umarłych. Czasami ze mną rozmawiają.

Odwróciłem się i spojrzałem na nią – siódma córka siódmej córki obdarzona tymi mocami...? Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym.

– Nie wątpię – mruknąłem – ale nie potrzebuję ucznia. Czy wyraziłem się jasno?

Następnie ruszyłem do domu i natychmiast o niej zapomniałem.

Rozdział 3

Źle się dzieje

ROZDZIAŁ 3 ŻŁE SIĘ DZIEJE



Popołudnie i wieczór spędziłem w bibliotece. Parę lat wcześniej dom spłonął do gołej ziemi i oryginalna biblioteka Johna Gregory'ego, bogaty zbiór książek – niektórych napisanych przez pokolenia poprzednich stracharzy – uległa zniszczeniu.

Dom został odbudowany, ale bibliotekę znacznie trudniej odtworzyć.

Teraz nowe półki były w większości puste; mieściła się na nich bardzo skromna kolekcja tomów. Obejmowała ona kilka notesów moich i mistrza – w tym jego bestiariusz, ilustrowany słownik stworów, na które natknął się podczas lat służby, gdy jako stracharz bronił Hrabstwa przed Mrokiem.

Usiadłem przy biurku i zacząłem opisywać w notesie wydarzenia poprzedniego dnia. John Gregory z pewnością miałby wiele do powiedzenia na ten temat, ale byłem teraz sam i to ja musiałem znaleźć wyjaśnienie. Biblioteka mi nie pomoże. Dotąd błąkałem się bez celu. Teraz muszę stworzyć nowy plan.

Następnego ranka obudziłem się wcześniej, ani o krok nie bliższy rozwiązania

tajemnicy. Było jeszcze za wcześnie na śniadanie. Bogin wpadał w gniew, gdy schodziło się do kuchni, nim je przygotował, a niemądrze drażnić tak niebezpieczną istotę.

Wyszedłem zatem na dwór i ruszyłem do zachodniego ogrodu. To dobre miejsce do rozmyślań. Pogoda się zmieniła i ze zdumieniem ujrzałem warstwę szronu na trawie. Jak na koniec sierpnia w powietrzu czułem nietypowy ziąb, było znacznie chłodniej, niż oczekiwałem. Nawet w Hrabstwie, słynącym z długich zim, zwykle pierwsze przymrozki zaczynają się pod koniec września czy na początku października. Możliwe więc, że w tym roku zima przyjdzie wcześniej, surowsza niż zazwyczaj.

Usiadłem na ławce, spoglądając w stronę wzgórz. Tu właśnie udzielał mi lekcji mój mistrz. Siedziałem i notowałem, a on krążył tam i z powrotem.

Teraz leżał pogrzebany niedaleko ławki, kopczyk ziemi porośla już trawa. Odczytałem słowa na nagrobku. Sam je wybrałem.

Tu spoczywa

John Gregory z Chipenden

Największy ZE stracharzY Hrabstwa

Stracharz dobrze służył Hrabstwu, był też dobrym mistrzem i gdy o nim pomyślałem, do oczu napłynęły mi łzy.

Wspominałem lata terminu i jego ostrzeżenia przed Mrokiem oraz instrukcje, jak sobie z nim radzić. Razem stawialiśmy czoło wielu przeciwnikom, a do najgroźniejszych należały bezecne wiedźmy. Walczyliśmy z nimi, chwytałyśmy i więziliśmy w jamach w tym właśnie ogrodzie.

Potem jednak wszystko się zmieniło. Brakowało nam sił do samotnej walki, musieliśmy pójść na kompromis, by zyskać choćby cień nadziei na ostateczne pokonanie Złego. Choć zatem mistrz nie czuł się z tym dobrze, zawarliśmy sojusz z Grimalkin, wiedźmą zabójczynią z klanu Malkinów.

Przypomniałem sobie, jak wielokrotnie nam pomagała. Podarowała mi nawet zrobiony specjalnie dla mnie miecz i dzierżyłem go podczas ostatnich zmagania ze Złym; miecz ów, póki go nosiłem, chronił mnie przed mroczną magią. Grimalkin nazwała go Gwiazdną Klingą, bo wykuła go z rudy z meteorytu. Z wdzięcznością posłużyłem się nim w bitwie, potem jednak, zbrzydzone śmiertcią niezliczonych ofiar i samego Johna Gregory'ego, oznajmiłem, że nigdy go już nie użyję – że zostanę stracharzem, na którego wyszkolił mnie mistrz, posługującym się wyłącznie bronią mego fachu.

Nagle z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk dzwonu pośród wierzb. Wróciłem do domu, założyłem płaszcz, chwyciłem laskę, stojącą przy ścianie obok tylnych drzwi i pomaszerowałem zwawym krokiem odpowiedzieć na wezwanie.

Kiedy wyszedłem z porannego słońca w półmrok ocieniających rozstaje drzew, dzwon umilkł. To się zdarzało. Ludzie tracili cierpliwość i wracali do domów. Albo czasami obawiali się spotkania ze stracharzem, toteż wmawiali sobie, że nikt nie odpowie, i uciekali, póki jeszcze mogli.

Z początku sądziłem, że tak właśnie stało się i teraz: sznur wciąż się kołysał, dzwon tańczył w górze. Być może odgłos moich kroków wśród drzew przepłoszył gościa. Cóż, bez wątpienia, ktokolwiek to był, potrzebował pomocy, postanowiłem zatem ruszyć za nim.

Podszedłem do dzwonu i przyjrzałem się udeptanej trawie, sprawdzając, dokąd poprowadzą ślady.

– Nie śpieszyłeś się! – rozległo się za moimi plecami. – Już zaczynałam myśleć, że udałeś się gdzieś na wezwanie.

Rozpoznałem ów głos i obróciłem się gniewnie. Dziewczyna z wczoraj uśmiechała się do mnie. Ręce splotła na piersi i stanęła w lekkim rozkroku, wysoko unosząc głowę.

– Zdawało mi się, że wyraziłem się jasno – oznajmiłem. – Marnujesz mój czas i swój własny. Nie chcę ani nie potrzebuję ucznia.

– Człowiek nigdy nie wie, czego chce, póki tego nie dostanie! – odparła i jeszcze bardziej wyszczerzyła zęby. – A potem zastanawia się, jak sobie wcześniej radził bez tego.

Uśmiech miała zaraźliwy, ale nie pozwoliłem, by na mnie zadziałał.

– Posłuchaj... – spróbowałem innego podejścia – to bardzo niebezpieczna praca. Ludzie giną w czasie terminu. Byłem ostatnim uczniem mego mistrza. Wcześniej miał dwudziestu弟子, a trzecia część z nich zginęła gwałtowną śmiercią. Mojemu poprzednikowi, Billy'emu Bradleyowi, ręka uwięzła pod wielkim kamieniem, pod którym uwięził bogina rozpruwacza. Bogin odgryzł mu palce z lewej dłoni i Billy zmarł z wstrząsu i upływu krwi.

– Złe rzeczy się zdarzają. – Przestała się uśmiechać. – Miałam kuzyna, robotnika, zginął zmiażdżony pomiędzy wozem i słupkiem bramy. Umierał prawie tydzień. Cała wioska nie mogła spać przez jego krzyki.

– Przykro mi, że twój kuzyn umarł, ale to był wypadek. Moja praca to nieustanna wojna ze stworami z Mroku. Jeśli tylko nadarzy im się okazja, zabijają nas. Mistrz Johna Gregory'ego, Henry Horrocks, tropił kiedyś bogina zwanego łamaczem. Szli właśnie przez pole, kiedy bogin uderzył bez ostrzeżenia i oderwał jego uczniowi dłoń w przegubie. Kierowała nim wiedźma, chciała, żeby przyniósł jej kości kciuków. Biedaczysko umarł, a Horrocks w żaden sposób nie mógł mu pomóc. Gdybyś została moją uczennicą, nie mogę zagwarantować, że przeżyłabyś pierwsze pół roku.

– Zaczynasz mówić z sensem – rzuciła pogodnie dziewczyna i uśmiech wrócił na jej twarz. – Rozważasz tę możliwość, prawda?

Pokręciłem głową, żałując własnych słów. Szybko kończyła mi się cierpliwość, przypomniałem sobie jednak radę ojca, by zawsze zachowywać się uprzejmie. Przemówiłem zatem spokojnie i stanowczo:

– Jesteś dziewczyną, nie nadajesz się do tego fachu. Mówiłem ci to wczoraj. W dodatku jesteś za duża. Mistrz przyjął mnie do terminu, gdy miałem zaledwie dwanaście lat. A ty ile masz?

– Tyle, ile mój język, i nieco więcej niż zęby – odparła.

Poirytowany, odwróciłem się, gotów wrócić do domu.

– John Gregory najpierw uczył się na księdza! – zawołała do moich pleców. – Kiedy Henry Horrocks go przyjął, miał niemal dwadzieścia lat, ale okazał się znakomitym stracharzem. Jestem jeszcze wystarczająco młoda, by poznać wasz fach.

– Skąd o tym wiesz? Kto ci powiedział o Johnie Gregorym? – rzuciłem ostro, zatrzymując się i odwracając głowę.

Dziewczyna uśmiechnęła się tajemniczo i odpowiedziała na moje wcześniejsze pytanie.

– Mam piętnaście lat, zaledwie dwa lata mniej niż ty. W dodatku urodziliśmy się w tym samym dniu – trzeciego sierpnia.

– Wymyśliłaś to sobie! – warknąłem gniewnie.

Był koniec sierpnia i owszem, miała rację co do moich urodzin. Skąd mogła to wiedzieć?

Faktycznie szpiegowała i zbierała informacje na mój temat.

– Po co miałabym cokolwiek zmyślać? Lubię dziwne przypadki, a prawda bywa często dziwniejsza od fikcji. Tak przynajmniej mówiła mi kiedyś mama. Zgodzisz się z tym?

Znów obróciłem się na pięcie i pomaszerowałem do domu. Tym razem nie oglądałem się za siebie. Naprawdę zaczynała mnie denerwować.

Tego ranka bogin wyśmienicie usmażył boczek, a jajka były dokładnie takie, jakie lubiłem – tylko lekko płynne. Odkroiłem grube pajdy ciepłego chleba i posmarowałem masłem, a potem żółtkiem. Zdołałem zjeść połowę posiłku. Częściowo wrócił mi apetyt, ale wciąż daleko mu było do normalności – w dawnych czasach pochłonałbym całe śniadanie i wciąż byłbym głodny.

– Gratulacje dla kucharza! – zawołałem. W odpowiedzi usłyszałem dobiegające spod stołu ciche mruczenie. Kratch lubił, kiedy mu się dziękowało. Przez kilka sekund zamigotał i ujrzałem go; lizał właśnie swój rudą ogon.

Ów ruch przypomniał mi nagle o słowach martwej dziewczyny, Miriam, opisującej stworzenie, które ją zabiło.

Nosiło długi płaszcz jak człowiek, ale z pewnością było to jakieś zwierzę, bo miało włochate ręce, a także długi ogon.

Czy ów stwór chodził na dwóch łapach? Wspiął jej się na pierś, więc niekoniecznie. Ale z opisu nie przypominał żadnej z istot, o których czytałem w niegdyś obszernej bibliotece mistrza. Nagle uświadomiłem sobie, że musiał zostawić nietypowe ślady. Z pewnością warto to sprawdzić.

Zatem po śniadaniu zabrałem torbę oraz laskę i ruszyłem przez wzgórza w stronę Caster. Mogłem odwiedzić Broughton albo Penwortham, gdzie odesłałem do Światła dwie inne zamordowane ofiary. Uznałem jednak, że najlepiej będzie sprawdzić miejsce, w którym ślady są najświeższe. Cel mojej podróży leżał na północny wschód od Caster. Wracałem do Kirkby Lonsdale, gdzie duch martwej dziewczyny widział i zapamiętał zabójcę. Teraz zamierzałem przyjrzeć się dokładniej otaczającym wieś terenom.

Zapoluję na bestię noszącą płaszcz.

Rozdział 4

Gdzie mieszka potworek

ROZDZIAŁ 4 GDZIE MIESZKA POTWOREK



Marsz przez wysokie wzgórza, z których roztaczał się widok na Hrabstwo, sprawił mi przyjemność. Na zachodzie, w dali, morze iskrzyło się w promieniach słońca. Jak na tę porę roku w powietrzu czułem niezwykle chłód, słońce jednak wciąż dawało ciepło i dobrze było żyć.

Pięć mil na południe od Kirkby Lonsdale znalazłem osłoniętą kotlinkę, złapałem we wnyki parę królików i ugotowałem je na wolnym ogniu. Była to pierwsza strawa, jakiej skosztowałem od śniadania, a że spacer zaostrzył mi apetyt, napawałem się każdym kęsem, potem zaś ułożyłem się wygodnie na noc. Zasnąłem szybko mimo temperatury, która po zachodzie słońca mocno spadła.

W środku nocy obudziłem się nagle i usiadłem z walącym sercem. Miałem nieprzeparte wrażenie, że coś mnie obserwuje, że w pobliżu czai się coś z Mroku i patrzy na mnie.

Wstrzymałem oddech, wytężając słuch, usłyszałem jednak tylko westchnienia wiatru w trawie. Nie czułem nagłego chłodu, ostrzegającego przed bliskością istot z Mroku. To pewnie nic takiego, rzekłem do siebie, może lis próbujący podwędzić resztki mojej kolacji.

Mimo wszystko ogarnął mnie niepokój i dopiero po długim czasie zdołałem znów zasnąć.

Rano napłynęły szybko chmury, zwiastujące deszcz. Na śniadanie przegryzłem kawałek sera. Mistrz nauczył mnie jeść oszczędnie, gdy mam do czynienia z Mrokiem. Trzeba oczywiście zachować siłę fizyczną, ale na to wystarczy kilka kęsów sera. Tyle że mój żołądek się z tym nie zgadzał! Burczało w nim z głodu, ale nie mogłem sobie pozwolić na dalsze nasłuchiwanie – możliwe, że wkrótce stanę oko w oko z morderczym stworem.

Zginęły trzy dziewczyny. Nawet jedna to już dosyć, lecz z każdą kolejną śmiercią narastał we mnie gniew i poczucie poniesionej klęski. Jako stracharz powinienem chronić Hrabstwo. Nie wypełniałem swojego zadania i rozpaczliwie pragnąłem zmienić ten stan.

Maszerowałem zatem na północny wschód najszybciej, jak mogłem, nie wszedłem do wioski Kirkby Longsdale, lecz okrążyłem ją powoli, szukając śladów. Mistrz nauczył mnie cierpliwości podczas tropienia i zwracania uwagi na najdrobniejsze szczegóły. Przez większość dnia przeszukiwałem główne drogi, wiodące do wioski z północnego i południowego zachodu. Byłem dokładny, dwa razy zatoczyłem pełne koło.

Wreszcie, późnym popołudniem, moja wytrwałość została nagrodzona. Obok ścieżki znalazłem ślady. Coś z niej zeszło, zmierzając do najbliższego strumienia i wyraźnie dostrzegłem niewielkie odciski w błocie. Z początku zlekceważyłem je, uznawszy za nieznaczące. Rozmiar świadczył, że należą do dziecka, najwyżej siedmio-, ośmioletniego, w pobliżu jednak nie dostrzegłem żadnych śladów osoby dorosłej. Potem zauważyłem, że mają w sobie coś dziwnego: były zbyt długie i wąskie jak na ludzkie stopy; dostrzegłem też jeszcze coś, co świadczyło, że znalazłem to, czego szukałem.

W niektórych miejscach coś zatarło ślady, wyglądało jakby prześliznął się po nich wąż. To mógł być ogon.

Wkrótce potem natknąłem się na świeższe tropy. Te nowe kierowały się mniej więcej w stronę Caster. Z początku, przepełniony radością, przyspieszyłem kroku, lecz po godzinie opuścił mnie optymizm. Ślady zniknęły. Zgubiłem trop.

Jako siódmy syn siódmego syna mam pewne dary, odziedziczyłem jednak także zdolności po mamie. Była dobrą żoną i matką, z całego serca kochała moją tatę i synów, ale była też czarownicą, lamią – pierwszą na świecie – i przekazała mi część swoich mocy.

Należała do nich zdolność tropienia kogoś mimo braku fizycznych śladów jego wędrowek. Po prostu wiedziałem, gdzie znaleźć tych, których szukam. Dar ten pomógł mi w przeszłości, nie zawsze jednak mogłem na nim polegać i teraz, nieważne jak bardzo się starałem, nie wyczuwałem ani śladu ściganego stwora.

Zawiedziony, zawróciłem do domu.

Godzinę przed zachodem słońca, głodny i zmęczony, dotarłem do Chipenden. Ku swej irytacji znów ujrzałem tam dziewczynę; tym razem czekała na skraju ogrodu.

– Jesteś okropnie spocony i wymęczony! – wykrzyknęła. – Masz za sobą ciężki dzień?

Wyminąłem ją bez słowa, nie zaszczycając odpowiedzią. Dotarłem już niemal na skraj drzew, kiedy zawołała coś do moich pleców.

– Wiem, co zabija te dziewczyny! Wiem, gdzie mieszka potworek!

– Skąd ci wiadomo o dziewczynach? Kłamiesz! – zawołałem gniewnie, odwracając się ku niej.

Spojrzała mi prosto w oczy.

– Ja nie kłamię, a już z pewnością nie na temat zadań stracharza, gdy w grę wchodzi niewinne ofiary. Wszyscy o nich wiedzą – podjęła. – Rozmawiają o tym we wszystkich wioskach w promieniu wielu mil. Boją się o swoje rodziny. Niektórzy uważają, że John

Gregory rozwiązałby już ten problem.

Jej słowa zaboląły niczym mocny policzek. Mimo złości i urazy odetchnąłem głęboko, poskramiając uczucia. Wiedziałem, że dziewczyna mówi prawdę i musiałem się z tym pogodzić.

Zrozumiałem także, jak samotnie żyłem. To właśnie problem w byciu stracharzem: nigdy nie słyszymy miejscowych plotek i nie wiemy, o czym myślą ludzie. A teraz, kiedy działał sam, było jeszcze gorzej. Nie miałem nikogo, kto dzieliłby moje brzemię, z kim mógłbym porozmawiać o swoich kłopotach i troskach.

– A zatem wiesz, co je zabija? Oświeć mnie więc! – rzuciłem sarkastycznie.

– Nie wiem co to, ale jest włochate i mieszka w drzewie. Nocami wychodzi z niego i zakrada się do ludzkich domów. Potrafi zmieniać swoje rozmiary. Wiem, że w jednym z tych domów umarła dziewczyna, słyszałam też o innych zgonach. Myślę, że to robota tego stwora.

– Zatem szpiegowałaś nie tylko mnie, ale i włochatą bestyjkę? Mamy jednak problem. Jak to możliwe, że kiedy szłaś za tym stworem, on cię nie zauważył?

ROZDZIAŁ 5 PURRAI NIE MAJĄ ŻADNYCH PRAW



Wdrapię się na to drzewo, schowam do środka i zaczekam, aż stwór wróci – poinformowałem Jenny.

– Świetny pomysł! – rzuciła z entuzjazmem. – Weźmiemy go z zaskoczenia.

– Powiedziałem ja, nie my! To niebezpieczne; nie wiem, z czym mamy do czynienia.

– Co za różnica? – spytała. – Już mnie uprzedzałeś, że termin u stracharza to niebezpieczna sprawa, równie dobrze mogę zacząć od razu i do tego przywyknąć.

Wciąż te protesty! Zastanawiałem się, jak potraktowałyby ją John Gregory. Ale teraz sam musiałem podejmować decyzje i postanowiłem, że bardziej przyda mi się pod drzewem.

– Posłuchaj – rzekłem. – Twoim zadaniem jest pełnić wartę i ostrzec mnie przed powrotem stwora. Nie chciałbym, żeby mnie zaskoczył. Potrafisz naśladować hukanie sowy?

Jenny uśmiechnęła się i zaprezentowała mi idealną imitację puszczyka – niemal zbyt dobrą; zaledwie parę minut wcześniej słyszałem identyczny głos. Czy potrafiłbym odróżnić jej sygnał od prawdziwego?

– A znasz krzyk ptaka trupiarza? – spytałem.

– Nie, ale całkiem nieźle umiem naśladować lelka kozodoja.

Jej krzyk rozdarł ciemność sprawiając, że włosy na karku zjeżyły mi się nagle.

Zabrzmiało dobrze, ale nie tak doskonale jak krzyk puszczyka. Tego właśnie potrzebowałem.

– Wiesz chyba, że lelek to inna nazwa trupiarza? – mruknąłem.

– Oczywiście, że wiem! Nie potrafisz się zorientować, kiedy żartuję?

Westchnąłem. Praca z nią zapowiadała się ciężko.

– Kiedy stwór wróci, krzyknij szybko dwa razy, potem odlicz do trzech i jeszcze raz.

Dasz radę?

– Oczywiście, że dam. Ale proszę, bądź ostrożny! Spotkałam już paru innych stracharzy: zwłaszcza jeden z nich to prawdziwy wieprz, a drugi miał włochate uszy i wredny charakter. Kto by mnie wyszkolił, gdyby coś ci się stało? Bo oni na pewno nie!

Zastanawiałem się, jak Jenny poznała innych stracharzy. Czyżby i ich szpiegowała? Ale nie była to najlepsza chwila na dalsze wypytywanie.

– Dobrze, będą uważał. I ty także. Pozostań w ukryciu i nie zbliżaj się do dębu bardziej niż teraz. Zrozumiano? I zaopiekuj się moją laską – wręczyłem jej ją.

Jenny przytaknęła. Obejrzała laskę i uśmiechnęła się szeroko.

Obróciłem się i bardzo ostrożnie podkradłem się do wielkiego drzewa.

Powoli okrążyłem pień, zastanawiając się, czy może istnieć drugie wejście. Warto było sprawdzić, ale wiedziałem, że najpewniej będę musiał się wspiąć i poszukać go wyżej. Ostatecznie stamtąd właśnie wyłonił się wcześniej stwór.

Dlatego zostawiłem dziewczynie laskę – jedynie by mi przeszkadzała. Przez to jednak do dyspozycji miałem mniej broni niż zwykle: kieszenie pełne żelaza i soli oraz srebrny łańcuch.

Zacząłem się wspinać.

Długo trwało, zanim odnalazłem wejście do nory stwora. Okrążyłem drzewo na kilku różnych wysokościach, nim w końcu na nie natrafiłem.

Dobrze je zamaskował. Człowiek nadałby drzwiom kształt kwadratu, owalu, prostokąta czy nawet koła. Te drzwi, pokryte korą, trudno było dostrzec, bo miały kształt nieregularny. Kiedy je wypatrzyłem, przekonałem się, że mogę podważyć je paznokciami, otwarły się z łatwością na świeżo naoliwionych zawiasach.

Następny problem stanowił ich rozmiar: stwór był znacznie mniejszy ode mnie, więc ciężko będzie się przez nie przecisnąć. Uświadomiłem też sobie, że kiedy znajdę się w środku, mogę mieć trudności z szybką ucieczką. Ale uznałem, że jakoś sobie poradzę: najpierw przesunąłem głowę, potem podciągnąłem się na rękach. Teraz tkwiłem w pułapce – musiałem skrępować stwora i nie mogłem chybić łańcuchem. Byłem pewien, że sobie poradzę – tę umiejętność opanowałem do perfekcji.

Rozejrzałem się dokoła i zdumiało mnie to, co zobaczyłem. Sam nie widziałem stwora z bliska, ale Jenny nazwała go bestyjką i z daleka przypominał wiewiórkę. Sądziłem, że trafię do nory dzikiego zwierzęcia, o podłodze zasłanej kośćmi i słomą.

Wstrząsnął mną widok rzędów półek, stołu, krzeseł i dywaników z owczego runa ufarbowanych na jaskrawą czerwień. Wszystko to wyglądało na zaskakująco cywilizowane, przez co jeszcze mniej rozumiałem, z czym mam do czynienia. Wiele półek wypełniały książki, na innych stały rzędy szklanych słoików. Jedne wypełnione były czymś,

co przypominało zioła, inne osobliwymi przedmiotami pływającymi w czystej cieczy czy zawieszonymi w żółtej galarecie. Każdy słój podpisano w obcym języku.

A potem wypatrzyłem coś jeszcze. Na stole stały dwie butelki czerwonego wina. Wiedziałem, że pochodzą od ludzi, bo rozpoznałem etykiety.

Sięgnąłem po jedną z książek z najniższej półki i otworzyłem. Tekst wyglądał dziwnie, nie przypominał żadnego języka, z jakim się zetknąłem. Stwór umiał czytać, ale niewątpliwie pochodził z bardzo daleka.

Z czym przyjdzie mi się zmierzyć?

Odłożyłem książkę na półkę. Wtem coś przemówiło za moimi plecami. Mówię „coś”, bo choć władało naszym językiem, głos miało gardłowy, szorstki i ochrypły: zbyt obcy, by mógł należeć do istoty ludzkiej.

– Miło, że przyszedłeś mnie odwiedzić, człowieku. Jestem głodny, a twoja obecność oszczędzi mi konieczności polowania.

Zamarłem, serce zaczęło walić mi ze strachu, w ustach zaschło. Dałem się oszukać. Założyłem, że to ja będę panował nad sytuacją, wezmę stwora z zaskoczenia, ale od początku musiał wiedzieć, że obserwujemy jego drzewo. Udał, że odchodzi, a potem, kiedy wtargnąłem do jego nory, zawrócił. Nie usłyszałem ostrzegawczego krzyku Jenny – pewnie go nie zauważyła.

Szybko obróciłem się ku niemu. W pierwszej chwili z trudem pojąłem, co widzę. Miał na sobie długi, czarny płaszcz, spięty białymi guzikami, zapewne zrobionymi z kości. Jego ręce porastało ciemne futro, twarz przypominała wilczy pysk, tyle że ogolony, tak że, pomijając wydłużone szczęki i ostre zęby, kojarzyła się z człowiekiem, w oczach lśniła inteligencja. Jej wyraz także był ludzki: połączenie rozbawienia, wzgardy i arogancji.

Najważniejszą jednak cechą owej niezwyklej istoty był jej rozmiar. Zupełnie nie przypominał wiewiórki i co najmniej dorównywał mi wzrostem. I wtedy przypomniałem sobie, co mówiła Jenny o swoim „potworku” – coś, co wówczas zlekceważyłem.

Potrafił zmieniać rozmiar.

A ja tkwiłem tu z nim, uwięziony.

Patrzyłem na stwora, z każdą chwilą tracąc pewność siebie. Lekko rozchylił szczęki, a z pyska zaczęła mu kapać ślina, jakby nie mógł się już doczekać pierwszego kęsa kuszącego posiłku. Tyle że to ja znalazłem się w jadłospisie. Jeśli go nie powstrzymam, wysię ze mnie krew.

– Przybywam, by położyć kres twoim zbrodniom – oznajmiłem potworowi, usiłując przejąć inicjatywę, jednak głos zadrżał mi ze strachu.

– Zbrodnie, człowieczku? Co masz na myśli? Jeszcze nikogo tu nie zabiłem. Ty będziesz pierwszy.

– Zabiłeś trzy dziewczyny. Nie próbuj zaprzeczać.

– Ach, „dziewczyny”! Masz na myśli purrai! To nie morderstwo. Kobiety istnieją po to, by służyć, w każdej chwili można odebrać im życie. Dziwię się, że się z tym nie zgadzasz. Dręczyło mnie pragnienie, więc wypilem ich krew. To moje prawo i porządek rzeczy: purrai nie mają żadnych praw.

Słuchałem z odrazą, gdy mówił o tym tak lekko.

– To, co czynisz we własnym kraju, jest dla mnie ohydne – rzekłem. – Teraz jednak jesteś w Hrabstwie, a tu traktujemy to jak zbrodnię.

Stwór uśmiechnął się groteskowo, otwierając długie szczęki i ukazując zębiska.

– Niedługo wasz kraj stanie się własnością naszego ludu! Wówczas wasze kobiety będą podlegać naszym prawom. A co do mężczyzn i chłopców, to wszyscy zginą.

Jego słowa zawirowały mi w głowie. Dostałem ostrzeżenie; zastanowię się nad nim później. Teraz czas działać.

Błyskawicznie sięgnąłem do kieszeni portek i chwyciłem to, co w nich ukryłem. W lewej dłoni ścisnąłem sól, w prawej żelazo. Sól pali istoty z Mroku; żelazo pozbawia je mocy.

Cisnąłem obie garście prosto w stwora i dwie chmury, jedna jasna, druga ciemna, połączyły się idealnie wokół jego głowy. To często wystarczyło, by zniszczyć bogina; potrafiło też tymczasowo unieszkodliwić wiedźmę, ułatwiając skrępowanie jej srebrnym łańcuchem. Lecz ten przeciwnik zareagował w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie oglądałem.

Najpierw kichnął, potem potrząsnął głową i obdarzył mnie zwierzęcym uśmiechem, podczas gdy sól i żelazo osiadały mu na stopach.

– To było ciekawe, człowieku – wychrypiał. – Nigdy wcześniej nie zaatakowano mnie w tak osobliwie nieskuteczny sposób. Straciłeś tylko cenny czas: wkrótce bowiem będziemy obaj bardzo zajęci. Ja będę brał, a ty dawał – mnie czeka przyjemność, a ciebie ból, aż w końcu w twych żyłach nie pozostanie ani kropla krwi.

Z początku poczułem niepokój, szybko jednak opanowałem strach. Odetchnąłem głęboko, by się uspokoić i przygotować do rozprawy z bestią w inny sposób.

Srebrny łańcuch spoczywał w lewej kieszeni mojego płaszcza; wyjąłem go już i owinałem wokół lewego przegubu. A potem jednym płynnym ruchem cisnąłem łańcuch w stronę stwora.

Rzut wykonałem idealnie – łańcuch utworzył mu nad głową spiralę, a potem opadł, krępując go od głowy po kolana, jeden fragment oparł się o zęby. W walce z czarownicą byłoby to uznane za perfekcyjny rzut. Jeśli ta bestia potrafiła rzucać mroczne zaklęcia, to właśnie jej to uniemożliwiłem.

Sądziłem, że to koniec.

Naprawdę myślałem, że zwyciężyłem, że unieszkodliwiłem potwora.

Uśmiechnąłem się. Teraz zaniosę go do ogrodu w Chipenden i trafi do jamy.

Ale kompletnie nie doceniłem wroga.

I właśnie popełniłem jeden z największych błędów swego życia.

Mój przeciwnik uciekł ze srebrnego łańcucha podobnie jak skelt. Skelty to duże, drapieżne wodne stwory, które umieją wciskać swoje długie, kościste kończyny w niewielkie szczeliny, skąd wyskakują, gdy nadejdzie ofiara. Skelt z łatwością potrafi wywinąć się z każdego łańcucha.

Nie spodziewałem się jednak, że to samo zrobi ów stwór. Z przerażeniem patrzyłem, jak mój przeciwnik nagle maleje, a bezużyteczny łańcuch opada z niego na podłogę. Po sekundzie znów się rozrósł; teraz był znacznie większy ode mnie – miał co najmniej dziewięć stóp wzrostu. Oczy płonęły mu czerwoną furją. Otworzył szeroko szczęki.

Bestyjka Jenny zamieniła się w potworną bestię.

Zaniepokojony cofnąłem się o krok, on jednak szybko wyciągnął łapę, chwytając mnie za ramię i ciągnąc wprost ku wielkiej paszczy. Próbowałem stawić opór, okazał się jednak niewiarygodnie silny. Z jego szczęk znów pociekła ślina. Sądziłem już, że od razu wyssie mi krew, ale zamiast tego chuchnął mi mocno w twarz.

Poczułem słodki, piekący zapach. Świat wokół mnie natychmiast zawirował i runąłem

w ciemność.

Kiedy traciłem świadomość, moją ostatnią myślą było, że skoro wiedział o mnie, to wiedział też pewnie o Jenny. Jej także groziło niebezpieczeństwo.

<>

ROZDZIAŁ 6 POMÓŻ MI, PROSZĘ



Ocknąłem się w zupełnie innym pomieszczeniu – choć domyślałem się, że nadal pozostawałem wewnątrz dębu. Widziałem krzywiznę najbliższej ściany, a moje nozdrza wypełniła woń mokrego drewna.

To była prawdziwa nora bestii.

Tym razem nie dostrzegłem stołu, półek ani dywanów. Zamiast tego w kącie piętrzyła się sterta kości, a w powietrzu wyczułem słaby zapach krwi.

Przypominało to loch, ze sklepienia zwisały łańcuchy. Leżałem na boku; czułem, że coś się działo – coś dziwnego, czego nie potrafiłem rozpoznać.

Czułem się jak odymiona pszczoła, głowa pulsowała bólem, a obraz przed oczami rozmazywał się. Dopiero po długiej chwili zacząłem pojmować, co właściwie widzę.

W końcu, z nagłym ukłuciem, zrozumiałem prawdziwą grozę rozgrywającej się przed moimi oczami sceny.

Jenny zwisała ze sklepienia, zaczepiona za nogi, z głową dyndającą trzy stopy nad

podłogą, twarzą zwrócona do mnie. Stopy miała związane, ręce skrępowane za plecami. Stwór siedział zwrócony do mnie tyłem, nieco z boku dziewczyny, w ustach trzymał cienką, przejrzystą rurkę. Drugi koniec rurki wbił jej w szyję.

Rurka była jaskrawoczerwona. Za jej pomocą wysysał krew!

Spróbowałem się ruszyć i odkryłem, że jestem kompletnie sparaliżowany; mogłem tylko patrzeć z przerażeniem, jak bestia wysącza z dziewczyny krew.

A potem Jenny otworzyła oczy i spojrzała na mnie z twarzą wykrzywioną grozą. Była przytomna. Świetnie wiedziała, co się z nią dzieje.

Wymówiła coś bezdźwięcznie. Nie zrozumiałem, ale potem powtórzyła:

– Pomóż mi. Pomóż mi.

Rozpaczliwie próbując przyjść jej z pomocą, walczyłem, by wstać. Tyle że ciało nie reagowało: nie słuchało już umysłu. Złany potem, desperacko usiłowałem pokonać to, co mnie unieruchomiło. Przypominało to koszmarny sen, ciągnący się bez końca. Jenny drżała i jęczała, bestia wciąż spijała jej krew. A ja tymczasem nie mogłem nic poradzić.

Wszystkie koszmary kiedyś się jednak kończą – chyba że zakończeniem jest śmierć. Stopniowo zacząłem odzyskiwać czucie w kończynach: najpierw mrowienie w dłoniach i stopach, szybko obejmujące ręce, potem tors. Po nim nadeszło pieczenie, jakby trawił mnie ogień.

Po jakimś czasie ból ustąpił; spróbowałem zgiąć palce. Nie chciałem zaalarmować stwora, wyglądało jednak na to, że jestem zdolny się poruszać.

Co powinienem zrobić? Nie mogłem pozwolić, by bestia nadal wysysała z Jenny krew, ale brakowało mi broni, a ów stwór był niewiarygodnie silny, pomijając nawet magiczne zdolności. Jednym chuchnięciem w twarz pozbawił mnie świadomości.

Co mam robić?

Gdybyśmy znajdowali się na linii mocy, mógłbym wezwać Kratcha. Kontrakt między nami zobowiązywał go do przybycia na wezwanie; w zamian mógł wypić krew moich wrogów. Byłem pewien, że szybko by się rozprawił z tym stworem. Ale znajomość terenu podpowiadała mi, że znaleźliśmy się daleko od którejkolwiek z linii.

Rozejrzałem się dokoła. Obok kości zauważyłem pół tuzina pustych butelek po winie – mogłyby posłużyć jako zaimprovizowana broń, ale musiałbym działać szybko, a od długiego leżenia na podłodze zapewne zeszywniały mi stawy. Co więcej, uświadomiłem sobie, że nawet ciosy w głowę stwora mogą nie wystarczyć, by go unieszkodliwić.

Niezależnie od ryzyka musiałem spróbować. Z pewnością Jenny nie wytrzyma już długo: wkrótce utrata krwi sprawi, że jej serce osłabnie i przestanie bić.

Dokładnie w chwili, gdy postanowiłem działać, stwór zdecydował za mnie. Powoli wyciągnął przejrzystą rurkę z szyi Jenny i podniósł się z ziemi.

Czyżby umarła...? Przyjrzałem się jej niespokojnie i z ulgą odkryłem, że wciąż oddycha. Ponownie otworzyła szeroko oczy i wypowiedziała słowa: „Pomóż mi, proszę”.

Nie zerkając nawet w moją stronę, bestia przecięła pomieszczenie, pchnięciem otworzyła drzwi i wyszła. Zapewne zakładała, że wciąż leżę bez ducha. Słyszałem, jak wiatr jęczy pośród drzew. Stwór musiał wyjść zewnętrznymi drzwiami w pniu, na poziomie ziemi.

Teraz miałem szansę uwolnić Jenny i uciec przed jego powrotem. Oczywiście istniała możliwość, że toczy ze mną jakąś grę. Może zorientował się, że odzyskałem świadomość i czeka przyczajony na zewnątrz, by z perwersyjną przyjemnością pozbawić

mnie nadziei na uciezkę.

Niemniej jednak musiałem zaryzykować. Zacząłem wstawać. Uwolnię Jenny i uciekniemy! Dam radę.

Zdążyłem jednak ledwie drgnąć, a stwór zniweczył moje nadzieje. Drzwi otwały się i bestia powróciła – pozostawiając je lekko uchylone. Za nimi widziałem poszarpaną, pionową linię bladożółtego światła. Musiał wzejść księżyc.

Stwór podszedł do Jenny. Usiadł obok, gotów ponownie wbić rurkę w jej gardło.

Rozpaczliwie rozważałem każde możliwe wyjście i odrzucałem je po kolei. Pojąłem, że teraz mogę zrobić tylko jedno: miałem tylko jedną szansę ocalenia Jenny. Nie chciałem tego, ale jaki pozostał mi wybór? Jak mogłem zostawić ją na śmierć?

Dźwignąłem się z ziemi i skoczyłem do drzwi; otworzyłem je pchnięciem i wybiegłem w noc. Raz jeden obejrzałem się przez ramię – Jenny patrzyła na mnie błagalnie, myśląc, że ją porzuciłem.

Zebrawszy się w sobie, biegłem dalej, oglądając się raz czy dwa. Ku mej uldze stwór mnie nie gonił. I całe szczęście – w biegu potykałem się, a oddech świszcział mi boleśnie w gardle. Magia potwora pozbawiła mnie sił, z łatwością by mnie schwytał.

W dwie minuty później przeskoczyłem strumień i zgięty wpół zaspokoilem pragnienie zimną, czystą wodą. Potem poczułem się nieco lepiej i gdy biegłem dalej, stopniowo wracały mi siły; przyspieszyłem kroku. Tymczasem księżyc zniknął za chmurą, ale dobrze znałem drogę i ciemność zupełnie mi nie przeszkadzała.

W końcu wpadłem do ogrodu w Chipenden i popędziłem wprost do domu. Nawet nie zaglądałem do środka. Potrzebowałem tylko dwóch rzeczy – lampy i szpadla. Obie znalazłem w szopie z narzędziami, po czym skierowałem się do zachodniego ogrodu.

Tam właśnie spoczywał mój mistrz.

Mimo żalu i odrazy na myśl o tym, co przyjdzie mi zrobić, musiałem się tego podjąć, nie miałem wyboru.

Musiałem wykopać jego trumnę.

ROZDZIAŁ 7 GWIEZDNA KLINGA



Po śmierci mistrza w bitwie o Kamień Strażniczy Grimalkin chciała, żebym zatrzymał Gwiezdną Klingę i towarzyszył jej w wyprawie na spotkanie jeszcze większego zagrożenia, które przewidziała ze strony dzikiego plemienia z północy, Kobalosów. Ja jednak miałem dosyć walki. Zaproponowałem jej miecz, ale ona odmówiła. Upewniłem się jednak, by nigdy nie wpadł w niepowołane ręce, bo choć przed magią chronił tylko mnie, ruda, z której go wykuto, pozostawała bardzo cenna i rzadka i można było przekuć ją w broń dla kogoś innego. Ukryłem zatem miecz w miejscu, gdzie mógłby do niego dotrzeć tylko ktoś wystarczająco silny, by przedostać się obok bogina: pod trumną mojego mistrza. W owym czasie nie wyobrażałem sobie nawet, bym kiedyś mógł zbeczczyć jego grób.

Teraz jednak bardzo potrzebowałem broni. Zapaliłem lampę i zawiesiłem na niskiej gałęzi, by rzucała blask na cały obszar. A potem, nie zważając na płynące po policzkach łzy, zaatakowałem grób, przerzucając przez ramię kolejne łopaty ziemi.

– Przepraszam! Przepraszam! – krzyczałem podczas pracy, zwracając się do Johna Gregory’ego, mego nieżyjącego mistrza. – Tak mi przykro! – Jakimż byłem głupcem, czemu nie przewidziałem podobnej sytuacji, w której będę potrzebował ochrony przed mroczną magią?

Gwiezdna Klinga powinna dać mi szansę w walce z bestią, szansę na ocalenie Jenny... Byłem tego pewien.

W końcu usłyszałem łoskot metalu o drewno. Dokopałem się do trumny stracharza. Teraz, mimo naglącego pośpiechu, zwolniłem tempo, kopiąc ostrożniej. Nie chciałem uszkodzić skrzyni, w której spoczęło ciało.

Kopałem zatem z boku i kiedy zrównałem się z dnem trumny, odrzuciłem szpadel i zacząłem przesiewać ziemię dłońmi, usiłując dotrzeć pod nią. Z początku byłem ostrożny, bo ostra klinga mogła zranić mi ręce, ale potem uświadomiłem sobie, że kończy mi się czas i zapomniałem o ostrożności.

Ale nie mogłem znaleźć miecza!

Na czoło wystąpiły mi zimne poty. Czyżby ktoś go ukradł? Jak to możliwe, skoro bogin pilnował ogrodu?

Zastanawiałem się, czy aby Grimalkin nie zabrała miecza. Tamtej nocy po pogrzebie mistrza posłużyła się swoją magią, by zmniejszyć okropną szramę, jaką pozostawił mi na twarzy mag Lukrasta. Potem oboje zasnęliśmy, a później, wymieniwszy krótkie słowa pożegnania, odeszła. Miała dość czasu, by rozkopać i zasypać grób, i ostatecznie sam ofiarowałem jej miecz. Mogła zatem go wziąć, teraz jednak drogo by mnie to kosztowało... Bez niego pozostanę wrażliwy na potężną magię stwora.

Z gasnącą nadzieją wciąż rozpaczliwie macałem palcami pod trumną, w końcu, ku ogromnej uldze, dotknąłem metalu, lecz wyciągnięcie miecza okazało się niełatwe. Odnalazłem palcami krawędź ostrza i to wystarczyło, by skaleczyć się aż do krwi. Szarpałem raz po raz, próbując wyrwać rękojeść, świadom, że z każdą mijającą sekundą niebezpieczeństwo grożące Jenny rośnie. W końcu udało mi się chwycić go mocno i w chwilę później wyciągnąłem klingę z ziemi. Puściłem się pędem z powrotem w stronę gniazda bestii.

Czy zdążę uratować Jenny? Obawiałem się, że może już nie żyć.

Księżyc ponownie wyszedł i w jego blasku wyraźnie ujrzałem dąb, widocznego z daleka kolosa, górującego nad resztą lasu. Paręset jardów od niego przestałem biec i pomaszerowałem dalej, zachowując ostrożność.

Szybkość była ważna, ale nie chciałem uprzedzić stwora o swoim przybyciu – w tym przypadku zaskoczenie mogło odegrać kluczową rolę.

W lesie panowała nieprzenikniona cisza. Nic nie poruszało się w poszyciu, z drzewa też nie dobiegały żadne odgłosy.

Ściskając miecz w prawej dłoni, zbliżyłem się do masywnego pnia, szukając drzwi na poziomie ziemi. Spodziewałem się zastać je zamknięte, może nawet niemożliwe do otwarcia – w takim przypadku zacząłbym tłuc w pień. Straciłbym element zaskoczenia, ale przynajmniej wywabiłbym stwora, odciągając go od Jenny.

Lecz ku mojemu zdumieniu drzwi wciąż pozostawały uchylone – dostatecznie, bym mógł wsunąć palce lewej dłoni. Odetchnąłem głęboko i bardzo powoli je uchylilem. Bestia siedziała zwrócona do mnie plecami, Jenny wciąż wisiała do góry nogami, teraz jednak stwór nie używał już rurki, by wyssać krew z jej szyi. Zacisnął szczęki na ramieniu

dziewczyny i warczał, potrząsając jej ciałem. Krew wsiąkała w suknię. Pogryzł ją po całym tułowi.

Przepełniony wściekłością, przekroczyłem próg i uniosłem miecz, gotów uderzyć.

Nagle stwór wypuścił Jenny i nawet się nie odwracając, zwrócił się do mnie ochryplym, zgrzytliwym głosem. Od początku wiedział, że wtargnąłem do jego siedziby.

– Jakimż jesteś głupcem, wracając tu, człowieczku! Czyżby tak bardzo obchodziła cię zwykła purra, że gotów jesteś poświęcić własne życie, daremnie próbując ją ocalić? Ciężko dyszysz: biegleś. Obawiałeś się, że umrze, zanim zdążysz wrócić? Krew ma słodką, toteż sącą ją oszczędnie, rozkoszując się każdym łykiem. Przeżyje wiele dni, nim wreszcie wyssam ją do końca.

Dźwignął się z ziemi i odwrócił ku mnie. Zdażył już zmaleć, teraz przewyższał mnie zaledwie odrobinę, kiedy mówił, widziałem, że zęby i wargi ma splamione czerwoną krwią Jenny.

– Zaspokoiwszy pragnienie, wyruszyłbym na polowanie, i tak bym cię zabił. Po prawdzie, wracając, przyspieszyłeś tylko własny zgon, choć muszę przyznać, że jestem zaskoczony. Pozbawiłem cię przytomności za pomocą bosku – magii, która dotąd nigdy mnie nie zawiodła. Kiedy tchnąłem ci w twarz, zadziałała jak zawsze. O ile jednak nie podam antidotum, zakłęcie trzyma zwykle wiele dni. Jak to możliwe, że odzyskałeś przytomność po zaledwie godzinie?

Jego słowa uświadomiły mi, jak blisko była katastrofa. W jakiś sposób, wbrew wszelkim zasadom, przetrwałem i co więcej, moje przebudzenie zaskoczyło stwora. Zastanawiałem się, czy to kolejna rzecz, jaką odziedziczyłem po mamie. Czy krew lamii pozwoliła mi oprzeć się pełnemu działaniu jego magii... nieważne, jaka była?

Nie odpowiadając na pytanie, postąpiłem krok naprzód, szykując się do zadania ciosu. Stwór uśmiechnął się, wymamrotał kilka słów i ruszył ku mnie. Sprawiał wrażenie absolutnie pewnego, że jego magia mnie unieszkodliwi.

Przez sekundę ja też tak sądziłem. Żelazo i sól okazały się bezskuteczne w starciu z bestią. Podobnie srebrny łańcuch. A co, jeśli magia Grimalkin także się nie sprawdzi? Ostatecznie nie miałem do czynienia z człowiekiem... Tak czy inaczej, wkrótce się przekonam! Zamachnąłem się mieczem, celując wprost w głowę stwora.

Ten szybko odskoczył, lecz wierzchołek klingi trafił go tuż nad lewym okiem. Twarz monstrum wykrzywiło zdumienie, gdy krew zaczęła ściekać mu po policzku. Znów coś wymamrotał – bez wątpienia jakieś zakłęcie, chwyciłem zatem mocniej Gwiazdną Klingę w nadziei, że miecz i magia Grimalkin okażą się skuteczne w starciu z nieznaną mocą.

Z wyglądu miecz wydawał się zupełnie zwyczajny: w pozbawionej ozdób rękojeści tkwiła głownia ciemnobrązowej barwy, jakby pordzewiała. Miecz był jednak idealnie wyważony i dopasowany do mej ręki, a Grimalkin twierdziła, że nigdy nie będę musiał go ostrzyć.

– Twój miecz, człowieczku... Nigdy nie spotkałem podobnego! – wykrzyknął stwór.

A potem zrobił ostatnią rzecz, jakiej się spodziewałem: odwrócił się i uciekł. Pomyślałem, że musi istnieć jakiś powód – może pobiegł po broń?

Zanim puściłem się w pościg, zawahałem się chwilę: może powinienem najpierw odciąć Jenny i położyć ją na ziemi? Uznałem jednak, że lepiej będzie wykończyć stwora. Nie mogłem go skrepować, toteż będę musiał go zabić i skończyć z nim raz na zawsze. Kto wie, co mógłby przywołać przeciw mnie, gdybym zanadto zwlekał? Ruszyłem zatem za nim spiralnymi schodami, wyciętymi po wewnętrznej stronie pnia.

Wkrótce znalazłem się w dużym, znanym mi już pomieszczeniu, wyposażonym w krzesła, stół i regały pełne książek i słoików. Ponownie ujrzałem czerwone dywany z jagnięcego runa i zastanowiłem się, czy nie pofarbowano ich krwią, z pewnością jednak nie pozostałaby taka czerwona...

Stwór zjawił się w drzwiach po mej prawicy. W obu dłoniach ścisnął teraz broń: w lewej zakrzywiony miecz, czasami zwany szablą, w prawej sztylet o długim ostrzu.

Zaatakowałem natychmiast, zmuszając go, by się cofnął. Okazał się jednak bardzo zręczny: szabla odparowywała każdy cios mego miecza, wypełniając pomieszczenie brzękiem metalu o metal.

Cały czas uważałem na sztylet, który stwór trzymał tuż przy boku, czekając na okazję, by zadać pchnięcie. Postanowiłem nie podchodzić za blisko – mój przeciwnik mógł mnie zwabić i użyć sztyletu.

Istnieją dwie skuteczne metody walki. Jedna to, zachowując chłód i spokój, z rozmysłem obserwować każdy szczegół techniki przeciwnika, oceniać jego silne i słabe strony i dopiero potem wymierzyć śmiertelny cios. Druga to poddać się temu, co wiedzą już umysł i ciało, i walczyć, kierując się instynktem; wówczas broń i ruchy stają się przedłużeniem naszego własnego ciała, działającego szybciej niż myśl.

Ale istnieje też trzeci, znacznie niebezpieczniejszy sposób prowadzenia bitwy – walka napędzana wściekłością. Przeciwnicy atakujący nas w berserkerskiej furii są najłatwiejsi do pokonania.

Tak właśnie teraz walczyłem. Mój gniew podsycalo jeszcze zachowanie stwora – to, jak potraktował Jenny, jak gryzł ją po plecach i ramionach, jak ją związał i powiesił za stopy, niczym zwierzę czekające na rzeź, a potem wysysał z niej krew. Co więcej, zabił też trzy inne dziewczyny. Jego arogancja i wyniosłość... bezczelność, z jaką wtargnął do Hrabstwa, którego strzegłem przed Mrokiem, jak traktował kobiety niczym niewolnice, odbierając im życie, jakby zupełnie się nie liczyło.

Gnany furia, napierałem na stwora, aż w końcu oparł się o ciężki stół. A potem zrobiłem coś, czego nie planowałem – użyłem tego, co miałem pod ręką. Chwyciłem jedną z butelek czerwonego wina stojących na blacie i rozbiłem ją o głowę przeciwnika.

Butelka rozbiła się, zalewając go trunkiem. Stwór zachwiał się, potrząsając wielką głową, na moment ogłuszony. Wykorzystując to, odparowałem jego cios i wbiłem mu miecz głęboko w pierś.

– To być nie może! – wychrypiał stwór, padając na kolana, gdy wyrwałem klingę.

Spojrzał na mnie oczami pełnymi bólu i zdumienia. Znów spróbował coś powiedzieć, kiedy jednak otworzył usta, trysnęła z nich krew, wsiąkając w czarny płaszcz. A potem powoli pochylił się naprzód, runął na twarz, zadygotał i znieruchomiał.

Ja też zadrzałem na myśl o tym, co będę musiał zrobić, nie miałem jednak wyboru. Kto wie, jakimi zdolnościami regeneracji mogła dysponować podobna istota. Zamachnąłem się zatem mieczem z całych sił i odrąbałem bestii głowę.

Wróciłem biegiem do Jenny i delikatnie opuściłem ją na ziemię. Bałem się, że nie żyje. Wydawało się, że nie oddycha, nie czułem nawet najłżejszego tętna.

W desperacji zaniósłem ją przez las do najbliższego strumienia i położyłem na trawie nad wodą. Potem zdjąłem płaszcz, ściągnąłem przez głowę koszulę i zmoczyłem ją w zimnej wodzie. Za jej pomocą obmyłem twarz dziewczyny i starłem krew z ugryzień na jej ramionach, raz po raz powtarzając szeptem jej imię.

– Jenny, Jenny, Jenny... Już dobrze. Jesteś bezpieczna. Otwórz oczy. Proszę, otwórz oczy.

Rozdział 8

Uczniowie Johna Gregory'ego

ROZDZIAŁ 8 UCZNIOWIE JOHNA GREGORY'EGO



Kilka minut powtarzałem imię Jenny, nakazując jej się ocknąć, aż w końcu przypomniałem sobie coś, co kiedyś powiedział mi tato: stary robotnik pracujący na farmie miewał, jak to nazywał, „palpitacje”, tracił wówczas dech i mówił, że serce mu „trzepocze”. Ale znał na to lek. Zanurzał głowę w beczce z lodowatą wodą i to natychmiast pomagało. Palpitacje ustępowały, a on był rześki i sprawny jak zwykle.

Tato uważał, że sprawiał to wstrząs po zetknięciu z zimną wodą.

Bez wątpienia podobny wstrząs równie łatwo mógłby zabić jak uleczyć. Kierowała mną jednak desperacja i nie przyszło mi do głowy nic innego.

Wturlałem zatem Jenny w lodowaty nurt rwącego strumienia tak, że wylądowała na wznak. Potem ukląknłem obok, podtrzymując jej głowę oburącz, ale całe ciało pozostawało zanurzone.

Nagle zachłysnęła się, otworzyła szeroko oczy i spojrzała na mnie.

– Oddychaj głęboko – poleciłem. – Skup się wyłącznie na oddechu.

Spróbowała coś powiedzieć, ale natychmiast się rozkasłała. Kiedy kaszel ustąpił, wciąż podtrzymywałem jej głowę prawą ręką, a lewą nabrałem wody i powoli wlałem jej do ust. Za szóstym czy siódmym razem Jenny znów się odezwała, tym razem zdołała wymówić jedno słowo.

– Bestia...? – Otworzyła szeroko oczy i zaczęła dygotać.

– Nie żyje – zapewniłem ją. – Myśl tylko o tym, żeby poczuć się lepiej.

– Zimno mi – szepnęła. – Tak zimno...

Wyciągnąłem ją więc z wody i położyłem na trawiastym brzegu.

– Zdejmij ubranie – poleciłem. – Możesz założyć mój płaszcz, póki nie wyschnie.

Odwróciłem się do niej plecami, by miała odrobinę prywatności, ale po kilku chwilach zawołała:

– Mam zdrętwiałe palce!

Rzeczywiście, bezskutecznie próbowała rozpiąć guziki bluzki, na próżno przy nich majstrując. Ja musiałem jej pomóc i to szybko, zapominając o wstydzie. W końcu opatulilem ją płaszczem.

– Mam na sobie płaszcz stracharza! – rzuciła ochryple i na jej ustach zagościł cień uśmiechu.

Rozpaliłem ognisko nad strumieniem i rozstawiłem sidła na króliki. Kiedy wzeszło słońce, nakarmiłem Jenny – głównie sosem z kilkoma kawałeczkami mięsa. Ucieszyło mnie, że wydaje się znacznie silniejsza.

– Myślałam, że zostawiłeś mnie na śmierć – wyznała przełknąwszy ostatni kęs. – To była najstraszniejsza chwila mojego życia. Wcześniej miałam nadzieję, że wymyślisz jakiś sposób, by mnie ocalić. Kiedy odbiegłeś, nie mogłam w to uwierzyć; ogarnęła mnie rozpacz. Ale wróciłeś... zawdzięczam ci życie.

– Wybacz, że musiałem cię zostawić. Pobiegnę do Chipenden po to. – Uniosłem miecz.

– Wykuła go Grimalkin, wiedźma zabójczyni z klanu Malkinów. Słyszałaś o niej?

Jenny pokręciła głową.

– Sama robi dla siebie broń, a tę wykuła specjalnie dla mnie. Kiedy ją dzierzę, nie można użyć przeciw mnie magii. Zwykle metody stracharskie nie działały na tę bestię; tylko tym mieczem mogłem ją pokonać.

– Nie wygląda zbyt imponująco. – Jenny przyjrzała się klindze. – Jest cała zardzewiała.

Przytaknąłem, oglądając uważnie miecz. Faktycznie, wyglądem nie zachwycał, ale był idealnie wyważony i dopasowany. Wiedziałem też, że nigdy się nie złamie ani nie stępi.

Kiedy dziewczyna odpoczywała, wróciłem do kryjówki bestii. Ostrożnie wszedłem do środka. Byłem pewien, że zabiłem stwora, ale zademonstrował taką moc, że wołałem nie ryzykować.

Niektóre czarownice z Pendle nawet po śmierci potrafią poruszać się i polować, chwytając niewielkie zwierzęta. Nieliczne bywają dość szybkie, by móc zabijać ludzi. Jedna ścigała nawet ofiarę, trzymając pod pachą własną głowę. Nie zamierzałem niczego pozostawiać przypadkowi.

Może lepiej będzie zabrać truchło do ogrodu i pogrzebać w jamie pod kratą, jak czarownicę?

Nie musiałem się martwić. Wewnątrz natychmiast powitało mnie brzęczenie much i lekki odór śmierci. Stwór leżał w tej samej pozycji; nie żył.

Nie śpieszyłem się, przeszukując zarówno pomieszczenie, w którym walczyliśmy, jak i

loch poniżej. Intrygowały mnie słoje – uniosłem jeden i przyjrzałem się uważniej. Wypełniało go coś co przypominało żółtą galaretę, w której wisiały niewielkie drobinki. Co to mogło być? Wyglądały jak nasiona – albo może małe jajka?

Wyżej w drzewie kryły się inne pomieszczenia, ale wejścia do nich okazały się dla mnie za małe. W odróżnieniu od bestii nie umiałem rosnąć i maleć na zawołanie.

Z czym właściwie przyszło mi się zmierzyć? Czym mógł być ów stwór? I wtedy nagle w mojej głowie eksplodowała nazwa.

Kobalos!

Podczas naszego pierwszego spotkania stwór rzekł:

– *Niedługo wasz kraj stanie się własnością naszego ludu! Wówczas wasze kobiety będą podlegać naszym prawom. A co do mężczyzn i chłopców, to wszyscy zginą.*

Nie rozmyślałem o tym wówczas, bo się bałem, ale teraz natychmiast wszystko nabrało sensu. Grimalkin zetknęła się z tą rasą w zeszłym roku, podczas podróży na północ. Jej opis doskonale pasował do bestii. Opowiadała, że Kobalosi zamierzają wypowiedzieć wojnę całemu rodowi ludzkiemu i prosiła, bym jej towarzyszył i stawił czoło zagrożeniu. Może stwór, którego zabiłem, to szpieg przysłany, by przed najazdem odkryć nasze silne i słabe strony? Ale jeśli tak, dlaczego zabił trzy dziewczyny, zwracając na siebie uwagę?

Istniał tylko jeden sposób, by się przekonać: musiałem wezwać wiedźmę zabójczynię. Podczas badań natknąłem się na krótką wzmiankę o Kobaloszach w bestiariuszu mistrza, ale dotąd tego nie skojarzyłem i wiedziałem, że z książek nie dowiem się zbyt wiele. Grimalkin była w ich kraju; z pewnością może mi przekazać znacznie więcej użytecznych informacji.

Wróciłem do Jenny z głową wypełnioną planami.

Do wieczora poczuła się dostatecznie silna, by móc iść, ruszyliśmy zatem niespiesznie w stronę Chipenden. Przybyliśmy tuż przed zmierzchem. Zatrzymałem się na skraju ogrodu, wykrzykując donośnie:

– Usłysz mnie! Ta dziewczyna jest chroniona, nie może jej spaść nawet włos z głowy!

Po tym, jak wytłumaczyłem boginowi obecność Jenny, weszliśmy do ogrodu i skierowaliśmy się wprost do domu. Szerokim łukiem ominąłem ławkę – nie chciałem, by Jenny zobaczyła rozkopany grób mistrza, nie byłem w nastroju na wyjaśnienia, a poza tym wstydziłem się. Co za głupiec ze mnie? Jak mogłem wpaść na pomysł zakopania Gwiezdnej Klingi? Jutro będę musiał zasypać grób stracharza po raz drugi.

Znalazłem czyste prześcieradło i koc, potem zapaliłem świecę i wręczyłem ją Jenny. Na górze pchnięciem otworzyłem drzwi swojego pokoju i zawołałem ją.

– Będiesz spała tutaj. Tu masz pościel. Rano usłyszysz dzwon na znak, że możesz zejść na śniadanie. Cokolwiek jednak zrobisz, nie schodź wcześniej: w kuchni urzęduje bogini i nie lubi, kiedy mu się przeszkadza. Zrozumiano?

Jenny skinęła głową.

– Z pewnością jesteś zmęczona. Pościelę ci łóżko – dodałem, sięgając po prześcieradło.

Ona jednak uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Ty też jesteś zmęczony. Dam sobie radę. Ale i tak dziękuję.

W tym momencie zauważyła słowa wyryte na ścianie u stóp łóżka – listę imion.

– Kto to taki? – spytała.

– To byli uczniowie Johna Gregory'ego. Moje imię też widnieje na tej ścianie.

Odwróciłem się do wyjścia, ale miałem jej do powiedzenia jeszcze jedno.

– Pod koniec miesiąca będziesz mogła dopisać tu także swoje imię... Jeśli, rzecz jasna, przejdziesz próbę i uznam, że nadajesz się do tej pracy.

ROZDZIAŁ 9 KĘPA POKRZYW



Dotąd nie chciałem przenosić się do pokoju nieżyjącego mistrza: wydawało mi się, że w ten sposób okażę mu brak szacunku. Teraz jednak, gdy Jenny zajęła moją dawną sypialnię, uznałem, że czas się przeprowadzić. Ku swemu zdumieniu spałem dobrze, ale wstałem przed świtem. Poszedłem do biblioteki i w miejscu, gdzie zwykle pracowałem, położyłem na stole lusterko.

Postukałem w nie trzy razy i wymówiłem tylko jedno słowo:

– Grimalkin!

Z początku wiedźma zabójczyni nie odpowiedziała i zacząłem już się zastanawiać, czy przypadkiem nie ignoruje prób nawiązania kontaktu.

Niemal dziesięć miesięcy wcześniej, tuż po śmierci mistrza, rozstaliśmy się w dość dobrych stosunkach. Wiedziałem jednak, że ją zawiodłem, gdy odmówiłem udziału w wyprawie na północ, by dowiedzieć się czegoś więcej o Kobalosach. Zamiast tego

wybrałem życie stracharza i broń mojego mistrza – łaskę, łańcuch, sól i żelazo, a nie klingę, którą mi podarowała. Odtąd jej nie widziałem, w tym czasie mogło się wiele wydarzyć. Możliwe nawet, że Grimalkin jest za granicą, poza moim zasięgiem.

Miałem już zrezygnować, gdy w końcu lusterko pojaśniało i ujrzałem przed sobą twarz czarownicy. Uśmiechnęła się, odsłaniając zęby spiłowane w szpic i czasem służące jej za broń.

– Mam tu coś, co chciałbym ci pokazać – powiedziałem powoli, starannie wymawiając każde słowo. Nie słyszała mnie, ale umiała czytać z ruchu warg; z czasem ja także opanowałem tę sztukę.

Grimalkin pokręciła głową.

– Nie mogę przybyć do Chipenden. Jestem zajęta innymi sprawami.

– Myślę, że zechcesz zmienić zdanie – nalegałem. – Dziwny stwór mordował miejscowe kobiety. Zabiłem go, ale podejrzewam, że to jeden z Kobalosów, zapewne jeden z ich magów. Chodził na dwóch nogach, miał włochate ciało, ale ogoloną twarz. Nosił długi płaszcz, tak jak opisano w bestiariuszu stracharza. Naprawdę powinnaś go zobaczyć.

Przez chwilę czy dwie czarownica patrzyła na mnie z lustra bez mrugnięcia, w końcu przytaknęła.

– Fakt, że zapuścił się tak daleko na południe, aż do Hrabstwa, bardzo mnie martwi. Zjawię się w ciągu trzech dni – oznajmiła.

A potem lusterko pociemniało.

Zastanawiałem się, gdzie jest teraz Grimalkin. Jeśli podróżowała konno, trzy dni oznaczały całkiem sporą odległość. Ale mogło być gorzej. Kraina Kobalosów leżała za Morzem Północnym, wiele tygodni jazdy od wybrzeża.

Udałem się do zachodniego ogrodu i zasypałem grób mistrza, starając się, by wyglądał możliwie najporządniej. Potem ukląknęłam i przeprosiłem go. Powtarzałem swoje przeprosiny raz po raz.

Oczywiście wiedziałem, że mnie nie słyszy – z pewnością przeprowił się już przez Limbus i odszedł do Światła. Ale przynajmniej poczułem się lepiej.

Siedziałem już za stołem, kiedy w kuchni zjawiła się Jenny. Na blacie stały dwa talerze oraz wielki półmisek pośrodku, z hojnymi porcjami boczku i jajek. Drugi talerz wypełniała sterta grubych pajd posmarowanego masłem chleba.

– Spóźniłaś się – oznajmiłem. – Dzwon zadzwonił pięć minut temu.

– Przepraszam – uśmiechnęła się bezczelnie. – Jutro spiszę się lepiej.

– Cóż, lepsze to niż zejście zbyt wcześnie. Ja sam zrobiłem tak mojego pierwszego ranka w tym domu i bogin nieźle przetrzepał mi uszy!

Przytaknęła, usiadła i poczęstowała się boczkiem i jajkami. Potem, nim jeszcze przełknęła pierwszy kęs, spojrzała mi w oczy z poważną miną.

– Jutro nadal tu będę, prawda? Mówiłeś poważnie, że przyjmiesz mnie do terminu?

– Owszem, mówiłem poważnie, ale najpierw czeka cię miesięczny okres próbny. Będziesz też musiała przejść próbę i przekonać mnie, że się nadajesz.

Postanowiłem potraktować ją tak, jak mój mistrz mnie i poprzednich uczniów. Mieliśmy miesiąc, by dowieść, czy jesteśmy godni terminu. Próba miała ustalić, czy starczy nam

odwagi do starć z Mrokiem.

– Czyli idziemy do nawiedzonego domu?

– Wiesz o tym? – spojrzałem na nią ze zdumieniem. – Skąd się dowiedziałas?

– Łatwizna. – Znów uśmiechnęła się łobuzersko. – Mnóstwo chłopców nie przeszło tej próby. Rozmawiałam z jednym z nich: oczywiście teraz to mężczyzna i ma własnych synów. Nie pamiętał jednak nazwy miasteczka, w którym stoi dom. To gdzieś na południe stąd, prawda?

– Nazywa się Horshaw: ale najpierw powinniśmy pomówić z twoimi rodzicami.

– Musimy odwiedzać mamę i tatę? – Jenny zrzęda mina.

– Musimy. Wszystko trzeba załatwić jak należy. Muszę im wyjaśnić, co oznacza zostanie moim uczniem.

Jenny westchnęła głośno, ale więcej nie protestowała.

Zastanawiałem się, czemu nie ma ochoty odwiedzać rodziców, na razie jednak odpuściłem.

– Jak masz na nazwisko? – spytałem.

– Calder – odparła.

– A gdzie mieszkasz?

– Na północ od Grimsargh.

Grimsargh leżało pięć mil na południe od Long Ridge, z łatwością mogliśmy obrócić tam i z powrotem przed zachodem słońca. Zapowiadała się miła przechadzka, a wolałem to załatwić, nim rozpocznę szkolenie Jenny.

W czasie marszu rozmyślałem o tym, w co się właśnie wpakowałem. Przyjęcie Jenny do terminu poważnie odmieni moje życie. Owszem, położy kres samotności, ale z drugiej strony oznaczać będzie mnóstwo dodatkowej pracy i odpowiedzialności.

Późnym rankiem dotarliśmy na miejsce. Rodzice Jenny mieszkali w typowym domku robotników rolnych z szarego kamienia, z małymi oknami i frontowymi drzwiami, bezpośrednio wiodącymi do ciasnej głównej izby.

Zamierzałem zapukać, ale Jenny weszła wprost do środka, więc podążyłem za nią. Zobaczyłem niewielki ogień, a przy nim mężczyznę i kobietę. Mężczyzna rozgrzewał właśnie dłonie, z tysej czaszki nad uszami wyrastały kępkę siwych włosów. Kobieta nosiła czepek, niezbyt czysty, pomarszczone dłonie pokrywały nabrzmiałe, sine żyły. Oboje najlepsze lata mieli już za sobą.

– Mamo! Tato! – rzuciła bez wstępu Jenny. – To jest mości Ward, stracharz z Chipenden. Przyjmie mnie do siebie do terminu!

Ojciec Jenny nie odwrócił się nawet, by mnie pozdrowić; nadal rozgrzewał dłonie, wbijając wzrok w ogień. Matka nie wstała na powitanie, ale przynajmniej obróciła głowę i popatrzyła mi w oczy.

– To szalona dziewczyna! – Skinieniem wskazała Jenny. – O mało przez nią nie umarłam, o tak. Wałęsa się po całym Hrabstwie i w ogóle nie przyjdzie jej do głowy, żeby pomóc biednym starym mamie i tacie. Straszne z nią utrapienie. Żałuję, że nie mieliśmy chłopca zamiast tej zwariowanej dziewczyny.

– Wystarczy, matko – upomniał gniewnie ojciec Jenny, po czym obrócił się na krześle i po raz pierwszy spojrzał na mnie. – Cóż, mości Wardzie, przejdźmy do interesów. Skoro zamierzasz ją zatrudnić, ile zapłacisz za jej usługi?

Uśmiechnąłem się.

– Zwykle wygląda to odwrotnie, panie Calder – wyjaśniłem. – Kiedy mój mistrz przyjął mnie do terminu, tato zapłacił mu na początek dwie gwinee i kolejnych dziesięć po upływie okresu próbnego. Widzi pan, dzięki mnie Jenny pozna fach, który w końcu zapewni jej niezłe utrzymanie. I co więcej... nie musi płacić za wikt i opierunek. Gwinee to zaledwie część kontraktu, nie wystarczą na pokrycie pełnych kosztów.

– Ale przecież będzie ciężko pracować i ułatwi panu życie. Powinieneś pan za to zapłacić, inaczej nie uchodzi.

– Zawsze tak właśnie postępowaliśmy – tłumaczyłem spokojnie. – Z początku uczniowie niewiele mogą pomóc. Nawet po kilku latach nauki rzadko sami wykonują zlecenia.

Oczywiście tak naprawdę wiedziałem tylko, że John Gregory tak postępował, ale nie zamierzałem się do tego przyznawać.

– A dlaczego to?

– Bo to niebezpieczna praca, panie Calder. Część stworów z Mroku może zabić: zwłaszcza boginy.

– Boginy! – prychnął. – Co za kupa bzdur! Duchy i boginy to tylko przesady, by wystraszyć głupców, którzy zapłacą ładną sumkę za to, co udajecie, że robicie. Ale nie zrozum mnie pan źle, skoro da się na tym zarobić, to wcale was nie winię. Ludziska są łatwowierni. Przynajmniej zapewniamie im spokój ducha, to na pewno.

Nie widziałem sensu, by się spierać. Większość ludzi obawia się stracharzy, ale od czasu do czasu trafia się wyjątek, który w ogóle nie wierzy w Mrok. Być może takim ludziom brak wrażliwości na zjawiska nadprzyrodzone. Tak czy inaczej, niezależnie od przyczyn ludzie ci są pewni swoich racji i nie ma sensu próbować ich przekonać.

– Pański tato musiał być bogaczem, skoro stać go było na dwanaście gwinei – narzekał ojciec Jenny.

Pokręciłem głową.

– Nie był bogaty – wyjaśniłem. – Zwykły, ciężko pracujący farmer, który musiał utrzymać siedmiu synów.

– Ja nie jestem farmerem, tylko dla farmerów pracuję, a oni płacą mi grosze. Możesz mi pan wierzyć.

Zapadła cisza; Jenny wyglądała, jakby miała ochotę zapaść się pod ziemię.

W końcu odezwałem się pierwszy, z kolejnym pytaniem.

– Czy reszta córek nie mieszka już w domu?

– To były dobre dziewczęta! – wtrąciła matka Jenny. – Bez kłopotu wydaliśmy je za mąż. Bez cienia kłopotu. Teraz obie mają własne dzieci.

Pokiwałem głową, zmuszając się do uśmiechu, ale serce ścisnęło mi się boleśnie. Jej słowa zaprzeczały twierdzeniom Jenny, że jest siódmą córką siódmej córki. Czyżby mnie okłamała, zakładając, że nie odwiedzę jej rodziny?

– Obie? – powtórzyłem. – A pozostałe córki, pani Calder?

– Nie mamy innych córek. Chcieliśmy mieć więcej dzieci, ale nie nam się nie udało – oznajmiła kobieta. – Dlatego właśnie przygarnęliśmy Jenny.

Zirytowałem się. Miałem ochotę po prostu wyjść i wrócić wprost do Chipenden, ale jakaś część mnie chciała uwierzyć Jenny – jeśli została przygarnięta, wciąż istniała szansa, że mówi prawdę.

– Kim byli jej rodzice?

– Jeśli nawet Bóg wie, to nie chce powiedzieć! – odparła. – Znalazłam Jenny porzuconą

w kępie pokrzyw za wielką stodołą. Wrzeszczała tak, że umarłego by obudziła, całą pupkę miała poparzoną. Choć byliśmy już niemłodzi, mamy dobre serca, a że chcieliśmy mieć więcej dzieci, zabraliśmy ją.

Zerknąłem na Jenny, która zarumieniła się mocno.

– Oczywiście, nie wyrosła na dziewczynkę, jakiej oczekiwaliśmy – podjęła kobieta. – Kępę pokrzyw otaczał wielki chochlikowy krąg najwyższych i najżółciejszych kaczeńców, jakie w życiu widziałam. Ponoć miało to przynieść szczęście każdemu, kto tam wejdzie, ale jakoś tego nie zauważyłam.

Wróżki i chochlikowe kregi to tylko bzdury i przesady, ale nie strzepiłem języka nadaremnie, żeby jej to tłumaczyć. Miałem już dość towarzystwa tej pary. Wiedziałem, że z gwineami mogę się pożegnać. Zresztą i tak byli pewnie za biedni, by móc zapłacić nawet symbolicznie za naukę Jenny.

– No cóż, będę musiał rozważyć tę sytuację – oznajmiłem. – Najpierw Jenny musi przejść próbę sprawdzającą, czy nadaje się na uczennicę. Jeśli jej się uda, może znów państwa odwiedzę.

Na tym zakończyliśmy rozmowę i po krótkim pożegnaniu ruszyłem z powrotem. Jenny dreptała za mną.

– Okłamałaś mnie! – rzuciłem oskarżycielsko. – Naprawdę jesteś siódmą córką siódmej córki?

– Oczywiście, że tak – zaprotestowała.

– Jak możesz tak twierdzić? – warknąłem. – Nie wiesz nawet, kim byli twoi prawdziwi rodzice.

– Moi prawdziwi tata i mama nie żyją. Ale wiem, kim była mama. – Jenny zwiesiła głowę. – I wiem, że mam sześć siostr.

– Próbujesz mi powiedzieć, że ty wiesz, kim jest twoja matka, a twoi przybrani rodzice nie?

– Tak. Prawdziwa matka odwiedziła mnie jakieś trzy lata temu i wyjaśniła, dlaczego mnie porzuciła.

Wbiłem wzrok w Jenny. Czy mówiła prawdę?

– No i dlaczego?

– Bo tato zmarł nagle, a ona żyła w biedzie ze zbyt wieloma gębami do wykarmienia i bez żadnej nadziei na poprawę. Była zbyt dumna, żeby poprosić kogoś, by mnie przyjął. Zostawiła mnie zatem w miejscu, gdzie musieli mnie znaleźć.

– A po co odszukała cię po tylu latach?

– Ponieważ umierała: doktor dawał jej tylko parę tygodni życia. Przyszła, by mi powiedzieć, że jestem siódmą córką siódmej córki. Zrobiła tak, abym była gotowa na chwilę, gdy zaczną widzieć umarłych. Ona sama także była siódmą córką siódmej córki, ale jej nikt nie przygotował na to, co się stanie, i omal nie oszalała. Wolała zatem mnie uprzedzić, czego się mogę spodziewać.

– Ja widywałem zmarłych w bardzo młodym wieku – poinformowałem ją. – Masz teraz piętnaście lat, miałaś dwanaście, kiedy odwiedziła cię matka. Przez te wszystkie lata nie wydarzyło się nic niezwykłego?

– Kilka razy słyszałam szeptanie w ciemności, a raz coś dotknęło mnie zimnym palcem, ale składałam to na karb wyobraźni. Moja prawdziwa mama mówiła, że wszystko zacznie się dopiero, kiedy już skończę co najmniej trzynaście lat. Może u siódmych synów jest

inaczej.

Pokiwałem głową. Możliwe, ale nadal brakowało mi pewności. Jeśli matka Jenny zmarła, może mógłbym pomówić z innymi jej córkami, sprawdzić opowieść dziewczyny. Niełatwa sytuacja, nie mogłem nikogo poprosić o radę.

– No to jak się nazywała twoja matka? Gdzie mieszkała?

– Nie podała mi swojego imienia ani nazwy wioski.

Westchnąłem zirytowany. Jeżeli dziewczyna faktycznie mówiła prawdę, odkrycie miejsca pobytu jej rodzonych sióstr byłoby niczym próby odnalezienia igły w stogu siana. Dom rodzinny z pewnością zajął już ktoś inny, a starsze siostry Jenny bez wątpienia założyły własne rodziny.

Zastanawiałem się, czy mogę jej zaufać.

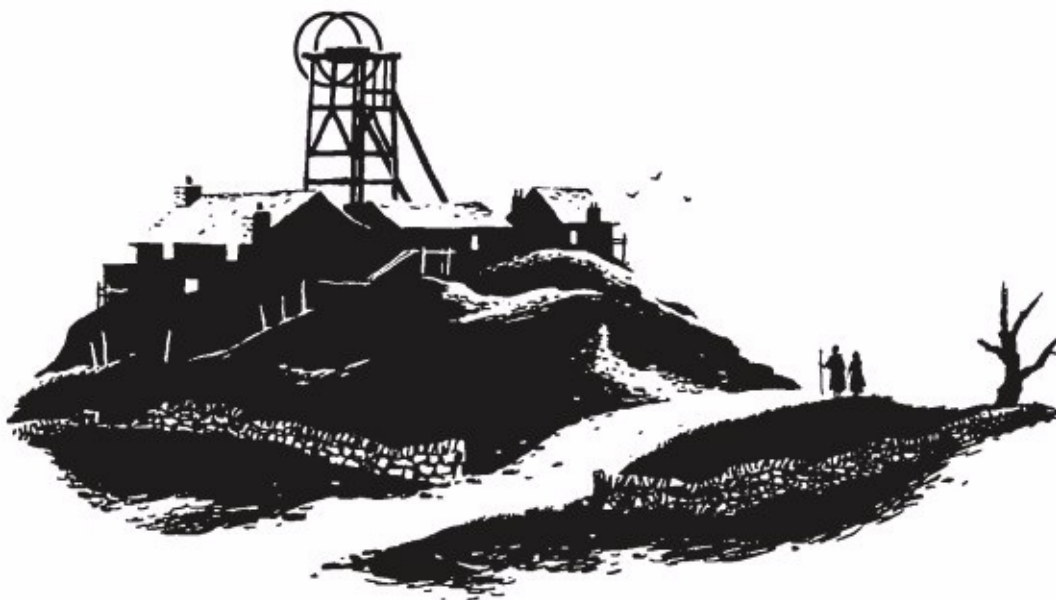
Wzruszyłem ramionami. Wkrótce się przekonam. Teraz pójdziemy i odbędziemy próbę. Jeśli Jenny to naprawdę siódma córka siódmej córki, przejdzie próbę nawiedzonego domu. Podczas gdy zwykli ludzie odwiedzający ten dom czuli lekki niepokój, wydawało im się, że ktoś ich obserwuje albo słyszeli kilka stuknięć, siódmy syn siódmego syna oglądał pełne, upiorne widowisko. Jeśli faktycznie dysponowała podobnymi mocami, z nią będzie tak samo.

– Teraz zmierzamy do Horshaw – oznajmiłem spokojnie. – Poddam cię tej samej próbie, którą musiałem przejść u mego mistrza, a przede mną wszyscy wcześniejsi uczniowie.

– Nie mogę rzec, że czekam niecierpliwie – odparła Jenny. – Ale dołożę wszelkich starań. Cokolwiek to będzie, z pewnością nie okaże się gorsze niż wiszenie w środku drzewa do góry nogami, podczas gdy bestia wysysa mi krew i mnie gryzie!

Tu miała rację, ale w drzewie została związana i nie mogła uciec. Najpierw musiałem się dowiedzieć, czy rzeczywiście słyszy widma, a potem, czy nie ucieknie. Nie warto przyjmować do terminu kogoś, kto umknąłby przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ 10 NAWIEDZONY DOM



Wręczyłem Jenny swoją torbę.

– Od tej pory ty będziesz ją nosić – oznajmiłem. – To jeden z obowiązków ucznia.

Sam mogłem nosić własny bagaż, ale poszedłem w ślady mojego mistrza, podtrzymując tradycję, której on nauczył się od swego mistrza, Henry’ego Horrocksa.

Uśmiechnęła się, ale kiedy poczuła ciężar, zrzędła jej mina.

– Co ty tam nosisz, kuchenny zlew? – spytała. – Kiedy dostanę własną torbę i laskę?

– Przejdź próbę, a dam ci tymczasową laskę. Posłuży ci, dopóki nie zamówimy nowej. A przy okazji – dodałem złośliwie – stracharz ma prawo nadać uczniowi nowe imię. Jakie zatem wolisz? Masz do wyboru trzy: Chochlik, Kaczeniec lub Pokrzywa. Hę?

Nie odpowiedziała; najwyraźniej nie zachwyciło jej moje poczucie humoru.

Przybrałem zatem surową minę.

– A teraz chodź za mną i nie zwlekaj; do zachodu słońca musimy przebyć kilka mil.

Jenny posłała mi gniewne spojrzenie, po jej twarzy przebiegł grymas irytacji. Była dumna, bez wątpienia nie lubiła, gdy się jej rozkazywało. Ale nie odpowiedziała. Uświadomiłem sobie, że kazałem jej nie zwlekać. Uśmiechnąłem się do siebie. John Gregory często mnie tak upominał.

Oczywiście, Jenny nie dostrzegła mojego uśmiechu. Ruszyłem naprzód, narzucając wściekłe tempo, tak że potykając się, niemal biegła kilka kroków za mną. To był kolejny zwyczaj mojego mistrza – może chciał w ten sposób dać mi przykład, gdy się spieszył; naprawdę trudno było dotrzymać mu kroku, kiedy dźwigało się ciężką torbę; wiedziałem o tym aż za dobrze.

Robiłem to wszystko niemal bez namysłu, podążając w ślady mistrza. Wiedziałem jednak, że będę musiał dopracować się własnych metod. Podejrzywałem, że najtrudniej jest zawsze przy pierwszym uczniu, potem zrobi się coraz łatwiej.

A przynajmniej miałem taką nadzieję!

Do górniczej wioski Horshaw dotarliśmy tuż po zmroku. Od czasu do czasu dostosowywałem tempo marszu tak, żeby na pewno znaleźć się na miejscu o zachodzie słońca – z pewnością John Gregory postępował tak samo przy każdym kolejnym sprawdzanym uczniu.

Widziałem już stos żużlu na wzgórzu górującym nad wioską, a także wielkie drewniane koło, okute metalem. Służyło do opuszczania platformy w głąb pionowego szybu; właśnie w ten sposób górnicy docierali do ściany węgla. Kiedy mistrz mnie tu przyprowadził, minęliśmy grupę górników wspinających się po zboczu przed nocną zmianą. Na widok stracharza i jego ucznia przestali śpiewać, a nawet przeszli na drugą stronę drogi, byle nas uniknąć.

Dziś jednak na wąskich, brukowanych uliczkach było zupełnie pusto. Wkrótce dotarliśmy do stóp wzgórza i skręciliśmy w opuszczoną alejkę, pełną powybijanych i zabitych deskami okien. Dobrze pamiętałem to miejsce, lecz kiedy oglądałem je ostatnio, znak zawieszony na pojedynczym, zardzewiałym haku informował, że to Zaulek Wodny. Teraz ów znak zniknął.

Nasz cel stanowił dom na końcu szeregu, najbliższy opuszczonego magazynu ziarna. Na drzwiach przybito numer, 13.

– To jest to miejsce – poinformowałem Jenny, wsuwając klucz w zamek.

Już w środku zapaliłem świecę i wręczyłem ją dziewczynie. W niewielkim saloniku nic się nie zmieniło. Był pusty – na wykładanej kamiennymi płytami podłodze pozostała tylko zwalona pod oknem sterta brudnej słomy. Firanki pożółkły i wystrzępiły się, w całym pokoju zwieszały się pajęczyny.

Jenny postawiła moją torbę na podłodze. Rozejrzała się dokoła, szeroko wytrzeszczając oczy.

Nagle po plecach przebiegł mi zimny dreszcz – os- trzeżenie, jakie odbiera siódmy syn siódmego syna, kiedy w pobliżu czai się coś z Mroku. Wkrótce pojawią się widma. Czy Jenny zdoła je zobaczyć i usłyszeć? Czy starczy jej odwagi, by stawić czoło tym straszliwym istotom?

Wskazałem wewnętrzne uchylone drzwi.

– Tam jest kuchnia, a po prawej kamienne schody, wiodące do piwnicy.

Przypomniałem sobie, jak schodziłem po tych stopniach, walcząc ze sobą, by nie stchórzyć, i szykując się na to, co może czekać w piwnicznej ciemności.

– Upływ czasu możesz ocenić po kościelnych dzwonach – podjąłem. – Oto, co musisz zrobić. To bardzo proste: o północy zejdź do piwnicy i staw czoło temu, co się tam czai. Zrób to, Jenny, a przyjmę cię do terminu przynajmniej na miesiąc. To próba twojej odwagi w obliczu Mroku. Zrozumiałaś?

Przytaknęła, ale nie wyglądała na uszczęśliwioną. Cała dygotała, straciła wcześniejszą śmiałość. W pokoju było chłodno, ale czy trzęsła się z zimna, czy ze strachu? Nie potrafiłem orzec, aż za dobrze jednak pamiętałem grozę, jaką czułem, pozostawszy sam w tym domu.

Potem przypomniałem sobie, co jeszcze mówił mi stracharz, i udzieliłem Jenny tej samej rady.

– Nikomu nie otwieraj drzwi. Możesz usłyszeć głośnie stukanie od frontu, ale oprzyj się pokusie i nie odpowiadaj. Tego jednego zrobić ci nie wolno.

Wiedziałem, co się kryje za drzwiami: widmo krążące po ulicy było jeszcze niebezpieczniejsze niż te dwa w domu. Stracharz opowiedział mi o nim w dzień po naszych tu odwiedzinach. Kiedyś w miasteczku żyła stara kobieta, „pukaczka”, której górnicy płacili, by budziła ich na nocną zmianę, stukając do drzwi. Nie wiedzieli jednak, że zakradała się też do ich domów i przywłaszczała sobie różne rzeczy. Pewnego dnia jeden z domowników ją przyłapał, a ona zadźgała go nożem i zawisała za swą zbrodnię. Teraz po zmroku jej widmo nawiedza ulicę, wciąż próbując podstępem dostać się do domów.

Karmiło się strachem – ale oczywiście nie zdołałoby nikogo zabić, ale gdyby człowiek poddał się grozie, mogłaby doprowadzić go na skraj obłądu.

Jenny miała silny umysł; byłem pewny, że przeżyje podobne spotkanie. Liczyłem jednak, że w ogóle nie otworzy drzwi.

– Bez względu na to, co zrobisz, nie pozwól, by zgasła ci świeca – podjąłem.

Moja świeczka zgasła, ale na szczęście miałem w kieszeni hubkę i krzesiwo, pożegnalny prezent od taty, gdy odchodziłem z domu, by zostać nowym uczniem stracharza. Jenny nie zdołałaby zapalić świecy, toteż wiedziony nagłym odruchem szczodrości wyciągnąłem hubkę z kieszeni i podałem jej.

– Masz, możesz to pożyczyć, tylko nie zgub; to prezent od mojego taty, więc jest bardzo bliski memu sercu.

A potem bez słowa wymaszerowałem przez drzwi frontowe, pozostawiając ją zupełnie samą w nawiedzonym domu.

Dobrze wiedziałem, co robić dalej. Na długo po mojej próbie mistrz opowiedział mi, co zawsze czynił z każdym uczniem: okrążał dom, otwierał tylne drzwi, wślizgiwał się do kuchni i zakradał po stopniach do piwnicy.

Tak właśnie zrobiłem. W parę minut później przykucnąłem w ciemności, oparty plecami o beczkę. Teraz wystarczyło tylko zaczekać na Jenny. Musiała zejść o północy do piwnicy. Kiedy już to zrobi, wstanę i oznajmię, że przeszła próbę. Najpierw jednak będzie musiała znieść kilka bardzo niebezpiecznych spotkań.

Dom nawiedzały widma, ale nie duchy, nie były więc świadome swojego otoczenia. Widma to mroczne cząstki cierpiących dusz, porzucone po tym, jak ich większa część

uciekła do Światła. Raz po raz odgrywiają tęsceny z życia, które wywołały wstrząs – i dziewczyna wkrótce się o tym przekona.

Czekałem. Miałem nadzieję, że Jenny zachowa dość rozsądku, by mnie posłuchać, i nie otworzy frontowych drzwi, wpuszczając groźniejsze widmo. Kiedyś próbowało mnie oszukać, naśladowując głos mamy, dobywając go z mojego umysłu i idealnie odtwarzając. Zdołałem oprzeć się odruchowi nakazującemu odpowiedzieć, ale teraz zastanawiałem się, jakim głosem widmo spróbuje zwabić Jenny. Bez wątpienia będzie to ktoś z jej przeszłości, kogo lubiła i komu ufała. Podejrzywałem, że gdyby dziewczyna faktycznie otworzyła drzwi, ujrzałyby coś straszliwego – unoszącą nóż staruszkę z mordem w oczach.

Wkrótce widma z domu zaczęły dawać znać o sobie.

Zacząło się w najdalszym kącie piwnicy: usłyszałem dobiegające z niego rytmiczne odgłosy kopania: dźwięk ciężkiej, mokrej ziemi, przerzucanej szpadlem, każdemu oderwaniu łopaty towarzyszyło miękkie mlaśnięcie. Ogarnął mnie mocniejszy chłód, towarzyszący bliskości czegoś z Mroku i choć wiedziałem, że dziewczyna odczuje to znacznie gorzej, musiałem przyznać w duchu, że szczerze się ucieszę, kiedy próba dobiegnie końca. Nie bałem się, ale było nieprzyjemnie.

Widmo kopało grób; wiązała się z tym okropna historia. Należało do górnika, który w szale zazdrości uwierzył, że żona w tajemnicy spotyka się z innym mężczyzną. Pewnej nocy w ataku furii zabił ją, uderzając w głowę ciężką bryłą węgla, i tu, w piwnicy, wykopał jej grób. Co gorsza jednak, kobieta tak naprawdę nie zginęła, i kiedy zaciągnął ją do dziury, wciąż żyła. Pogrzebał ją żywcem, a potem sam się zabił.

I to właśnie teraz słyszałem: widmo górnika, kopiącego przedwcześnie grób żony. Jeśli Jenny naprawdę była obdarzona talentem, tak jak twierdziła, ona też go usłyszy. A brzmiał przerażająco.

John Gregory wymyślił tę skuteczną metodę sprawdzania swoich uczniów. Ostatecznie, jaki sens ma szkolenie tygodniami kogoś tylko po to, by uciekł, gdy po raz pierwszy natknie się na coś strasznego? To bez wątpienia bardzo ciężki fach i nadają się do niego tylko ludzie twardzi.

Nagle odgłos kopania umilkł i w piwnicy zapadła cisza, nieruchoma, dławiąca, wypełniająca cały dom. A potem usłyszałem serię łoskotów: ciężkie, niewidzialne buty wspinały się po stopniach w stronę kuchni. Widmo odchodziło ode mnie.

Zbliżało się do Jenny.

Widma karmią się strachem i czerpią z niego siłę. Im bardziej Jenny się bała, tym straszniejsze będzie dla niej to spotkanie.

Po jakimś czasie niewidzialne buty znów zeszły po stopniach i zatupały o podłogę piwnicy, przechodząc tuż obok miejsca, w którym siedziałem.

Potem, tak jak się spodziewałem, usłyszałem łomotanie w drzwi. Trwało bardzo długo, ale Jenny mnie posłuchała i nie usłyszałem, by odpowiedziała.

Kiedy odległy zegar wybił wpół do jedenastej, widmo znów zaczęło kopać, lecz ku mojemu zdumieniu tym razem nie wspięło się po schodach. Oznaczało to, że Jenny musiała wykazać się wielką odwagą – widmo nie miało się czym karmić i nie będzie jej więcej dręczyć.

Nie ma wątpiwości: odwaga bardzo ułatwia stracharzowi pracę, a Jenny najwyraźniej jej nie brakowało. Oczywiście, zakładałem, że naprawdę jest dość wrażliwa, by w pełni odczuć grozę widm. Następane pół godziny mijało powoli, w końcu jednak usłyszałem

dwanaście uderzeń dzwonu, oznaczające północ.

Czekałem, spodziewając się usłyszeć Jenny, schodzącą po schodach.

Ale w domu panowała cisza.

Może dziewczyna zasnęła i nie usłyszała dzwonu?, pomyślałem. Straszne przeżycia w dziupli Kobalosa z pewnością wiele ją kosztowały. Oczekałem zatem cierpliwie następne pół godziny, a potem wspiąłem się na schody.

Frontowy pokój był pusty. Drzwi stały otworem.

Jenny uciekła w noc.

ROZDZIAŁ II

ODMIANA RZADKA I WYJĄTKOWA



Zacząłem jej szukać. Może nie odeszła daleko... Wspiąłem się na wzgórze, nie zbaczając z głównej drogi, ale sprawdzając każdą brukowaną kocimi łbami ulicę po prawej i lewej. Czyżby widmo skusiło Jenny do otwarcia drzwi?

Poważnie w to wątpiłem. Ostrzegałem ją; była rozsądna i stawiałaby opór, tak jak ja podczas próby.

Najpewniej po prostu poddała się strachowi i uciekła, co oznaczało, że nie zdała egzaminu.

Po jakiejś godzinie stanąłem na stromym, trawiastym zboczu, wiodącym do rumowiska i szybu kopalni, i spojrzałem w dół, na wioskę. Nic się tam nie poruszało. Gdyby nie wiatr wzdychający wokół szczytu, panowałaby absolutna cisza. Wszyscy, którzy nie harowali w szybie na nocną zmianę, leżeli bezpiecznie w łóżkach.

Poddałem się i ruszyłem przez noc z powrotem do Chipenden. Po drodze znów ogarnęły

mnie wątpliwości. Tak naprawdę nie byłem gotów przyjąć nikogo do terminu. Choć jako pełnoprawny stracharz miałem na swoim koncie sporo sukcesów, jeszcze niedawno sam byłem uczniem. Ocenilem, że potrzebuję co najmniej pięciu lat – tyle czasu zabierze mi zgromadzenie wiedzy i doświadczeń niezbędnych, aby właściwie kogoś wyszkolić.

Co więcej, to przecież dziewczyna, a z tego, co mi wiadomo, nigdy nie istniała kobieta stracharz. To mogło wywołać mnóstwo problemów. Zresztą kto wie, jakimi mocami dysponuje siódma córka siódmej córki? Zbyt pochopnie zgodziłem się ją przyjąć – może chciałem jej wynagrodzić to, że omal nie zginęła z rąk Kobalosa. Wiedziałem, że potrafi się ukrywać i trudno ją znaleźć, ale czy jest odporna na czary? Czy naprawdę słyszy zmarłych i może z nimi rozmawiać, jak twierdziła? Prawdę mówiąc, miałem mieszane uczucia. Choć nie podała mi żadnych twardych dowodów, świadczących, że naprawdę jest siódmą córką siódmej córki, spodziewałem się, że przejdzie próbę. W myślach przywykłem już do idei posiadania uczennicy. Doskwierała mi samotność – to oczywiście część tego fachu, lecz od śmierci mistrza zostałem zupełnie sam. Alice porzuciła nas i na dobre przeszła na stronę Mroku. Ucieszyłbym się, gdyby w domu zamieszkał ktoś jeszcze; ktoś, z kim mógłbym pracować. Przypomniałem sobie, co kiedyś powiedziała mi Alice, podczas pierwszego roku terminu: „Pewnego dnia ten dom będzie należał do nas, Tomie. Nie czujesz tego?”

Nagle boleśnie ścisnęło mi się gardło, gdy znów usłyszałem w myślach jej słowa. Samotność to coś okropnego.

Kiedy Jenny przedstawiła mi się, przeżyłem wstrząs, gwałtownie powracając myślami do wizji przyszłości, jaką zesłał mi mroczny mag, i nowego imienia na końcu listy na ścianie mojego pokoju w Chipenden.

Jenny.

Z irytacją wzruszyłem ramionami. Postrzeżenie nie zawsze właściwie przepowiada przyszłość. Może ją zmienić każda podjęta przez nas decyzja, każdy krok, który postawimy bądź nie.

Kroki Jenny zawiodły ją w złą stronę – z dala od piwnicy. Nie przeszła próby i jej imię już nigdy nie trafi na ścianę.

Porzucając myśli o tym, co może przynieść przyszłość, coś sobie przypomniałem i zakląłem pod nosem. Jenny wciąż miała hubkę i krzesiwo taty. Chciałem je odzyskać. Jeśli ich nie zwróci, w pewnym momencie będę musiał wybrać się do Grimsargh, by je odebrać.

Następne dwa dni minęły spokojnie. Nikt nie uderzał w dzwon na rozstajach wśród wierzb. Czekając na przybycie Grimalkin, zająłem się rutynowymi sprawami: codziennie ćwiczyłem kilka godzin z łańcuchem i laską, zdecydowany odzyskać dawną formę. Przy okazji wyładowywałem na pniaku całą złość na Jenny.

Zacząłem też ponownie czytać notatniki stracharza, na wypadek gdybym przeoczył jakąś wzmiankę o Kobalosach. Traktował o nich tylko niewielki podrzdział bestiariusza, ale słowa mistrza i jego głos rozbrzmiewający w mojej głowie dodawały mi otuchy.

John Gregory własnoręcznie napisał i zilustrował bestiariusz, a teraz odczytałem jego ostatnie słowa, dotyczące utraty ukochanej biblioteki i książek w pożarze; książek

stanowiących dar dawnych stracharzy dla tych, którzy dopiero podejmą się tego fachu.

Teraz, gdy zdążyłem przemyśleć całą sprawę, przepelnia mnie nowa siła i determinacja. Moja walka z Mrokiem wciąż trwa. Pewnego dnia odbuduję bibliotekę, a ta książka, mój osobisty bestiariusz, jako pierwsza spocznie na jej półkach.

John Gregory z Chipenden

Przed śmiercią w bitwie mistrz dotrzymał obietnicy: odbudował dom i bibliotekę. Niestety, jak dotąd na drewniane półki trafiła zaledwie garstka książek. To będzie moje zadanie. Przez całe życie oprócz walki z Mrokiem będę musiał uzupełniać bibliotekę w Chipenden.

Grimalkin zjawiała się wczesnym rankiem trzeciego dnia po ucieczce Jenny. Usłyszałem jej wołanie wśród drzew i poszedłem na skraj ogrodu, by przyprowadzić ją do domu i uprzedzić bogina, że znalazła się tu za moim przyzwoleniem.

Okazało się, że przyjechała konno. Wyjąwszy z juków dużą kopertę, zostawiła wierzchowca pasącego się w zachodnim ogrodzie. Powitała mnie krótko, po czym w milczeniu pomaszzerowaliśmy do domu.

Wiedźma zabójczyni wyglądała zupełnie jak wtedy, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy. Jak zwykle, całe jej ciało opasywały rzemienie, z których zwieszało się mnóstwo różnych kling. Na ubraniu dostrzegłem kilka plam krwi, poważnie jednak wątpiłem, czy należała do niej.

– Czy noga wciąż ci dolega? – spytałem.

Walcząc ze sługami Mroku, Grimalkin paskudnie złamała lewą nogę. Naprawiła ją srebrną śrubą, a choć w ten sposób przywróciła kończyźnie dawną sprawność i siłę, musiała odtąd znosić nieustanny ból.

– Dlaczego pytasz?

– Ten koń – wyjaśniłem. – Kiedyś wszędzie chodziłaś pieszo lub biegałaś.

Pokręciła głową.

– Noga wciąż boli, ale służy mi jak zawsze. Potrzebuję konia, bo ostatnio musiałam przebywać duże odległości szybciej, niż da się to zrobić piechotą.

Przytaknąłem, zastanawiając się, gdzie zawiodły ją ostatnie podróże. Ona jednak nie podjęła tematu. Wiedźma zabójczyni zazdrośnie strzegła swych tajemnic.

Wprowadziłem ją do kuchni.

– Jesteś głodna?

– Na razie wystarczy woda.

Nalałem jej duży kubek, który wychyliła duszkiem.

– Pogrzebałeś tego stwora? – spytała.

– Nie, bo pomyślałem, że może zechcesz go obejrzeć. Został w kryjówce.

– Do tej pory pewnie już śmierdzi, ale owszem, słusznie postąpiłeś. Chcę go zbadać. Czy to daleko stąd?

– Jakies trzy kwadranse piechotą.

– W takim razie nie traćmy czasu. Jak go zabiłeś?

– Mieczem, który mi podarowałaś. Bestia władała potężną mroczną magią, zmałała gwałtownie i wysliznęła się ze srebrnego łańcucha. Byłem bezradny, na jakiś czas mnie sparaliżowała, ale zdołałem uciec i wrócić po broń.

– Rozkopałeś grób Johna Gregory’ego?

Zwiesiłem głowę.

– Nie miałem wyboru. Stwór uwięził dziewczynę. Wysysał z niej krew i w końcu by ją zabił.

– Zatem potrzebowałaś miecza, żeby przeżyć... Z opisu wynika, że miałeś do czynienia z bardzo rzadką i wyjątkową odmianą Kobalosa. Postąpiłeś głupio, zakopując tę klingę – dodała szorstko Grimalkin. – Zawiodłeś mnie.

Nie odpowiedziałem. Wiedziałem, że ma rację.

– Jeśli to ten, o kim myślę – dodała – miałeś szczęście, że zwyciężyłeś, nawet z pomocą miecza.

– Znasz tego stwora?

– Możliwe. Wkrótce się przekonamy. Masz – położyła na stole kopertę – to kopia dokumentu, który kiedyś należał do twego mistrza, glosariusz informacji na temat Kobalosów zebranych przez dawnego stracharza, niejakiego Nicholasa Browne’a. Sugeruję, żebyś uważnie go przestudiował.

Znałem to nazwisko – stracharz wspominał o Brownie w przypisie w swoim bestiariuszu; to Nicholas stanowił źródło informacji na temat Kobalosów.

– Gdzie znalazłaś ten dokument? – spytałem.

– Natknęłam się na niego, szukając informacji w północnych krajach, sąsiadujących z terytorium Kobalosów. Tamtejsi mieszkańcy gromadzą wiedzę na temat swojego odwiecznego wroga i przechowują własne archiwa. To najzwięźlejszy i najużyteczniejszy opis Kobalosów i ich praktyk, z jakim się zetknęłam. I dobry początek; z czasem go rozbudujemy.

Zauważyłem, że powiedziała „my”, nie „ja”. Najwyraźniej uznała za oczywiste, że dołączę do niej w tym przedsięwzięciu.

Sięgnąłem po kopertę, ale Grimalkin pokręciła głową.

– Na to będzie dość czasu później. Chodźmy obejrzeć jamę stwora.

Nie zabrałem laski. Z Grimalkin u boku wiedziałem, że nie będzie mi potrzebna. Zamiast tego sięgnąłem do komórki po szpadel i poniosłem go na ramieniu.

Po drodze opowiedziałem szczegółowo, co się wydarzyło: o tym, jak umarły trzy dziewczęta z Hrabstwa, jak Jenny wskazała mi kryjówkę bestii i jak po schwytaniu zdołałem się uwolnić, wróciłem biegiem po miecz i zdążyłem akurat na czas, by ją ocalić. Nie wspominałem jednak, że przyjąłem Jenny do terminu i że uciekła z nawiedzonego domu w Horshaw. Nie miało to żadnego związku z naszymi sprawami.

W końcu dotarliśmy do rozłożystego dębu. Nim jeszcze ujrzelśmy muchy, usłyszeliśmy je; wewnątrz pnia dosłownie się od nich roiło. Wielkie brzęczące robaczki laziły po truchle bestii, której twarz pokrywała skłębiona warstwa wijących się larw. W powietrzu wisił tak potworny smród, że musieliśmy zatkać nosy.

Grimalkin wymamrotała coś cicho i brzęczenie ucichło. Usłyszałem szelest much spadających na podłogę; zabiła je jej magia. Potem czarownica odgarnęła martwe owady i larwy z twarzy stwora i przyglądała jej się długą chwilę.

– Jak według ciebie powinienem postąpić, jeśli natknę się na następnego? – spytałem w końcu, przerywając ciszę. – Gdybym schwycił go żywcem, czy da się uwięzić go w jamie, jak czarownicę?

– Jeśli utniesz mu język i zaszyjesz usta, raczej nie zdoła uciec – odparła wiedźma zabójczyni. – Osobiście jednak uważam, że nie warto ryzykować. Zabij go, gdy tylko nadarzy się sposobność. Stwory te znają potężną magię, a z niektórymi zdolnościami, takimi jak zmiana rozmiaru, już się rodzą i nie potrzebują do tego mrocznych zaklęć. Mogą chuchnąć ci w twarz i pozbawić świadomości albo odebrać ci wolę.

– Przekonałem się o tym na własnej skórze – mruknąłem ponuro.

– To rzadka i wyjątkowa odmiana kobaloskiego maga: haizdan – podjęła Grimalkin. – Spotkałam jednego takiego podczas podróży na północ. Podejrzewam, że ten tutaj jest bardzo młody, tuż po nowicjacie, na wczesnym etapie szkolenia. Nigdy ich nie lekceważ. Są bardzo niebezpieczni. Ten mój nazywał się Wijec i był potężnym wojownikiem. Jego nie zabiłbyś tak łatwo. W istocie wątpię, czy przeżyłbyś podobne spotkanie.

Słyszając to, poczułem ukłucie irytacji.

Jedną ręką Grimalkin chwyciła martwego kobaloskiego maga za lewą stopę, drugą złapała włosy tuż przy głowie, po czym wywlokła go z kryjówki na dwór, a ja podążyłem za nią.

– To miejsce świetnie się nadaje – uznała, upuszczając bestię jakieś osiemdziesiąt stóp od drzewa, tam gdzie nie sięgały już korzenie.

– Ty wykop grób, a ja zacznę badania – poleciła. – Wciągnij bestię do dołu, ale jeszcze jej nie zasypuj.

– Szukasz czegoś szczególnego?

– Muszę dowiedzieć się o naszych nieprzyjaciółach, ile się tylko da.

Rozdział 12

Glosariusz Nicholasa Browne'a

ROZDZIAŁ 12

GLOSARIUSZ NICHOLASA BROWNE'A



Kiedy już wykopałem grób i zaciągnąłem do nie go maga, oparłem szpadel o pień drzewa i wszedłem do środka. Grimalkin podważyła wieczko jednego ze słoików i obwąchiwała zawartość. Wypełniał go jasnozielony śluz, w którym dostrzegłem szare drobinki.

– Znalazłaś coś ciekawego? – spytałem.

– Mnóstwo z tych rzeczy wykracza poza moją wiedzę. Na przykład podejrzewam, że ten zielony żel to środek konserwujący; wewnątrz tkwią małe kawałki żywej tkanki. Ale nigdy nie spotkałam stwora, do którego należy. Nie mam pojęcia, do czego mogły służyć... Zamierzałam jutro wrócić na północ, ale to prawdziwy skarbiec: zostanę, póki wszystkiego się nie dowiem; nieważne, czy potrwa to kilka dni, czy wiele nawet tygodni.

Skinąłem głową.

– Kiedy zasypimy grób, wrócę do domu i zostawię cię w spokoju. Gdybyś miała ochotę

na posiłek przy moim stole, będziesz zawsze mile widziana. Tak czy inaczej, proszę, odwiedź mnie, nim wyjedziesz. Chciałbym dowiedzieć się, co odkryłaś.

– Grób zostaw mnie – odparła Grimalkin. – Przed zakopaniem trupa chcę jeszcze mu się przyjrzeć, a co do moich odkryć, powiem ci wszystko, co musisz wiedzieć. Może i nie miałaś ochoty łączyć sił w walce z nadchodzącym atakiem Kobalosów, lecz przekazując to wszystko mnie, bardzo dopomogłeś naszej sprawie.

– Kim są twoi sojusznicy? – spytałem.

– Czarownice z Pendle dołączą do mnie w końcu, by stawić czoło dostrzeżonemu zagrożeniu. Ludzie z dalekiej północy, za morzem, toczyli już bitwy z Kobalosami; oni nam pomogą. Nadciąga przełom. Kobaloski bóg Talkus już się narodził, tym samym trzykrotnie zwiększając moc ich magów i wywołując wojnę. Wkrótce wypadną ze swego miasta, Valkarky i zaatakują całą ludzkość, poczynając od mieszkańców ziem graniczących z ich krainą.

– Uważasz, że ten mag był szpiegiem? – Skinieniem głowy wskazałem ciało.

– To nader prawdopodobne – odparła Grimalkin. – Haizdanowie zwykle mieszkają samotnie, z dala od innych Kobalosów, ale nie spodziewałabym się znaleźć jednego z nich tak daleko na południu.

Pożegnaliśmy się i wróciłem do Chipenden. Lecz jedno zdanie Grimalkin wydało mi się znamienne.

Wszystko, co musisz wiedzieć...

Sugerowało, że wiedźma może zataić przede mną inne informacje. Dlaczego – ponieważ to wiedza dotycząca mrocznej magii, z pomocą której sama mogłaby się wzmocnić? Kiedyś byliśmy bliskimi sojusznikami, lecz odmawiając w zeszłym roku dołączenia do jej misji zniszczenia Kobalosów, wykopałem między nami przepaść. Musiałem uświadomić sobie, że przecież to wciąż czarownica – mimo łączącej nas przeszłości, nie byliśmy naturalnymi sprzymierzeńcami.

I wtedy nawiedziła mnie kolejna niepokojąca myśl. Grimalkin odwiedziła miasto Kobalosów, Valkarky, i sporo wiedziała na temat wroga... Czyżbym nieco zbyt łatwo wycofał się z nadciągającego konfliktu? Ostatecznie byłem stracharzem z Chipenden.

Czy mój mistrz zostawiłby wszystko w rękach Grimalkin?

Już w domu, wyciągnąłem z koperty dokument Nicholasa Browne'a. Był to glosariusz kobaloskich pojęć, zawierający sporo informacji na temat ich magii i kultury.

Przejrzałem go z zainteresowaniem. Mistrz czytał kiedyś to dzieło, ale zlekceważył je, uznawszy, iż mało prawdopodobne, by odpowiadało prawdzie. Wspomniał o nim przelotnie w swoim bestiariuszu.

Postanowiłem zrobić kopię. Dokument nie był zbyt długi, przepiszę go w parę godzin. Stary zostawię w bibliotece, a pracować będę nad nowym.

W mojej wersji pozostawiłem puste miejsca, by zapisać dodatkowe hasła w miarę, jak będziemy dowiadywali się więcej na temat Kobalosów, a także komentarze do wpisów Browne'a na wypadek, gdyby wymagały skorygowania bądź rozszerzenia.

Odczytałem starannie tekst od początku do końca, potem skupiłem się na haśle „magowie”.

Magowie: istnieje wiele rodzajów ludzkich magów – to samo dotyczy Kobalosów. Przybyszowi z zewnątrz jednak trudno jest ich opisać i podzielić. Nominalnie najwyższa ranga to wysoki mag; istnieje też odmiana magów zwana haizdanami,

niepasująca do hierarchii, są to bowiem samotnicy, żyjący na własnych terytoriach, z dala od Valkarky. Trudno opisać i ocenić ich moce.

Browne wyraźnie niewiele wiedział na temat magów--haizdanów. Pozostawało mi liczyć na to, że Grimalkin uzupełni te informacje na wypadek, gdyby znów przyszło mi się z jakimś zmierzyć. Z całą pewnością nie mogłem z nimi walczyć bez Gwiazdnej Klingi. Przerazała mnie też myśl, że istnieją inne odmiany Kobalosów, władające magiczną mocą. Zaczynało brzmieć coraz bardziej i bardziej niebezpiecznie.

Odczytałem także hasło o bosku:

Bosk: to oddech kobaloskiego maga, który potrafi wywoływać nagłą utratę świadomości, paraliż, bądź wzbudzić grozę u ludzkiej ofiary. Magowie zmieniają właściwości bosku, odmieniając chemiczny skład swojego oddechu. Czasami służy też do zmiany nastroju zwierząt.

Postanowiłem zacząć uzupełnianie od właśnie tego wpisu, dodając własne uwagi i być może środki zaradcze.

Uwaga: użyto go przeciw mnie i pozbawił mnie wszelkich sił. Ale haizdan mnie zaskoczył. W starciu z podobnym zagrożeniem należy zachować czujność i nie pozwolić mu podejść zbyt blisko. Być może szal owinięty wokół ust i nosa okaże się skuteczną ochroną. Albo woskowe zatyczki w nozdrzach –

Tom Ward

Nazajutrz próbowałem powrócić do codziennej rutyny, ale wkrótce ogarnął mnie niepokój. Poza trzema nawiedzeniami, wynikającymi bezpośrednio z działań haizdana, ostatnie miesiące upływały spokojnie.

Bitwa o Kamień Strażniczy doprowadziła do zniszczenia Złego i Mrok jakby zostawił Hrabstwo w spokoju. Teraz jednak narodził się bóg Talkus i Kobalosi wyruszą na wojnę, by nas wybić.

To właśnie nie dawało spokoju Grimalkin. Wątpię, by zajmowała się zwykłymi obowiązkami wymaganymi od wiedźmy zabójczynie klanu Malkinów – eliminacją wrogów klanu. Zamiast tego podróżowała, gromadząc informacje na temat naszych przyszłych kobaloskich wrogów. A teraz mogła zbadać kryjówkę zabitego maga. Dobrze, że zdołałem jakoś jej pomóc – choć wciąż zastanawiałem się, czy nie powinienem bardziej się zaangażować.

Byłem stracharzem z Chipenden, ale chwilowo nie wypełniałem żadnych poważnych zadań. Miałem trochę czasu, postanowiłem zatem odwiedzić Grimsargh i odebrać dziewczynie hubkę i krzesiwo. Stanowiły bezcenną pamiątkę łączącą mnie z tatą; dzięki tym przedmiotom wciąż o nim pamiętałem. Kilka razy też pomogły mi w kłopotach.

Miałem nadzieję na jeszcze trochę słońca i ciepła przed nastaniem zimy. Jak na tę porę roku w powietrzu czuło się chłód, było jednak sucho, toteż ruszyłem na południowy wschód w stronę Grimsargh, narzucając sobie żwawe tempo.

Kiedy zbliżyłem się do domu Calderów, Jenny otworzyła drzwi, wyszła na dwór i zamknęła je za sobą. Zupełnie jakby wiedziała, że się zjawię. Czyżby wypatrzyła mnie zza zasłon?

Spotkaliśmy się dwadzieścia kroków od drzwi. W dłoni trzymała moją hubkę i podała

mi ją.

– Zapewne po to przyszedłeś – rzekła nieśmiało, unikając mojego wzroku.

– Oczywiście, że tak – odparłem szorstko. – Jest bardzo bliska mojemu sercu. Należała do mojego taty, to ostatnia rzecz, jaką podarował mi przed śmiercią. Chcę cię zapytać o jedno – dodałem chowając hubkę do torby. – Dlaczego uciekłeś z nawiedzonego domu?

– Jakie to ma znaczenie? – mruknęła z goryczą.

– Ogromne. Wcześniej wykazałaś się odwagą w obliczu bestii. Nie sądziłem, że stchórzysz przed widmami.

– W drzewie byłem więźniarką tego stwora. Nie miałam wyboru.

– Nie! Mam na myśli wcześniej. Zaryzykowałaś i śledziłaś go. Dowiedziałaś się, gdzie się ukrywa.

Wzruszyła ramionami.

– Wówczas nie wiedziałam, jaki jest niebezpieczny.

– Nie? Wiedziałaś, że zabił trzy dziewczyny. Mogłaś przecież być następna, ale mimo zagrożenia nie zrezygnowałaś.

– Bałam się, czasami umierałam ze strachu... Wiedziałam, że to zabójca, i podejrzewałam, że okaże się potężny. Ale zmusiłam się do tego, bo wiedziałam, że będę mogła wykorzystać tę wiedzę, by cię przekonać do przyjęcia mnie do terminu.

– A jednak, kiedy w końcu dostałaś tę szansę, uciekłaś z nawiedzonego domu? Czy aż tak się bałaś, że porzuciłaś marzenia? Pamiętam z własnego doświadczenia, co czułem, gdy sam tam trafiłem. Byłem przerażony, ale wiedziałem, że nie mogę uciec – czyniąc to, sprawiłbym zawód mojej mamie, która we mnie wierzyła i chciała, bym pobierał nauki od Johna Gregory'ego. Stawiłem zatem czoło strachowi i wytrzymałem. Ty mogłaś zrobić to samo. Czy uciekłaś, kiedy widmo wspięło się po schodach do kuchni?

Jenny przytaknęła, po policzku spłynęła jej łza.

– Czemu nie zmierzyłaś się ze strachem? – spytałem ostro.

Odwróciła się, ale nie dość szybko. Zobaczyłem już łzy płynące z jej oczu.

– Dlaczego uciekłaś? Musiał istnieć jakiś inny powód. No dalej, Jenny, powiedz mi. – Nagle zrobiło mi się jej żal. Marzyła o zostaniu stracharzem i wiedziałem, że bardzo cierpi, wywróciwszy się na pierwszej przeszkodzie.

– Bałam się – oznajmiła, nie odwracając głowy. – Ale to nie strach sprawił, że uciekłam, tylko cierpienie górnika i jego żony. Świetnie wiedziałam, co czuli. Zupełnie jakbym była nimi i doświadczała tego, co oni. On szalał z zazdrości i zamordował żonę, ale potem natychmiast pożałował. Udręczony pogrzebał ją, bo tak bardzo ją kochał, a teraz stracił na zawsze. A ona leżała tam sparaliżowana, czekając, aż ją pochowa, i wciąż żyła, świadoma wszystkiego, co ją spotyka. Okropnie bała się pogrzebania żywcem. A co najstraszniejsze, kochała go całym sercem. Kochała go tak mocno, jak on ją. I nie była niewierna. Przeżyłam każdą chwilę jej koszmaru, każdą sekundę jego strachu i rozpacz. I owszem, żywa spoczęła w grobie i musiała patrzeć, jak jej własny mąż zasypuje ją ziemią, a potem zrobiło się ciemno i nie mogła oddychać... Widzisz, to jeden z moich darów jako siódmej córki siódmej córki. Odczuwam to, co przeżywają inni. Nie potrafię czytać w myślach, ale czasami wyczuwam emocje tak mocno, że je przejmuję. Dlatego właśnie uciekłam. Nie mogłam wytrzymać bliskości górnika i jego żony. Kiedy wspiał się po schodach, musiałam odejść.

Zdawało się, że przemawia wprost z serca, instynkt podpowiadał, że nie kłamie.

Zaimponowała mi. Empatia bywa bardzo użyteczna u ucznia stracharza. Jenny zdołała dostroić swój umysł do cierpień widm; ja tego nie potrafiłem.

– No dobrze – rzekłem. – Odwróć się!

Stała naprzeciw mnie z zapuchniętymi oczami i twarzą moką od łez.

Podąłem jej torbę.

– Weź to! – poleciłem. – Jedną z zalet bycia stracharzem jest to, że nie trzeba dźwigać własnego bagażu. To rola ucznia.

– Dajesz mi jeszcze jedną szansę? – spytała, patrząc na mnie oczami okrągłymi ze zdumienia.

– Tak, jeszcze jedną szansę – oznajmiłem. – Ostatnią.

W dalszym ciągu musiałem przecież sprawdzić, jak bardzo jest silna.

Stracharz wszystkich swoich uczniów poddawał próbie nawiedzonego domu.

Będę musiał sam wymyślić próbę dla niej.

ROZDZIAŁ 13

PRÓBA TOMA WARDA



Jenny wyczuła widma z Wodnego Zaułka, ale ponoć empatia zmusiła ją do ucieczki. Czy dałaby radę podejść bardzo blisko i pozostać w miejscu? Jeśli nie, nie ma mowy, żebym przyjął ją do terminu. Bo to właśnie musimy robić, rozprawiając się z martwymi. To niezbędna część naszego fachu.

Wiele lat temu w Hrabstwie wybuchła paskudna wojna domowa. Po zakończeniu walk, zwycięzcy powiesili cały oddział pokonanych żołnierzy; obecnie miejsce to nazywamy Wzgórzem Wisielców. Stoi na północnej granicy farmy taty, gdzie się wychowałem.

Kiedy widma martwych żołnierzy zaczynały się niepokoić, słyszałem, jak obracają się i jęczą na swych sznurach. Dźwięki te nie pozwalały spać nawet moim starszym braciom i mocno ich niepokoiły – choć najstarszy, Jack, przesypiał wszystko jak kłoda!

Jack był jedną z najmniej wrażliwych osób, z jakimi się zetknąłem. Ale nawet on nie

odwiedzał północnego pastwiska, kiedy widma ogarniały niepokój. Bo widzicie, każdy choć odrobinę podlega wpływom Mroku.

Fakt, że Jenny tak dobrze wyczuła widma w nawiedzonym domu, nie oznaczał, że ma to coś niezbędnego, by zostać moją uczennicą. Musiała wykazać się też odwagą. Możliwe przecież, że cała gadanina o empatii to tylko wymówka i tak naprawdę uciekła ze strachu. Musiałem się upewnić.

Uznałem zatem, że zabiorę ją na Wzgórze Wisielców i tam poddam próbie spotkania z widmami.

Zbliżyliśmy się do niego od północy i wspięliśmy w mrok pod drzewami. Wkrótce zrobiło się zimniej: był to ów szczególny chłód, który czasami ostrzega siódmych synów siódmych synów, że w pobliżu czai się coś z Mroku. Zaciekawilo mnie, czy Jenny też to czuje.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Trochę mi zimno – odparła.

Nie powiedziałem nic więcej.

Nim jeszcze cokolwiek ujrzałem, usłyszałem skrzypienie i jęk gałęzi. Martwi żołnierze dyndali wśród wierzchołków drzew, odziani w mundury i wysokie buty. Niektórzy wisieli nieruchomo z wybałuszonymi oczami i wykręconymi szyjami. Inni tańczyli, kopali, wirowali. Wszyscy mieli ręce związane z tyłu; byli młodzi, większość w moim wieku. Doprawdy żałosny widok.

Gdy się zbliżyliśmy, nawet przyroda jakby się zmieniła: z drzew zniknęły liście, pozostawiając nagie, ciemne gałęzie. Oglądałem sceny z przeszłości.

Owego ranka, gdy rozpocząłem termin, wiele lat temu, wyszliśmy z mistrzem z farmy taty i wspięliśmy się wprost na wzgórze. Mogliśmy wybrać inny szlak, ale stracharz zabrał mnie tu z rozmysłem. Chciał, żeby do naszego pierwszego zetknięcia z Mrokiem doszło blisko domu, chciał, żebym znalazł się w pobliżu czegoś, co przerażało mnie w dzieciństwie.

Podprowadził mnie do jednego z żołnierzy i... Nagle usłyszałem w głowie głos mistrza tak wyraźnie, jakby stał tuż obok. Przypomniałem sobie jego radę:

Czemu? Nie ma się czego bać, tu nic nie może cię skrzywdzić. Pomyśl, co on musiał przeżyć. Skup się na nim, nie na sobie. Co czuł, co było najgorsze?

I rzeczywiście. Wkrótce strach zniknął i zastąpił go smutek. Po chwili widma rozplynęły się i zniknęły.

Przystanąłem.

– Co widzisz? – spytałem Jenny.

– Martwych żołnierzy wiszących na drzewach – odparła niewiele głośniejszym szeptem. – To zwykli młodzi chłopcy. Tak nie powinno być. Byli za młodzi, żeby walczyć na wojnie.

– Boisz się? – spytałem.

– Tak, to straszne. Ale bardziej mi ich żal. Nie zasłużyli na taką śmierć.

– Widzisz tamtego? – Wskazałem ręką chłopca, na oko najwyżej piętnastoletniego; otwierał i zamykał usta, próbując chwycić powietrze, oczy wychodziły mu z orbit. – Podejdźmy i stańmy przy nim. Chcę, żebyś zbliżyła się, tak blisko, jak tylko zdołasz, tak że gdybyś wyciągnęła rękę, dotknęłabyś jego ramienia.

Jenny przytaknęła, ale czułem, że musi się zmuszać do każdego kroku. Szliśmy razem naprzód i w końcu znaleźliśmy się tak blisko, jak poleciłem.

– Ma na imię George, ledwo skończył czternaście lat – oznajmiła nagle. – Skłamał co do

swego wieku, żeby móc się zaciągnąć, a teraz jest przerażony i cierpi. Ale coś jest nie tak z jego umysłem. Zupełnie jakby nie był tu cały. Może sprawił to koszmar powieszenia... Proszę, odeślij go do Światła! Nie pozwól, żeby to trwało dłużej!

Słuchałem oszołomiony. Mój mistrz kazał mi po prostu wyobrazić sobie, jak bym się czuł na miejscu żołnierza. To pozwoliło mi zidentyfikować się z nim i pokonać strach. Jenny najwyraźniej wiedziała, jak to jest, jak gdyby czytała mu w myślach. Wykraczało to znacznie poza moje zdolności.

– On nie jest duchem, Jenny, tylko widmem – tłumaczyłem spokojnie. – Większa część jego duszy odeszła już do Światła, to tylko cząstka, która oderwała się od ducha i została tu, by nawiedzać wzgórze wraz z innymi. Tym właśnie są widma: cząstkami dusz, które znosiły straszliwe katusze bądź popełniły czyny, których nie chcą pamiętać, tak jak górnik, który zabił żonę. Nie mogłyby odejść do Światła z tą częścią siebie, toteż odrzucają ją, a ona staje się wtedy widmem. Rozumiesz?

Przytaknęła i widma zaczęły blaknąć. Po chwili na gałęzie powróciły liście. Jenny odważnie stawiała czoło upiorom. Nie uciekła.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Czy to znaczy, że przeszłam próbę? – spytała.

– Tak, przeszłaś bez cienia wątpliwości. O ile mi wiadomo, John Gregory nigdy nie przyjął do terminu kogoś, kto stchórzył w nawiedzonym domu. Ale ja mam prawo postępować po swojemu. Dla niego była to zwykła, rutynowa metoda sprawdzania odwagi chłopaków. Ja jednak wierzę, że mówisz prawdę i że nie uciekłaś ze strachu. Możesz zatem zostać – przynajmniej na trochę. W najgorszym razie okaże się, że się pomyliłem, i znów uciekniesz.

– Nie ucieknę. Ale następnym razem, jeśli poczuję coś takiego i nie będę mogła dłużej wytrzymać, uprzedzę cię.

Z uśmiechem pokiwałem głową.

– Czyli jestem twoją uczennicą? Oficjalnie? – spytała Jenny. – Mimo, że jestem dziewczyną?

– Oficjalnie. Z tego, co mi wiadomo, jako pierwsza dziewczyna zostałaś przyjęta do stracharskiego terminu. Czyli jesteś wyjątkowa – dodałem.

Nagle ujrzałem w duchu nieżyjącego mistrza i wyobraziłem sobie, jak z dezaprobatą kręci głową. Byłem pewien, że on nigdy nie zgodziłby się uczyć dziewczyny.

– Moja mama i tato ci nie zapłacą – rzekła.

Wzruszyłem ramionami.

– To ci nie wadzi?

Po prawdzie sam nie byłem pewien. Wiedziałem, że nigdy nie wzbogacę się na byciu stracharzem – z niektórych ludzi trudniej wyciągnąć pieniądze, niż wycisnąć krew z kamienia. Ale to przynajmniej stały fach i zapewnia utrzymanie, nie przeszkadzałoby mi zatem, gdyby przybrani rodzice Jenny nic nie zapłacili. Rzecz w tym, że co i rusz porównywałem się do swego mistrza, a John Gregory nigdy by na to nie pozwolił, toteż odpuszczając Calderom, czułem się nieco poniżony i słaby. Na razie odrzuciłem jednak te zmartwienia: miałem ważniejsze rzeczy na głowie.

– Nie wadzi mi – odparłem. – Pieniądze to nie wszystko. Najważniejsze, żebyś starała się zostać dobrym stracharzem. Teraz chciałbym, żebyś poznała kilku członków mojej rodziny; mieszkają na farmie po drugiej stronie tego wzgórza.

– Założę się, że twoja mama i tato są miłsi od moich – mruknęła Jenny.

– Oboje już nie żyją. Farmę przejął mój najstarszy brat, Jack. Ma żonę, Ellie, córeczkę, Mary i małego synka. Mieszka tu jeszcze jeden z moich braci. To James – jest miejscowym kowalem, ma na farmie własną kuźnię.

– Co powaliło te drzewa? – Jenny wskazała ręką szerokie pasmo zwalonych pni. – Burza?

– Coś znacznie gorszego od burzy. Pewnego dnia opowiem ci o tym. To będzie część twojego szkolenia.

Drzewa połamał Zły, który ścigał mnie po tym, jak schroniłem się na farmie. Miałem do powiedzenia Jenny mnóstwo rzeczy, ale większość mogła poczekać.

Mój własny termin zakończył się przedwcześnie. Miałem nadzieję, że ją czeka pełnych pięć lat i że okażę się dość dobry, by ją wyszkolić.

Różany krzak mamy wciąż rósł pod ścianą domu, lecz zamiast jaskrawej czerwieni róż z Hrabstwa, powitały mnie pocerniałe od mrozu pąki i płatki. Dziwne, zwykle pierwsze przymrozki nadchodziły dopiero w październiku.

Żona Jacka, Ellie, podeszła do drzwi, wycierając ręce w fartuch, rozpromieniła się i chwyciła mnie w objęcia.

– Och, Tomie, jak dobrze cię widzieć!

– Ja też się cieszę na twój widok, Ellie. To jest Jenny – przedstawiłem krótko. – Moja pierwsza uczennica.

Oczy Ellie rozszerzyły się ze zdumienia, ale uśmiechnęła się ciepło i uściskała też dziewczynę.

Mała Mary podbiegła do mnie.

– Stryjek Tom! Stryjek Tom! – zawołała. – Przyszedłeś zabić innego bogiego?

– Nie tym razem, Mary – zaśmiałem się. Mówiąc „bogi, dziecko miało na myśli bogina. Podczas moich ostatnich odwiedzin bardzo interesował ją miejscowy bogin, z którym się rozprawiłem: był to niebezpieczny rzucacz.

– Wejdźcie, zobaczcie małego. – Ellie gestem wezwała nas do środka, przeszliśmy zatem przez kuchnię i wspięliśmy się po schodach. – To jest Matthew – oznajmiła z dumą, wyjmując niemowlę z kołyski. – Jack tak bardzo się ucieszył, że ma syna.

Wiedziałem, że brat równie mocno kocha oboje dzieci, ale dla farmera syn, który może pomagać mu w ciężkiej pracy i wspierać na starość, to coś wyjątkowego. W dodatku pierwszy syn dziedziczy farmę, pozostałym szuka się innych fachów. Mojemu tacie trudno było znaleźć kogokolwiek, kto zechciałby przyjąć siódmego syna, ale wtrąciła się mama – to był jej pomysł, żeby posłać mnie do stracharza.

– Chciałbyś go potrzymać, Tomie?

Ellie dostrzegła wahanie na mojej twarzy, pokręciła głową i westchnęła.

– Nie połamię się, Tomie, dzieci nie są aż tak kruche!

Miała rację. Obawiałem się wziąć dziecko, bo było takie małe i opadała mu główka. Oczywiście mały Matthew skończył już kilka miesięcy i był o wiele silniejszy niż Mary, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy – zaledwie sześciodniową. Przez chwilę potrzymałem zatem dziecko, a Matthew wpatrywał się we mnie okrągłymi, błękitnymi oczami, gulgocząc coś cicho.

– A ja mogłabym go wziąć? – poprosiła Jenny.

– Oczywiście, że tak, skarbie. – Ellie odebrała mi dziecko i wręczyła jej.

– Gdzie jest Jack? – spytałem.

– Mamy piątkowy ranek. Poszedł na targ w Topley razem z Jamesem.

Oczywiście! Piątek to przecież dzień targowy. Tak dawno opuściłem farmę, że zapomniałem o tutejszych zwyczajach. Piątkowe odwiedziny na miejscowym targu tuż po udoju krów stanowiły wówczas część mojego życia. Wiedziałem, że bracia wrócą przed południem; nie mogłem się już doczekać spotkania.

Obiad zjedliśmy wszyscy razem przy wielkim, drewnianym stole. Jack zasiadał u szczytu, Ellie po jego lewicy, Mary na wysokim krzeselku obok matki. Ja zająłem miejsce naprzeciw Jenny; James, mój rosły brat kowal, siedział u stóp stołu i z pochyloną głową zjadał gulasz z wielkiego talerza.

– Jedno mnie dziwi – oznajmił Jack, opierając nóż i widelec o talerz i posyłając Jenny badawcze spojrzenie spod krzaczastych brwi. – Czemu młoda dziewczyna chce się zająć tak niebezpiecznym i strasznym fachem. Nie lepiej byłoby poszukać miłego mężczyzny i razem wychować rodzinę?

– Och, Jack! – zawołała Ellie. – Daj Jenny spokój! Kobieta może wykonywać większość męskich prac, a z niektórymi radzi sobie nawet lepiej! Musisz pamiętać, że Tom pomaga często w swej pracy ludziom, umożliwiając im życie bez strachu. Kobieta świetnie się do tego nadaje.

– Ja chcę zostać stracharzem! – zawołała Mary. – Chcę pogadać z bogim!

Wszyscy się roześmialiśmy, a ja posłałem Ellie uśmiec. Przez moją pracę wiele razy groziło im niebezpieczeństwo. Wszystko to przerażało Ellie i wiedziałem, że bratowa woli, bym nie przebywał na farmie po zmroku. Zrobiło mi się jednak miło, kiedy mówiła tak o moim fachu, jakby szczerze doceniała to, czym się zajmuję.

– Może niech dziewczyna sama powie. – Jack zebrał z talerza resztkę sosu grubą pajdą chleba.

– Kobieta też musi sobie jakoś radzić na tym świecie. Nie ma zbyt wielu prac, które mogłaby wykonywać, by przegonić widmo głodu. – Jenny spojrzała mu prosto w oczy. – Jak Tom, urodziłam się ze szczególnymi zdolnościami, dzięki którym nadaję się do tej pracy. Oczywiście, pewnego dnia będę chciała mieć dzieci, ale rodzina nie musi oznaczać końca pracy. Wasza matka była położną i uzdrowicielką – być może najlepszą w całym Hrabstwie. Wychowała siedmiu synów, a jednak znalazła dość czasu na inne zajęcia. Mam nadzieję, że też sobie poradzę.

I znów, zdumiało mnie, jak wiele Jenny wie. Musiała sporo popytać, by dowiedzieć się o mamie. A może mama odwiedziła kiedyś jej wioskę? Cieszyła się przecież uznaniem i szacunkiem w całym Hrabstwie.

Po tych słowach przy stole zapadła cisza, Jenny mówiła prawdę, ale przywołała obraz mamy i znów boleśnie odczuliśmy jej nieobecność. Wciąż za nią tęskniliśmy.

– Czy to zwykła rodzinna wizyta, Tomie? – spytał James, przerywając milczenie. – Czy też masz jakąś sprawę w okolicy?

– Nie, w tej chwili wszędzie panuje spokój. Po prostu przechodziłem w pobliżu i postanowiłem skorzystać z okazji, by was zobaczyć. A słyszeliście o jakichś problemach? Nikt nie zaginał...?

Nie chciałem niepokoić rodziny, ale martwiłem się, że w Hrabstwie mogli osiedlić się inni Kobalosi. Musiałem spytać.

– W okolicy nie działo się nic niezwykłego. – Jack zmarszczył brwi. Wiedziałem, że wolał, bym nie wspominał o takich rzeczach przy Ellie. Nie chciał, żeby się bała.

– Mnie też nikt o niczym nie wspominał – dodał James. – Ludzie zjeżdżają do mojej kuźni z odległości wielu mil i zawsze powtarzają przy pracy najnowsze plotki. Teraz wszystkich najbardziej zaprzęta nie problem Mroku, tylko pogoda. Nigdy jeszcze nie było tak zimno o tej porze roku, zwłaszcza nocami. Wygląda na to, że zima nastanie wcześniej i obawiam się, że będzie ciężka. Ale oczywiście to Matka Natura: nie przejmuje się nami i naszą pracą.

Uśmiechnąłem się do Jamesa i przytaknąłem, lecz jego słowa przepełniły mnie lękiem. Do tej pory nie zastanawiałem się zbyt nad nietypowo zimną aurą, ale nagle przypomniałem sobie, że Kobalosi pochodzą z krainy śniegu i lodu, daleko na północy. Najlepiej czuli się podczas mrozów. Ich bóg, Talkus, już się narodził, teraz rósł w siłę, wzmacniając kobaloskich magów. Czy ich czary mogły odmienić klimat?

Po południu ruszyliśmy do Chipenden. Ellie pożegnała nas przy bramie.

– Cudownie było znów cię zobaczyć, Tomie, i poznać ciebie, Jenny! – wykrzyknęła. – Życzę ci wszystkiego najlepszego w twoim nowym fachu. Przyjęcie ciebie do terminu to jedna z najmądrzejszych rzeczy, jakie zrobił Tom!

Jenny uśmiechnęła się tak szeroko, iż miałem wrażenie, że twarz zaraz pęknie jej na pół.

Pożegnałem się i znów ruszyłem w górę zbocza; dziewczyna podążała tuż za mną, taszcząc moją torbę.

W drodze do domu rozmyślałem o wszystkim, co będę musiał zrobić. Muszę rozpocząć prawdziwe szkolenie Jenny, a to oznaczało zakup tymczasowej laski i notesu. Mogła dostać moją starą torbę – ja sam zacząłem używać torby Johna Gregory’ego, bo budziła we mnie wiele wspomnień, a poza tym uszyto ją z doskonałej skóry i wiedziałem, że wytrzyma jeszcze wiele lat. Dziewczyna potrzebowała też płaszcz: zamówię go u wioskowego krawca.

Uświadomiłem sobie, że dzięki obecności Jenny, która zajmie się pracami domowymi i odbieraniem zakupów, zyskam więcej wolnego czasu. Może powinienem coś napisać i dołączyć do biblioteki – książkę, która wzbogaci naszą wiedzę, część mego dziedzictwa dla przyszłych stracharzy?

Warto o tym pomyśleć.

ROZDZIAŁ 14 MATKA I CÓRKA



JENNY CALDER

W końcu nastąpiło to, o czym marzyłam od ponad roku.

Jestem uczennicą stracharza! Mój mistrz dał mi notes, w którym zapisuję poznane teorie, a także zadania praktyczne z walki z Mrokiem.

Ale dał mi też drugi notes i polecił opisywać historię mojego rozwoju w czasie terminu i napotykanym zagrożeniach. On robił to samo, ucząc się u Johna Gregory'ego. Upływ lat zaćmiewa wiele naszych wspomnień – mistrz twierdzi, że opisywanie tych wydarzeń i wracanie do nich po latach bardzo się przydaje. Pozwala czerpać nauki z przeszłości i unikać powtarzania dawnych błędów.

Oto zatem moja pierwsza relacja. Opowiem o tym, jak zaangażowałam się w – jak to

nazywa Tom Ward – stracharskie sprawy.

Wybrałam swój przyszły fach w dniu, który na zawsze odmienił mi życie – w dniu, w którym poznałam swoją prawdziwą matkę.

Nigdy nie zapomnę owego popołudnia. Wracałam właśnie pospiesznie z targu z zakupami, gdy podeszła do mnie starsza kobieta. Choć dzień był słoneczny i ciepły, głowę owinęła szalem. Zbliżała się powoli, szurając nogami.

– Dobrego dnia życzę, córko – wycharczała patrząc mi w oczy. – Zechcesz usiąść przy mnie chwilę i wysłuchać, co mam ci do powiedzenia?

Uśmiechnęłam się do niej, rozmyślając, jak najzręczniejszym sposobem się wymigać i jej nie urazić. Spieszyłam się na wieczór – za długo byłam na targu, a ojciec bardzo się gniewał, kiedy zbyt późno dostawał podwieczorek. Choć minął już ponad rok, odkąd ostatni raz dostałam lanie pasem, nadal się go bałam. W zeszłym tygodniu aż trząśnięty się z wściekłości, kiedy zaledwie upuściłam łyżkę. Zacisnął pięści tak, że na rękach wystąpiły mu fioletowe supły żył.

– Nie jesteś jeszcze za stara, żeby dostać w skórę! – ryknął.

Postanowiłam, że jeśli znów mnie uderzy, ucieknę z domu. Ale łatwiej pomyśleć, niż zrobić. Dokąd miałabym pójść? Żaden krewny nie ofiarowałby mi schronienia. Jak miałabym zapłacić za życie.

– Niestety, muszę wracać do domu – odparłam przepraszająco. – Może w następny dzień targowy?

– Wówczas może mnie już nie być, córko – rzekła lekko zdyszana. – Najlepiej, jeśli pomówimy teraz. To może być ostatnia okazja.

I wtedy nasze spojrzenia po raz pierwszy się spotkały i zauważyłam wstrząśnięta, że jej oczy przypominają moje – lewe niebieskie, prawe piwne. Zastanawiałam się, czy ludzie gapią się na nią czasem tak jak na mnie i rzucają złośliwe uwagi albo szepczą coś ukradkiem. Większości nie podoba się, jeśli ktoś się czymś wyróżnia.

Kobieta miała twarz pożółkłą i pomarszczoną, nagle jednak zorientowałam się, że wcale nie jest stara, tylko po prostu bardzo chora.

– Może pójdziemy i usiadziemy w cieniu? – Wskazała ręką ławkę przy kościele, pod starym, rozłożystym wiązem.

Mimo obaw przed konsekwencjami późnego powrotu do domu przytaknęłam i podreptałam za nią. W kobiecie było coś dziwnego i pociągającego; wiedziałam, że postępuję słusznie.

Usiadłyśmy razem na ławce, twarzą w twarz. Znów popatrzyłyśmy sobie w oczy i zadrżałam. Nagle tam, w cieniu drzewa, ogarnął mnie chłód.

– Dwakroć nazwałam cię „córka” – rzekła kobieta. – Nie był to tylko zwykły sposób, w jaki starsza kobieta okazuje sympatię młodszej. W istocie jesteś moją córką, a ja twoją prawdziwą matką. Jesteś ciałem z mojego ciała, w twoich żyłach płynie moja krew.

Patrzyłam na nią i gdy ujrzałam prawdę w jej oczach, ogarnął mnie nagły gniew.

– Ty jesteś moją matką! – syknęłam. – Jesteś moją matką, tą, która mnie porzuciła, zostawiła bezbronne dziecko na pastwę żywiołów?

Kobieta skinęła głową, po policzkach spłynęły jej dwie łzy.

– Nie miałam wyboru, dziecko. Twój ojciec nie żył, a ja miałam już sześć córek i ledwie dawałam radę je wykarmić. Znałam parę, która cię przygarnęła, i słyszałam, że wciąż pragną dzieci, położyłam cię zatem tam, gdzie z pewnością by cię znaleźli. Wiedziałam, że

dadzą ci dach nad głową i napełnią brzuch. Kochałam cię, dziecko, kochałam całym sercem i to, że musiałam cię opuścić, rozdarło mi je na strzępy. Ale dla dobra wszystkich trzeba to było zrobić.

Rozumiałam kierujące nią powody, wciąż jednak czułam ból. Oczywiście, nie mogła wiedzieć, że mężczyzna, którego wybrała mi na przybranego ojca, okaże się tak brutalny. Teraz ukryła twarz w dłoniach, całe jej ciało dygotało ze wzruszenia.

Mnie także po twarzy płynęły łzy.

– To czemu mnie teraz odszukałaś? Dlaczego teraz, po tych wszystkich latach?

– Ponieważ umieram, dziecko. – Znow popatrzyła prosto na mnie. – Coś zżera mnie od środka, to choroba, która wykręca żołądek i wysusza skórę. Za parę tygodni odejdę, teraz więc, póki jeszcze mogę chodzić, przyszedłam ci powiedzieć, czym jesteś.

– Co to znaczy?! – zawołałam, przerażona jej słowami. Czy to naprawdę moja matka, czy jakaś wariatka?

– W żyłach naszej rodziny płynie krew Samhadre. U większości jest słaba bądź niemal niewyczuwalna, ale u siódmej córki siódmej córki po trzynastych urodzinach zaczyna działać. Ja też jestem taką córką – i ty podobnie. Przybrana matka nazwała cię Jennifer, ale to nie jest imię, które ci nadałam; tego nie wolno ci ujawnić nikomu.

– Kim są „Samhadre” i jakie nadałaś mi imię? – spytałam ostro. Nigdy nie słyszałam o podobnym plemieniu.

– To Dawni, córko – istoty, które krążyły po ziemi, gdy ludzie byli jeszcze bezrozumnymi zwierzętami, siedzącymi we własnych odchodach. Dawni byli potężni, mądrzy, zręczni i pełni współczucia, ale śmiertelnie groźni. A ty odziedziczyłaś część ich mocy. Wkrótce objawią ci się dary i chcę, abyś przygotowała na nie swój umysł. Mnie nikt nie uprzedził, czego mam oczekiwać: sądziłam, że wariuję. Chcę, żebyś zrozumiała, że te dary są prawdziwe. To pierwszy krok na drodze do przetrwania.

Jej słowa skojarzyły mi się z bajaniami staruszek, opowiadany mi zimą przy kominku zasłuchanym dzieciom pośród nocnych cieni. Ale niewątpliwie mnie zaintrygowała: nie mogłam oderwać wzroku od twarzy kobiety twierdzącej, że jestem jej córką.

– Istnieje wiele możliwych darów. U każdej siódmej córki siódmej córki wygląda to inaczej – podjęła. – Jeden to empatia, zdolność czucia tego, co czują inni, dzielenia ich smutków i radości, a zatem pomagania i doradzania w razie potrzeby. To jeden z podstawowych talentów; czasami pojawia się coś więcej...

Nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś podobnego – ale wciąż miałam zaledwie dwanaście lat. Czy to możliwe, że po trzynastych urodzinach zajdzie we mnie tak wielka zmiana?

– Mówiłaś, że te dary zaskoczyły cię i sprawiły, iż podejrzewałaś, że ogarnia cię obłąd – rzekłam. – Dlaczego matka nie wyjaśniła ci wszystkiego?

– Była zwykłą siódmą córką, brakowało jej mocy i wiedzy. Nie miała pojęcia, co się ze mną dzieje. W końcu, po latach męczarni, znalazła mnie inna siódma córka siódmej córki – dzięki swoim darom wyczuła moje cierpienie – i wyjaśniła mi, kim jestem.

– Jakie imię mi nadałaś? – spytałam.

Kobieta – moja matka – pochyliła się do przodu i wyszeptowała mi moje prawdziwe imię do lewego ucha, ostrzegła jednak, że nigdy nie wolno mi ujawnić go innym: ci, którzy służą ciemności, mogliby dzięki imieniu zyskać władzę nad siódmą córką siódmej córki.

Nie zapisałam go tu zatem, zatrzymam je dla siebie. Tom Ward mówił, że moje notesy

trafią w końcu do biblioteki, to dziedzictwo wiedzy i doświadczenia pozostawione przyszłym stracharzom. Nie zamierzam zatem pisać o niczym, czego nie chciałabym przekazać innym.

Tego dnia rozmawiałyśmy z matką prawie godzinę. Opowiedziała mi o innych darach, które być może odziedziczę. Potem zgodziłyśmy się, że jeśli starczy jej sił, spotkamy się na targu za tydzień.

Przed rozstaniem objęłyśmy się. Obie płakałyśmy.

Potem pobiegłam do domu z koszykiem – ale na próżno się wysilałam.

Mój przybrany ojciec zdjął pasek i po raz pierwszy od roku spuścił mi manto.

Ból był okrutny, ale nie pozwoliłam sobie na płacz. To chyba rozgniewało go jeszcze bardziej.

ROZDZIAŁ
15
DZIEWCZYNA JAK TY



Na następnym targu matka się nie zjawiała.

To był początek moich wędrówek. Szukałam matki w okolicznych wioskach, poczynając od Long Ridge. Potem sprawdziłam miasteczka, zapuściłam się nawet na południe, aż do Priestown i na północ do Caster. Czasami nie wracałam całe dni i po każdym powrocie dostawałam kolejne lanie.

Stopniowo musiałam pogodzić się z tym, że już nigdy nie zobaczę matki, ale nadal wędrowałam. Nawet zimą lepiej było krążyć po mrozie, niż tkwić w znienawidzonym domu, z brutalnym przybranym ojcem i przybraną matką, śmiertelnie bojącą się męża.

Nie w pełni rozumiałam, dlaczego on to robi. W miarę, jak coraz więcej czasu spędzałam poza domem, on reagował coraz gwałtowniej, próbując mnie zmusić do posłuszeństwa. Czy bił mnie dlatego, że uważał, iż jestem nieposłuszna i nie można nade mną zapanować? Jeśli tak, tylko pogarszał sprawę. Sam nie wiedział, co robi: był durnym

zwierzakiem działającym bez namysłu. Przerazał mnie, ale nie zamierzałam się zmieniać. I wciąż nie płakałam.

A potem, w przeddzień moich trzynastych urodzin, wszystko się zmieniło. Obudziłam się nagle w środku nocy i ujrzałam pierwszego ducha. Akurat była pełnia i jasny promień żółtego światła oświetlał moje łóżko. Na nogach siedziała mi gruba staruszka, wgniatając je w siennik. Była taka ciężka; bałam się, że łóżko się rozleci. Spojrzała na mnie, otworzyła usta i zachichotała. Nie miała zębów, tylko zaślinione dziąsła i była ślepa na jedno oko – puste, mlecznobiałe.

Kiedy krzyknęłam ze zgrozy i strachu, ciężar przygniatający mi nogi zniknął. Duch uniósł się w górę i przeniknął przez powałę, z otwartych ust ciekła mu ślina.

Moj rozpaczliwy krzyk obudził ojca i dostałam kolejne lanie.

Wówczas to uderzył mnie po raz ostatni.

Przed upływem tygodnia objawił się mój drugi dar, pierwszy, o którym wspomniała prawdziwa matka: empatia. Nigdy nie zapomnę tej chwili.

Szłam właśnie środkiem wioski, gdy zobaczyłam młodzika, skulonego na ławce naprzeciw kramu z jarzynami. Wbijał wzrok w drzwi sklepiku. Twarz miał pustą, pozbawioną wyrazu, ale musiałam się zatrzymać, bo nagle poczułam przepelniający go smutek. Z trudem powstrzymywał łzy.

Promieniujące z niego uczucia oszołomiły mnie. Ścisnęło mnie w gardle, do oczu napłynęły łzy. To było coś więcej niż zwykłe emocje: wiedziałam, o czym myślał. Wspominał, jak w dzieciństwie siedział kiedyś na tej samej ławce i czekał, żeby matka wyszła z kramu. Pojawiła się i uśmiechnęła do niego, potem odstawiła sprawunki i szeroko rozłożyła ręce, a on wpadł jej prosto w ramiona.

Teraz jednak był prawie dorosły; jego matka zmarła zeszłej zimy. Usilnie próbował powrócić do owej szczęśliwej chwili, odtworzyć przeszłość.

Niemal czytałam mu w myślach i towarzyszył temu ból, więc odeszłam szybko.

Wiedziałam, że o tym darze nie mogę wspominać ludziom. Nikomu nie spodoba się świadomość, że ktoś grzebie im w głowach.

Po rozpoznaniu drugiego daru zaczęłam odczytywać nastroje ojca i matki. Jako nowożeńcy byli szczęśliwi; pozostali szczęśliwi, wychowując własne dzieci. Ale kiedy moje obie siostry powychodziły za mąż i odeszły do nowych rodzin, między nimi nie zostało już nic, nawet krztyna miłości – jedynie nuda i pustka. Kiedy znaleźli mnie i przygarnęli, na krótko poczuli się lepiej, ale to minęło.

Teraz w końcu zrozumiałam, dlaczego ojciec mnie bił. Poczułam jego ból. Jego także bili rodzice i przeżycia te odcisnęły trwałe piętno. Wzbudziły w nim także złość, bo sam nie stał się nikim ważnym. Marzył o własnej ziemi, ale pracował za grosze u farmerów. Z goryczą pojmował, że nigdy nie spełni swoich marzeń.

Uzalał się nad sobą; był niczym samolubna świnia, brodząca w bajorze. I ranił innych, by ukoić własny ból. Ale przekonałam się też, że w głębi serca to tchórz. Nigdy nie uderzyłby mężczyzny. Ja byłam łatwą ofiarą – razem z moją przybraną matką, którą także od czasu do czasu bił. Niekiedy słyszałam dobiegające z ich izby głosy, a rano matka szlochała, szykując śniadanie, i pochylała głowę, żeby ukryć sińce.

I wtedy odkryłam trzeci dar.

Przypuszczam, że miałam go na długo przed tym, nim to zrozumiałam. Od lat zdarzało się, że kiedy w drodze na targ posyłałam uśmiech ponurym ludziom, ich twarze się

rozpogadzały – a gdy wracałam kilka godzin później, wciąż się uśmiechali.

Po spotkaniu z prawdziwą matką zaczęłam się zastanawiać: czy to możliwe, żebym jakoś na nich wpływała?

Wkrótce zyskałam dowód, że tak jest w istocie. Pewien kramarz na targu zawsze wyglądał tak smutno, że bardzo chciałam go pocieszyć, zwłaszcza że dobrze wiedziałam, co mu doskwiera.

Jego żona zmarła nagle w zeszłym roku, a dzieci odeszły z domu; nie miał nic, co mogło rozjaśniać mu życie czy dawać nadzieję. Kiedyś uwielbiał uprawiać ogródek, hodował warzywa i kwiaty, by ucieszyć żonę. W ciepłe letnie wieczory siadywali razem w ogrodzie, oglądając zachód słońca. Uwielbiali to oboje.

Zasiałam zatem w jego umyśle ziarno szczęścia.

Po kilku dniach zaczął siać własne nasiona, pod koniec lata jego ogród kwitł; jesienią kramarz sprzedawał na targu własne warzywa. Uśmiechał się do wszystkich.

To, co udało mi się osiągnąć, podsunęło mi pomysł. Zamiast odpowiadać na gniew gniewem, spróbuję pomóc przybranemu ojcu. Postaram się, by tam w środku poczuł się lepiej – wówczas może zacznie traktować mnie inaczej, a przynajmniej da mi spokój.

Kilka tygodni później znalazłam go w głębi ogrodu.

– Ładny mamy wieczór, tato – zagadnęłam pogodnie.

– Co w nim ładnego? – wymamrotał ze złością.

Spróbowałam wcisnąć mu się do głowy i poprawić nastrój, jednocześnie przekazując swój pomysł.

– To całkiem duży ogród. Mógłbyś hodować tu warzywa, a mama sprzedawałaby je na targu.

Lekceważąco pokręcił głową.

– Mamy za mało ziemi, by to się opłacało.

– To czemu nie weźmiesz jednej z działek, które daje w dzierżawę rada wioski? – nalegałam. – Płaci się za nie grosze, a może po paru latach zbierzesz i sprzedasz dosyć, by kupić własne małe poletko.

Niedawno jeden z rolników zmarł i zapisał radzie spory kawałek ziemi. Rada postanowiła podzielić go i udostępnić wieśniakom za symboliczną opłatą.

– To gruszki na wierzbie – parsknął. – Myślisz, że mam jeszcze dość sił po całodziennej harówce dla innych?

– Mama mogłaby ci pomóc. Ja trochę też. Czasami na farmach nie ma zbyt wiele pracy. W ten sposób mógłbyś uprawiać własny kawałek ziemi!

Znów prychnął i bez słowa wrócił do domu. Ale wyczułam w nim zmianę. Mój pomysł zapuścił korzenie. Po tygodniu ojciec wydzierżawił działkę.

Zgodnie z obietnicą od czasu do czasu mu pomagałam. Teraz był znacznie pogodniejszy. Wciąż pozostał marudnym diabłem, ale wreszcie miał się czym zająć. Miał swoje marzenie.

I nadzieję.

Tego właśnie potrzeba większości ludzi.

Nigdy więcej mnie nie uderzył.

W miarę, jak moje moce rosły, zacząłem się zastanawiać, do czego jeszcze mogłyby się przydać. Czy to możliwe, żebym dzięki nim zarobiła na chleb?

Nade wszystko łaknęłam niezależności. Chciałam sama odnaleźć się w świecie – nie

tylko wyjść za mąż za jakiegoś mężczyznę, którego wybiorą dla mnie przybrani rodzice.

Lękałam się jednak, że jeśli skorzystam ze swoich zdolności do pomocy ludziom, uznają mnie za czarownicę. W Caster czarownice wieszano. Co gorsza, ich łowcy odwiedzali czasem Hrabstwo i torturowali niewiasty. Pławili je w stawach: jeśli kobieta utonęła, uznawano ją za niewinną. Te, które unosiły się na wodzie, jako winne płonęły na stosie. Tak czy inaczej, umierały. Zrozumiałam, że rozgłaszanie moich zdolności byłoby zbyt niebezpieczne.

A potem, pewnego popołudnia, półtora roku po tym, jak spotkałam prawdziwą matkę, obejrzałam coś, co podsunęło mi rozwiązanie problemu.

Trapił mnie niepokój, nie mogłam usiedzieć na miejscu i do tego czasu zwiedziłam już całe Hrabstwo, zapuszczając się znacznie dalej niż podczas pierwszych wypraw. Czasem nie było mnie w domu tydzień. Dalego na południe od Priestown zwiedzałam właśnie miasteczko Salford, kiedy ujrzałam rosnącego mężczyznę, wlokącego przez rynek za włosy drobną, chudą kobietę. Ta wrzeszczała, piszczła i szarpała się. Straszny był to widok, ale nikt z targowego tłumu się nie wtrącał.

Spytałam jednego z kramarzy, czemu ten człowiek to robi.

– To wiedźma – wyjaśnił tamten skrzywiony, wycierając jabłko o brudny fartuch. – Ten człowiek to stracharz Johnson. Trzyma ich w jamach co najmniej piętnaście. Ma wielki ogród, ale wkrótce zabraknie mu miejsca. Świetnie się spisuje, chroniąc nas przed złym okiem.

Słyszałam już wcześniej o stracharzach, ale Johnson był pierwszym, jakiego spotkałam. Wiedziałam, że ci ludzie walczą z Mrokiem i rozprawiają się z czarownicami, boginami i duchami, chroniąc farmy i wioski. Mój przemądrzały przybrany ojciec twierdził, że to oszuści: nie wierzył w stwory z Mroku. Ja wierzyłam. Do tej pory widziałam już co najmniej trzy duchy, często w ciemnych, cichych miejscach wyczuwałam niewidzialne istoty.

Oglądanie Johnsona przy pracy było doprawdy okropne, ale też fascynujące, i w mojej głowie zrodził się pomysł. Kilka dni kręciłam się wokół Salford, aż zdołałam odkryć, gdzie mieszkał. Miał duży dom na skraju miasteczka, obserwowałam go z daleka. Budynek z paskudnego brązowego kamienia stał w ogrodzie, otoczonym zardzewiałym, żelaznym płotem i gęstym, głogowym żywopłotem tak, że nie dało się zajrzeć do środka. Słyszałam jednak dźwięki: słabe jęki i od czasu do czasu krzyki.

A potem popełniłam błąd, i to wielki.

Stracharz Johnson przyłapał mnie na szpiegowaniu.

Puścił się ku mnie biegiem pośród drzew, rycząc jak byk, i chwycił mnie za ramię, obracając ku sobie.

– Czego chcesz, dziewczyno? – zagrzemiał donośnie. – Śledziłaś mnie, co? Nie próbuj zaprzeczać, widziałem, jak się gapisz.

Bardzo się bałam – był taki twardy i okrutny, wątpię czy w ogóle umiał się uśmiechać. Co gorsza, miał wielkie uszy, z których wyrastały kępy brązowych włosów. Niektórych ludzi przerażają pająki, mnie włochate uszy. Są obrzydliwe.

– Po prostu byłam ciekawa – odparłam, drżąc ze strachu.

– Ciekawa? Ciekawa! Nie wiesz, do czego prowadzi ciekawość? Prosto do piekła! Cóż, moja piekielnico, masz dwie minuty, by się wytłumaczyć, a jeśli nie zdołasz, trafisz do jamy. Zgaduję, że albo jesteś wiedźmą, albo krewniaczką jednej z tych uwięzionych w

moim ogrodzie. Pewnie kombinowałaś, jak pomóc im uciec, co? No i jak? No dalej, gadaj!

Wnikałam już w jego umysł, próbując zmienić mu nastrój. Nie każdy poddaje się moim daram, trudniej było mi wpłynąć na niego niż na innych. Ale nagle poczułam, jak jego gniew słabnie i Johnson zaczyna mięknąć.

– Chcę zostać stracharzem! – wypaliłam, ujmując w słowa to, co od dawna tkwiło mi w głowie. – Chcę, żeby mnie pan wyszkolił!

Moje słowa wywołały u niego atak wesołości.

– Takie dziewczynskie chuchro, wciąż jeszcze nieopierzone! – ryknął. – Żeby trafić do terminu u stracharza, trzeba być siódmym synem siódmego syna. A teraz zmykaj! Wracaj do matki. Naucz się szyć, czy jeszcze lepiej, być poczciwą, posłuszną żoną – o tym właśnie powinna marzyć dziewczyna. Uciekaj, mówię, nim zmienię zdanie i zamknę cię w jamie!

Umknęłam biegiem, póki jeszcze mogłam, i wróciłam do Grimsargh, wściekła z powodu tego, jak potraktował mnie stracharz Johnson. Niektórzy mężczyźni to świnię! Ale pomysł zostania uczennicą stracharza wciąż nie dawał mi spokoju. Byłam zdecydowana spróbować.

Uznałam, że to dla mnie idealny fach – widziałam zmarłych i bez wątpienia po szkoleniu potrafiłabym też z nimi rozmawiać. Wierzyłam, że moje dary pozwolą mi zostać stracharzem, zwłaszcza kiedy odkryłam, że podstawowa kwalifikacja do tego terminu, to bycie siódmym synem siódmego syna.

Nagle moje marzenie wydało się bardzo realne. Ja byłam siódmą córką siódmej córki. Bez wątpienia stracharze dysponowali podobnymi darami. Wiedziałam już, że umieją rozmawiać ze zmarłymi. Zatem chłopak, dziewczyna, co za różnica? Zrozumiałam też jednak, że trudno będzie mi znaleźć odpowiedniego stracharza. Ale nie mam w zwyczaju poddawać się łatwo; nie cierpię tego, że mężczyźni wymyślają zasady i decydują, jak ma wyglądać świat. Przecież różne rzeczy się zmieniają, prawda? Ja też sprawię, że się zmienią! A wtedy zyskam fach, który zapewni mi niezależność. Sama odnajdę swoje miejsce w świecie, nie muszę liczyć na małżeństwo.

Wkrótce po spotkaniu ze stracharzem Johnsonem, podczas pełni księżyca odkryłam w sobie nową zdolność – mój czwarty dar. Mogłam się stać niemal niewidzialna. Powodzenie w tej kwestii zależało od okoliczności. Znacznie łatwiej przychodziło mi to w słabym świetle, gdy nie rzucałam mocnego cienia. Musiałam też trwać w bezruchu: niektórzy ludzie mają bystrzejszy wzrok niż inni.

O tak, termin u stracharza to coś dla mnie. Johnson się nie nadawał, ale to nie znaczyło, że wszyscy będą tacy sami. Ku swemu zachwytowi dowiedziałam się wkrótce, że najlepszy stracharz w całym Hrabstwie mieszka w Chipenden, zaledwie osiem mil od mojego domu.

Nazywał się John Gregory.

Poszłam zatem do Chipenden i zaczęłam wypytywać miejscowych. Jego poprzednik i mistrz nazywał się Henry Horrocks; od jego śmierci sześćdziesiąt lat temu John Gregory pełnił rolę stracharza. Miał wielkie doświadczenie – będzie dobrym mistrzem, idealnym, by mnie wyszkolić.

I wtedy przeżyłam kolejny, ogromny zawód.

John Gregory miał już ucznia – Toma Warda.

Na jakiś czas spełnienie marzeń oddaliło się. Zapuściłam się dalej, szukając odpowiedniego mistrza i odkryłam, że stracharze to bardzo rzadki fach. Usłyszałam, że

jeden z nich pracuje na północ od Caster, sprawdziłam zatem. Nazywał się Judd Brinstall – rozmawiałam z nim parę razy, ale okazał się niewiele lepszy od stracharza Johnsona: w końcu znudziły go moje błagania i poszczuł mnie swymi groźnymi psami.

Niemal się już poddałam, gdy kilka miesięcy później usłyszałam, że John Gregory zginął w walce z czarownicami. Plotkowali o tym we wszystkich wioskach. Wiedźmy licznie przybyły do Hrabstwa, strasząc ludzi, grożąc im i okradając. W końcu doszło do wielkiej bitwy na wschód od Caster, inwazja została odparta, ale John Gregory zginął. Powiadali, że jego uczeń, Tom Ward, choć ledwie siedemnastoletni, został nowym stracharzem z Chipenden.

Słuchałam, jak o nim gadają. Niektórzy twierdzili, że to wciąż złotodziób – stanowczo za młody do tej pracy. Inni traktowali go łagodniej. Mówili, że jest grzeczny, pracowity i dzielny. W Chipenden powtarzano, że jako nowy uczeń, nawet nie trzynastolatek, uratował z rąk niebezpiecznej czarownicy małe dziecko.

Nieważne, jakie miał dary, nie brzmiało to zbyt obiecująco. Z pewnością był jeszcze za młody, zbyt niedoświadczony, by kogokolwiek uczyć... Ale i tak poszłam do Chipenden, żeby mu się przyjrzeć.

Spodobał mi się od pierwszego wejrzenia. Owszem, był młody, ale i przystojny, poza niewielką blizną przecinającą policzek. Sprawiał wrażenie miłego, lecz dar empatii mówił mi, że bardzo cierpi. Przepęłniał go smutek po śmierci mistrza, a także gniew. Bardzo lubił dziewczynę, która go zdradziła.

Nim się zbliżyłam, postarałam się zebrać o nim jak najwięcej informacji. Z zachwytem odkryłam, że urodziliśmy się tego samego dnia – trzeciego sierpnia. Uznałam to za znak: był dokładnie dwa lata starszy ode mnie. Tym razem zachowałam większą ostrożność niż wówczas, gdy szpiegowałam stracharza Johnsona; skorzystałam z daru niewidzialności.

W końcu zgodził się mnie szkolić.

To, o czym marzyłam latami, wreszcie się ziściło.

Zostałam uczennicą stracharza!

Rozdział 16

Kości małych dzieci

ROZDZIAŁ 16 KOŚCI MAŁYCH DZIECI



Dwa dni temu odezwał się dzwon na rozstajach. Natychmiast nadstawiłam ucha – w końcu jakieś zadanie dla miejscowego stracharza, tradycyjny problem, na którym szlifowało swe umiejętności wiele pokoleń uczniów z Hrabstwa. Tom rozpoczął już moje szkolenie i zapowiadało się bardzo ciekawie; to było naprawdę to!

Dźwigając zatem swoją laskę i torbę Toma Warda, odziana w nowy płaszcz, ruszyłam za nim ku wierzbom płaczącym, podekscytowana perspektywą przygody. Nie miałam pojęcia, co nas czeka i co będę czuła po wszystkim.

Nim jeszcze wkroczyliśmy w cienie pod wierzbami i ujrzelśmy kobietę, wyczułam smutek promieniujący z jej umysłu: cierpiała katusze. Przestała bić w dzwon i oparła się plecami o pień drzewa, a po policzkach ciurkiem płynęły jej łzy. Była młoda, miała najwyżej dwadzieścia pięć lat, lecz twarz postarzała jej się z rozpacz.

– Zaginęła moja córeczka! – zawołała, gdy się zbliżyliśmy. – Porwała ją wiedźma!

– Skąd jesteś? – spytał spokojnie Tom, uśmiechając się współczująco.

– Z Ribchester – wyszłochała.

Ribchester to wioska na południowy wschód od Long Ridge, niecałe pół dnia marszu stąd. Kilka razy zaglądałam tam podczas swoich wędrówek.

– A kiedy zaginęło dziecko? – dopytywał Tom. – Możliwe, że po prostu gdzieś odeszło... skąd pewność, że to sprawka czarownicy?

Moje pierwotne podniecenie nieco opadło. Tom miał rację. Możliwe, że mała po prostu gdzieś odeszła i zablądziła; takie rzeczy wciąż się zdarzają. W naszej wiosce mieszkała staruszka, którą niektórzy mieli za czarownicę, ale to przecież bzdura. Była tylko samotną kobietą, która mówiła do swego kota. Możliwe, że w ogóle nie trzeba tu będzie stracharza.

– Dobrze się opiekuję własną córką! – warknęła gniewnie kobieta. – Nie pozwoliłabym jej gdzieś odejść, to przecież niebezpieczne. Wczoraj tuż po zmroku tylnymi drzwiami wyszłam do ogrodu, żeby rozwiesić pranie. Zostawiłam ją siedzącą na stołeczku przy kominku w kuchni, jadła ciastko. Nie było mnie najwyżej parę minut. Kiedy wróciłam, okazało się, że zniknęła. Wiedźma dostała się frontowymi drzwiami i ją porwała. Drzwi kołysały się na wietrze, tłukąc o ceglana ścianę, choć wcześniej je zaryglowałam.

Tom wpatrywał się w nią w milczeniu. Czułam narastającą w nim troskę.

– Jak ma na imię twoja córka? – spytałam.

– Katie. Nazywa się Katie, ma ledwie trzy lata.

Zacząłam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie robotą innego Kobalosa, ale odpowiedź kobiety na następne pytanie Toma Warda potwierdziła, że chodzi o czarownicę.

– Bez wątpienia przeszukaliście dokładnie całą okolicę? – spytał.

Kobieta przytaknęła, z jej oczu wciąż płynęły łzy.

– Wiemy, gdzie jest, ale nikt nie waży się tam pójść. Nawet mężczyźni się boją. Pięciu z nich, pod wodzą mego męża, ruszyło z psami, by odszukać Katie. Znaleźli domek więdźmy, ale nie mogli nic poradzić. Przed sobą w ciemności usłyszeli wycie psów, jakby coś obdzierało je żywcem ze skóry. Potem zapadła cisza i nim mężczyźni zorientowali się, co się święci, zaatakowało ich coś potwornego. Wrócili do wioski, dźwigając mego męża. Został kaleką – ma strzaskaną rzepekę i nogę złamaną w trzech miejscach. Mówili o wielkim, niewidzialnym stworze, który wypadł spomiędzy drzew i rozwalił mu nogę. Okaleczył go na zawsze. Mąż nie będzie już mógł pracować na farmie. Z czego będziemy żyli?

Wcześniej nie mogłam się doczekać chwili, gdy zaczniemy wspólną pracę z Tomem, ale to brzmiało naprawdę strasznie.

– Co to za więdźma? – Tom zmarszczył brwi. – Jak się nazywa?

– Przedstawiła się jako Bibby Długoząb. Jest tu nowa. Mieszka w okolicy dopiero od miesiąca. Dziwnie mówi. Ludzie twierdzą, że pochodzi z południa, z Essex.

Bezzwłocznie ruszyliśmy do Ribchester z kobietą, która, jak się okazało, miała na imię Margaret. Niewiele rozmawialiśmy, ale Margaret całą drogę płakała. Była tak zrozpaczona, że ciężko znosiłam jej towarzystwo. Jej smutek wnikał w mój umysł, doświadczałam go, jakby był moim własnym, nic nie mogłam poradzić.

Kiedy dotarliśmy do wioski, pomówiliśmy z mężem Margaret. On też co chwilę zaczynał płakać. Nie lubię patrzeć na płaczących mężczyzn. Zazwyczaj starają się być silni, więc kiedy się załamują, to znak, że jest naprawdę źle. Wiedziałam, że płacze głównie z

powodu utraty dziecka, nie spodziewał się, że jeszcze zobaczy córkę. Ale opłakiwał też siebie i swoją beznadziejną przyszłość.

Wówczas, po raz pierwszy, odkąd Tom ocalił mnie przed bestią, ujrzałam go w działaniu. Zachowywał się bardzo fachowo. Może traktował oboje rodziców z lekkim chłodem, ale by być skuteczny, stracharz musi zachować pewną wyniosłość, musi zamknąć w sobie gniew i strach, by zrobić to, co należy.

Kiedy zostawiliśmy za sobą wioskę i zapłakanych rodziców, zachodziło już słońce. Bardzo niepokoiłam się przed starciem z tą wiedźmą. I co za stwór okaleczył ojca? Spytałam o niego Toma.

– Nazywamy je tupaczami – wyjaśnił po drodze. – Najpewniej zabił też psy. To częściowo duch – żywiołak zrodzony w mrocznym miejscu – a częściowo zaklęcie. Wiedźma z pomocą mrocznej magii związała go z sobą, dzięki niej zyskał jeszcze większe moce. Bez wątpienia patroluje okolice wokół jej domku, by nie dopuszczać tam ludzi. Łatwo się z nim rozprawię solą i żelazem – oczywiście, jeśli nie chybię! – Uśmiechnął się ponuro. – Ale to niebezpieczne, bez dwóch zdań. Tupacz może zabić. Gdyby coś mi się stało, uciekaj najszybciej, jak zdołasz.

– A co z czarownicą? – zapytałam.

– Mój srebrny łańcuch to załatwi! Nigdy nie zawodzi.

– Oczywiście, jeśli nie chybisz! – Nawet w moich ustach ten żart zabrzmiał słabo, choć Tom zdołał przywołać cień uśmiechu. – Czy spróbuje użyć przeciw nam mrocznej magii?

– To bardzo prawdopodobne. Ale siódmy syn siódmego syna dysponuje pewną odpornością na czary. Miejmy nadzieję, że dotyczy to też siódmej córki. Zapewne wkrótce się przekonamy. Nie martw się za bardzo. Ty masz tylko obserwować, patrzeć i się uczyć. Zanim się obejrzysz, załatwię sprawę.

Nim dotarliśmy do domku, zrobiło się ciemno. Drzewa szumiały w powiewach zimnego wiatru, po niebie szybko przepływały chmury. Gdzieś wzeszedł już księżyc, ale na razie jeszcze go nie widzieliśmy.

Tom wskazał coś między drzewami – były to głównie jawory i jesiony. Porastały pagórek, na którego szczycie stał dom. Widziałam migoczące w dali światelko.

– To świeca w jednym z okien chaty – oznajmił – więc czarownica jest najpewniej w domu. Lepiej byłoby poczekać do świtu, ale istnieje niewielka szansa, że dziecko wciąż żyje. To niebezpieczne, lecz musimy zaryzykować. Taki mamy obowiązek, a zawsze przedkładamy go ponad własne życie. Rozumiesz to?

– Tak – mruknełam, dygocząc ze strachu. Czułam, że Tom też się denerwuje, ale po jego wyglądzie nigdy byście tego nie zgadli. Promieniowało z niego coś jeszcze: determinacja, obawa o dziecko i poczucie obowiązku.

– Cokolwiek zrobisz, Jenny, trzymaj się tuż za mną – polecił. – Najpierw rozprawię się z tupaczem, a potem z wiedźmą.

Wszedł między drzewa, a ja ruszyłam za nim, dźwigając jego torbę i obie laski. Tom musiał mieć wolne ręce. Kieszenie wypełniały mu sól i żelazo, w pasie owinął się luźno srebrnym łańcuchem.

Było zimno i miałam dreszcze, wiedziałam jednak, że trzęsę się głównie ze strachu.

Chciałam naciągnąć kaptur na uszy, żeby je rozgrzać, ale ograniczyły mi widoczność, a wolałam, żeby nic nie podkradło się do mnie od tyłu.

I wtedy nagle usłyszałam tupacza. Dobrze go nazwano, bo tak brzmiał jego chód: seria ciężkich, głuchych tupnięć, z wielką siłą uderzających o ziemię. Z każdą sekundą stawały się coraz głośniejsze i bliższe, w ziemi pod stopami czułam rytmiczne wibracje. Tom zatrzymał się i wcisnął obie dłonie do kieszeni portek.

Z jakiejś przyczyny sądziłam, że tupacz będzie niewidzialny albo półprzezroczysty i Tom wykona rzut, kierując się wyłącznie słuchem.

Ale nie. Ujrzałam wielki kształt, górujący nad nami, przesłaniający światło z okna chaty; kształt, który wyglądał, jakby zaraz miał wgnieść nas w ziemię i zmiażdżyć nam ciało i kości.

Tom wyrwał ręce z kieszeni; w lewej trzymał sól, w prawej opiłki żelaza. Rzucił je idealnie celnie, tak że złączyły się w chmurę pośrodku czarnej sylwetki.

Nagle rozległ się piskliwy skowyt i tupanie ustało.

Potwór zniknął.

Nie wierzyłam, że poszło tak łatwo.

– A teraz wiedźma – oznajmił Tom, maszerując w stronę domku.

Z pewnością z nią pójdzie mu trudniej, pomyślałam. Co, jeśli Tom chybi, rzucając łańcuchem?

Czarownica wypadła nam na spotkanie, wrzeszcząc pod niebiosa z nienawiści. Była wysoka i chuda, głowę pokrywała jej gęstwina długich, zmierzwionych włosów. Wściekle, szalone oczy spoglądały z twarzy rodem z sennych koszmarów – chudej, kościstej, pokrytej brodawkami; ciało wyglądało, jakby bardzo długo leżało pod ziemią igniło. Promieniowało z niej zło, odczuwałam je w głowie niczym ból.

Nagle jednak zrobiło się gorzej. Wiedźma zaczęła się zmieniać w coś absolutnie groteskowego i przerażającego. Jej włosy stały się gniazdem żmij, wijących się i poruszających rozdwojonymi językami, z których ściekał śmiertcionośny jad. Wybałuszone oczy poczerwieniały, z czoła wyrosły ropiejące wrzody. Miała teraz oblicze demona, a mnie zalały fale grozy i przerażenia, jakie budził zmierzający ku nam stwór.

Jak ktokolwiek mógłby znieść taki koszmar? To niemożliwe. Naprawdę bałam się wiedźmy – choć jeszcze bardziej obawiałam się, że mogę zawrócić i uciec. Po tym Tom nie dałby mi już kolejnej szansy. Oznaczałoby to koniec mojego terminu. W tym momencie ogarnął mnie nagle niezwyklej spokój.

Odetchnęłam głęboko i uważniej przyjrzałam się czarownicy.

I wtedy na moich oczach zmieniła się z powrotem, odzyskując wcześniejszy wygląd: węże stały się włosami, oczy zapadły się w czaszkę, wrzody zniknęły. To było tylko magiczne złudzenie – i na moment odetchnęłam z ulgą.

Wówczas jednak puściła się pędem w stronę Toma, wrzeszcząc, ile sił w płucach:

– Zabiorę ci kości! Wyłupię ci oczy! Wypiję twoją krew! Powoli obedrę cię ze skóry, a ty będziesz zwijał się i krzyczał! Zedrę ciało z twoich chudych żeber i ugotuję rosół z mózgu! Jesteś mój, młody stracharzu! Przyda mi się każdy smakowity skrawek twego ciała, a miękkie mięso dziewczyny nada się na deser!

Wiedźma w obu rękach ścisnęła długie noże; wyglądała, jakby wiedziała, jak ich użyć. Nagle znowu ogarnął mnie strach, klingi wystarczyłyby, by posiekać mnie na kawałki. Kiedy rozprawi się z Tomem, ja będę następna. Oddech uwiązał mi w gardle, serce zaczęło

walić jak młotem.

Z początku Tom nie zareagował, po prostu tam stał, czekając, aż się zbliży. Zastanawiałam się, co planuje. Umysł miał pusty... albo może mój dar nie działał jak należy? Czy to dlatego, że się bałam i nie mogłam skupić?

W tym momencie zza chmury wyłonił się księżyc.

Mimo strachu zobaczyłam wtedy coś bardzo dziwnego.

Ujrzałam cień Toma, rzucany przez księżyc.

Był niewiarygodnie wielki; padł aż na wieżmę i dalej, na ścianę jej domku.

Zaskoczona, przeoczyłam moment, gdy Tom cisnął łańcuchem. Ten utworzył w powietrzu spiralę, na moment zawisł, migocząc w promieniach księżyca. A potem opadł na wieżmę, zaciskając się wokół jej ciała i w poprzek ust. Runęła na kolana.

– Dlatego właśnie musisz ćwiczyć. – Tom uśmiechnął się do mnie. – W takich chwilach bardzo się to przydaje.

Zostawiliśmy tam czarownicę i poszliśmy do domku sprawdzić, co stało się z dzieckiem.

Tak jak się obawialiśmy, mała Katie nie żyła. Znaleźliśmy też kości innych dzieci.

Na ten widok zrobiło mi się tak niedobrze, że omal nie wyrzygałam własnego żołądka.

Mogłam zabić tę wieżmę. Zadźgać ją jej własnymi nożami. Naprawdę tego pragnęłam.

I pojęłam, że w odpowiednich okolicznościach byłabym zdolna kogoś zamordować.

Jak mogła to zrobić małym dzieciom? Nie zasługiwała na to, by żyć.

Tom zawlókł Bibby Długoząb, wciąż okręconą od stóp do głów srebrnym łańcuchem, do Chipenden. Razem wykopaliśmy dla niej jamę we wschodnim ogrodzie. Tym razem to on odwalił większość pracy – mnie posłał do wioski, żebym sprowadziła kowala i kamieniarza. Tak było najlepiej: do tego stopnia przepełniała mnie wściekłość, że nie mogłam nawet spojrzeć na czarownicę.

Mężczyźni wycięli kamień, który miał zamknąć jamę i zamontowali w nim żelazne pręty. Kiedy Tom wturlał czarownicę do dziury, zabrali się do pracy i opuścili go na miejsce, a ona gapiała się na niego szalonymi oczami, plując i przeklinając.

W końcu została bezpiecznie uwięziona, ja jednak wciąż czułam mdłości. Myślałam, że będzie mi się podobało u stracharza, ale teraz ogarnęło mnie autentyczne zwątpienie.

To mroczna i straszna robota. Nikt nie powinien oglądać tego co my ani stawiać czoła wieżmom takim jak Bibby Długoząb. A co gorsza, oglądać tego, co uczyniły.

Nie jestem już pewna, czy chcę zostać stracharzem. W ogóle nie jestem niczego pewna.

Do końca życia nie zapomnę tych maleńkich kości – kości małych dzieci.

ROZDZIAŁ 17 ZAJĘCIA PRAKTYCZNE



THOMAS WARD

Dwa dni temu schwytaliśmy bezecną kościaną wiedźmę, Bibby Długozęb, i sprowadziliśmy ją do Chipenden. Teraz tkwi bezpiecznie w jamie. Nie zdołaliśmy jednak uratować porwanego dziecka i Jenny przyjęła to bardzo źle. Powiedziała, że zastanawia się, czy nie przerwać terminu. Z trudem ją przekonałem, przypomniałem sobie jednak początek własnej nauki i ówczesne wątpliwości: raz nawet wróciłem na farmę, błagając mamę, by pozwoliła mi zrezygnować. Opowiedziałem Jenny, jak mama słusznie odmówiła i jak wiele osiągnąłem. Ją także to czeka.

Jedynym sposobem na wyrwanie jej z ponurych rozmyślań była ciężka praca. Zaczęliśmy zatem prawdziwe szkolenie. Każdego ranka odwiedzaliśmy sześciostopowy

słupek w zachodnim ogrodzie i pozwalałem Jenny ćwiczyć z moim srebrnym łańcuchem. Bardzo to lubiła: na każde trzy rzuty z odległości ośmiu stóp udawało jej się dwukrotnie zarzucić łańcuch na słupek. Potrzebowałem mnóstwo czasu, nim zdołałem osiągnąć serię stu celnych rzutów. Jenny robiła postępy.

Ponownie zademonstrowałem jej właściwą technikę.

– Spójrz: musisz okręcić łańcuch wokół lewej dłoni, o tak, a potem obrócić dłoń w przegubie, by poleciał skrzyśconą w lewo spiralą. Najlepiej, jeśli zdoła objąć znaczną część ciała czarownicy, od głowy aż po kolana. Jeśli zaciśnie się na ustach, nie będzie mogła rzucać zaklęć.

Cisnąłem łańcuchem i oświetlona promieniami porannego słońca lśniła spirala jakby zawisała na moment w powietrzu, a potem opadła, idealnie zaciskając się wokół słupka.

– Oczywiście musisz nieustannie ćwiczyć – poinformowałem Jenny, zbierając łańcuch i oddając go jej. – Tę umiejętność należy szlifować nie tylko w czasie terminu, ale przez całe życie stracharza. No i nie zapominaj, to tylko słupek. Jak widziałaś tamtej nocy, czarownica nie będzie stała bez ruchu! Później, kiedy poprawisz celność, zaczniesz trenować rzucanie łańcucha z różnych odległości, a potem w biegu. Ja mogę być twoim celem.

Przyglądałem jej się jeszcze pięć minut. Była leworęczna jak ja – może to cech wspólna wszystkich siódmych córek i siódmych synów?

– No dobrze, wystarczy – rzekłem w końcu; Jenny dygotała z wysiłku. – Chodźmy zjeść śniadanie.

Choć świeciło słońce, w powietrzu czuło się ziąb. Było znacznie zimniej niż zwykle na początku września i fakt ten zaczynał mnie poważnie martwić.

– Czemu zamiast o boginach nie nauczysz mnie czegoś o czarownicach? – spytała Jenny, gdy wracaliśmy razem pośród drzew. Wcześniej wyjaśniłem, że boginy to najlepszy temat na początek – i zauważyłem, że na moment zacisnęła wargi. Wówczas niczego nie powiedziała, teraz jednak najwyraźniej się namyśliła.

– Podczas pierwszego roku terminu uczniowie zawsze zajmują się boginami – oświadczyłem surowo.

– Niektóre ćwiczenia praktyczne, takie jak rzucanie łańcuchem, dotyczą czarownic. Dlaczego zatem nie mogę też poznać teorii? Czarownice są straszne, ale też bardzo ciekawe.

– Czyżby? – W moim głosie zadźwięczała sarkastyczna nuta. – Cóż, wkrótce możesz poznać bliżej jedną z nich. Grimalkin, wiedźma zabójczyni klanu Malkinów, bada kryjówkę kobaloskiego maga, który cię pochwyił. Kiedy skończy, bez wątpienia nas odwiedzi, by opisać mi, co odkryła.

Po twarzy Jenny przebiegł cień strachu.

– Nie bój się – dodałem łagodnie. – To sojuszniczka.

– Nie myślałam o czarownicy – odparowała Jenny. – Wspominałam tylko, jak bardzo bezradnie się czułam w paszczy bestii.

– Trzeba czasu, żebyś doszła do siebie po tym strasznym przeżyciu, ale wspomnienia odejdą.

Jenny przytaknęła, przyjrzała mi się z namysłem.

– To czarownica, która zabija ludzi, zgadza się? – spytała.

– Owszem, ale zwykle nieprzyjaciół klanu.

– Ty jesteś stracharzem, ona wiedźmą. Dlaczego się z nią nie rozprawisz? Nie powinieneś uwięzić jej w jamie? Zupełnie jakbyś grał po tej samej stronie.

– Kilka lat temu zawiązaliśmy z nią sojusz – tłumaczyłem. – Mojemu mistrzowi, Johnowi Gregory’emu, się to nie spodobało, ale w końcu nawet on uznał, że współpraca jest konieczna. Bestia, która omal cię nie zabiła, to zaledwie pierwszy zwiadowca tysięcy niebezpiecznych kobaloskich wojowników, wrogów Grimalkin i naszych. Dlatego właśnie stracharz sprzymierza się z czarownicą!

Jenny umilkła i ruszyliśmy do kuchni na śniadanie. Natychmiast po nim zabrałem pręt mierniczy i szpadel, i poprowadziłem ją do południowego ogrodu. Dotyk szpadla przywołał smutne wspomnienie pogrzebu mistrza, ale przegnałem je, skupiając się na lekcji.

Zatrzymałem się pod gałęzią, wskazując w górę.

– Teraz wykopiesz jamę stosowną do uwięzienia bogina – poinformowałem Jenny. – Najpierw musisz wybrać właściwe miejsce, zawsze pod gałęzią, i to mocną gałęzią, ponieważ trzeba na niej powiesić bloczek, system łańcuchów i dźwigni, na których zawiśnie kamienna pokrywa opuszczona tak, by uwięzić bogina w dole.

Jenny z powątpiewaniem pokiwała głową.

– Czyli mam wykopać tu jamę, choć nie mamy bogina do uwięzienia?

– Tak, doskonale zrozumiałaś. Dobrze wiedzieć, że słuchasz wyraźnie moich słów. – Nie zdołałem powstrzymać się od złośliwości. Ojciec mawiał zawsze: sarkazm to najniższa forma dowcipu! Nie znosił go. Nagle rozgniewałem się na siebie. Postanowiłem w przyszłości go unikać, kiepska to metoda nauczania. – To lekcja praktyczna. Wykopiesz ćwiczebną jamę – wyjaśniłem łagodniej. – Nasz fach wymaga pewnych umiejętności, to jest jedna z nich. Jama koniecznie powinna precyzyjnie odpowiadać wymaganym wymiarom, bo kamienna pokrywa musi idealnie do niej pasować. Ma mieć dokładnie sześć stóp długości, sześć stóp głębokości i trzy stopy szerokości.

– Dlaczego tak ściśle określa się głębokość? Z pewnością przecież mogłaby trochę się zmieniać?

Z trudem opanowałem gniew. Ja nigdy nie podważałem w ten sposób słów mistrza. Owszem, zadawałem pytania – zachęcał mnie do tego po wielokroć; usłyszałem w głowie jego głos mówiący: *No dalej, chłopcze, wyrzuć to z siebie, nie bój się pytać*. Ale odniosłem wrażenie, że w tonie głosu Jenny wyczuwam brak szacunku.

– Szerokość i długość musisz wyznaczyć dokładnie, by kamień pasował. Sześć stóp okazało się najlepszą głębokością na uwięzienie bogina. Całe pokolenia stracharzy zgadzają się co do tego – uciałem.

Pokazałem Jenny, jak użyć pręta, by wyznaczyć zarys dołu, a potem kazałem jej zacząć kopać. Po jakimś czasie widziałem, że nie idzie jej najłatwiej: dyszała ciężko, z czoła kapały krople potu. Stanowiło to jednak część fachu stracharza. Musiała się nauczyć.

Po jakiejś godzinie pożałowałem jej, poleciłem, by chwilę odpoczęła, i oparłem się o drzewo, podczas gdy ona siedziała na skraju dziury, zarumieniona z wysiłku. W swoim czasie ja też nie przepadałem za kopaniem ćwiczebnych dołów.

– Słyszałaś zeszłej nocy te dziwne odgłosy? – spytała, kiedy złapała już oddech.

Pokręciłem głową. Spałem jak kłoda i obudziłem się dopiero, kiedy przez okno wniknęło światło poranka. O jakich dziwnych odgłosach mówiła? Była w Chipenden nowa i to, co ja uznawałem za normalne, ją mogło zaskoczyć. Bogin czasami także hałasował, krążąc po ogrodzie.

– Lubię sypiać przy otwartym oknie i słyszałam je wyraźnie.

– W taki ziąb spałaś przy otwartym oknie? – spytałem ze zdumieniem.

– Tak. To bardzo zdrowe. Powietrze w sypialni często robi się ciężkie.

Ja sam dokładnie zamknąłem swoje okno. Wolałem zaduch od zimna.

– Jak brzmiały te odgłosy? – spytałem.

– Coś pośredniego między krzykiem a rykiem.

– Może to bogin kogoś odstraszał. Nigdy wcześniej nie słyszałaś bogina, prawda?

– Z początku tak właśnie sądziłam, ale dźwięk dochodził z daleka, nie mógł go wydać

bogin. Brzmiał, jakby dobiegał z odległości wielu mil; przypominał krzyk wielkiego, strasznego zwierzęcia.

– Cóż, nie zamierzam otwierać okna, ale jeżeli znów go usłyszysz, przyjdź i zapukaj do mnie, posłucham.

Tej nocy Jenny tak właśnie postąpiła.

Otarłem ręką zaspane oczy, wstałem z łóżka i uchyliłem drzwi.

– Co się stało? – spytałem zaskoczony, zapominając przez chwilę, co jej nakazałem.

– Mówiłeś, żebym zapukała, jeśli znowu usłyszę ten dziwny krzyk. Właśnie go usłyszałam: tym razem zabrzmiał głośniej. Otwórz okno i nadstaw ucha! Gdzieś tam jest coś wielkiego i wydaje się naprawdę wściekłe.

– Wracaj do łóżka – poleciłem. – Teraz posłucham, a rano porozmawiamy.

Kiedy odeszła, uniosłem dolną połowę okna i wróciłem do łóżka. Słyszałem świst wiatru wśród drzew i to wszystko. W końcu zapadłem w sen, tylko po to, by obudzić się parę godzin później przemarznięty. Z irytacją wyciągnąłem rękę, zatrzasnąłem okno i znów zasnąłem.

Następnego ranka przy śniadaniu byłem nieco zły na Jenny.

– Stracharz potrzebuje snu! – warknąłem. – I jego uczeń także. Dziś masz zamknąć okno i spać, rozumiano?

– Niczego nie słyszałaś? – zdziwiła się, smarując masłem grubą pajdę chleba. Trzeba przyznać, że apetyt miała zdrowy.

– Zupełnie niczego. W pokoju zrobiło się bardzo zimno i dziś od rana boli mnie głowa. Nie zwracaj mi jej więcej swoimi hałasami!

To powinien być koniec całej sprawy.

Ale nie.

Następnej nocy obudziłem się nagle z dziwnym poczuciem, że coś jest zdecydowanie nie tak. Na zewnątrz czai się coś niebezpiecznego. I wiedziałem mniej więcej gdzie.

Nie tylko Jenny miała szczególne dary, tego jednak nie otrzymałem jako siódmy syn siódmego syna. To było coś, co odziedziczyłem po mamie i zawdzięczałem swojej krwi lamii. Ów użyteczny talent bardzo pomagał mi w przeszłości.

Nie było to miłe uczucie: pociłem się, serce waliło mi w piersi i przepełniała mnie groza. Czułem przymus, by coś zrobić, zacząć działać, przepędzić paskudne uczucia. Co więcej, jako stracharz miałem obowiązek zbadać sprawę. Ubrałem się szybko, naciągnąłem buty i zbiegłem na dół. Przy tylnych drzwiach narzuciłem na ramiona płaszcz i chwyciłem laskę. A potem przystanąłem na moment, koncentrując się.

Dar mnie nie zawiódł, zdołałem dokładnie zlokalizować zagrożenie. Wówczas, wiedząc już, dokąd idę, zapiałem szybko pas z pochwą i wsunąłem do niej Gwiazdną Klingę.

Kiedy wyszedłem do ogrodu, ku swemu zaskoczeniu przekonałem się, że Jenny już tam stoi, skąpana w blasku pełni księżyca.

– Słyszałeś? – Jej oczy błyszczały z podniecenia. – Dziś brzmi naprawdę głośno.

Nadal niczego nie usłyszałem, ale nie zamierzałem jej poprawiać – a potem, w następnej chwili, faktycznie do mych uszu dobiegł ów dźwięk. Choć niezbyt głośny, przypominał ni to ryk, ni to wściekły wrzask. Z całą pewnością nie tak krzyczał bogin. Dźwięk dochodził z odległości wielu mil, tak jak opisała Jenny.

Nagle pojąłem, że jego źródłem jest wielki dąb, w którym zamieszkał kobalowski mag. Dar podpowiadał mi, że tam właśnie kryje się niebezpieczeństwo. Nie wiedziałem co to, ale przypuszczałem, że ma coś wspólnego z nieżyjącym magiem. Możliwe, że w grę wchodziła kobalowska magia; dlatego właśnie zabrałem Gwiazdną Klingę.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie kazać Jenny zostać bezpiecznie w domu. Ale zagrożenie to część naszej pracy – już ją przed tym ostrzegałem. Musiała pójść ze mną i zaryzykować, niezależnie od stawki. Tego właśnie wymagał zawsze ode mnie John Gregory.

– No dobrze, chodź ze mną, ale trzymaj się z tyłu. Zrozumiano?

Przytaknęła i ruszyliśmy w stronę źródła dźwięku.

ROZDZIAŁ 18 VARTEK



Maszerowaliśmy szybko i po trzech kwadransach zbliżyliśmy się do kryjówki nieżyjącego maga. Co dziesięć minut spomiędzy drzew dobiegało nas echo niezziemskiego wrzasku, za każdym razem głośniejsze i bardziej przerażające. Z każdą chwilą coraz mocniej wyczuwałem zagrożenie. Do czego się zbliżaliśmy?

Zastanawiałem się, czy Grimalkin wciąż jest w okolicy, czy też odeszła bez słowa.

Przed nami promienie księżyca oświetliły rozłożysty dąb, gdy jednak niebo rozdarł kolejny wrzask, zrozumiałem, że jego źródło kryje się gdzieś dalej.

Minęliśmy drzewo i znaleźliśmy się na szerokiej łące; tam powitał nas zdumiewający widok. Ktoś bardzo krótko skosił trawę i wyrysował na niej olbrzymie kredowe koło, a wewnątrz niego – pięcioramienną gwiazdę.

To był magiczny pentagram olbrzymich rozmiarów.

Czasami mag staje bezpiecznie w podobnym pentagramie i przywołuje coś spoza niego.

Bywa też odwrotnie: czarownik staje obok, a istota zostaje uwięziona wewnątrz kręgu.

Czyżby w okolicy kręcił się mroczny mag?

Zauważyłem, że na szczycie każdego z pięciu ramion gwiazdy płonie wysoka świeca z czarnego wosku. Choć z zachodu wiał wietrzyk, wysokie, błękitne płomyki nawet nie drgnęły. Kto oprócz czarownic używa czarnych woskowych świec? To musiało być dzieło Grimalkin, ale nigdzie jej nie widziałem. Do czego służył pentagram?

Zostawiwszy za sobą drzewa, zbliżyliśmy się do kręgu. Zacząłem go okrążyć w prawo, Jenny dreptała za mną.

– Nie dotykaj kręgu! – syknąłem. – Uważaj, by na niego nie nadepnąć.

W środku mogło tkwić coś niewidzialnego.

Pokonaliśmy już połowę koła, gdy ziemia pod stopami zadrżała. Wyczułem za plecami niebezpieczeństwo, obróciłem się więc szybko i spojrzałem w dół. Na moich oczach coś przedarło się przez trawę, niczym młode drzewko rosnące niewiarygodnie szybko. Miało grubość ludzkiej ręki i rosnąc, układało się w spiralę.

Kiedy obok pojawiły się dwa identyczne obiekty, cofnąłem się szybko o trzy kroki, unosząc laskę w obronnym geście. Widziałem teraz, że to macki, każda zakończona twardą, ostrą kością, przypominającą sztylet.

Jenny sapnęła ze zdumienia, a potem oboje wycofaliśmy się pospiesznie, bo z ziemi wyjrzała wielka głowa. Następnie pojawiły się cienkie nóżki, stanęły w trawie i zaczęły dźwigać resztę potwornego, pokrytego czarną łuską ciała. Stwór miał całe mnóstwo nóg – wyglądał jak gigantyczny owad, coś jakby stonoga.

Jenny otworzyła szeroko usta, jak gdyby zamierzała krzyknąć, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Patrzyła jedynie na potwora okrągłymi oczami.

Co to było? Przeszukałem pamięć, ale nie znalazłem niczego podobnego, istniejącego w Hrabstwie.

Wysokością stwór dorównywał roslemu, rozplodowemu bykowi, był jednak trzy, cztery razy dłuższy i miał długi pysk, pełen przerażających zębów. Poruszały się osobliwie w jego paszczy i wciąż zmieniały nachylenie i długość, jakby mógł nimi kierować.

Wybałuszone oczy przyjrzały mi się uważnie, ujrzałem w nich swoje odbicie. A potem bestia dmuchnęła i zalał mnie cuchnący, kwaśny oddech. Do oczu napłynęły mi łzy, zacząłem kasłać i się dusić.

Stwór śmignął naprzód, gotów do ataku, usłyszałem, jak Jenny jęczy ze zgrozy. Dźgnąłem, celując klingą na końcu laski w lewe oko, stwór jednak cofnął się poza mój zasięg, rozchylił szeroko szczęki i znów wydał z siebie ów ogłuszający, zgrzytliwy odgłos. Z bliska wyglądał doprawdy przerażająco, a jego ryk omal mnie nie ogłuszył, aż zaboląły mnie od niego zęby.

Zorientowałem się, że szykuje kolejny atak i uniosłem laskę, w tym momencie jednak usłyszałem dobiegający spod drzew niesamowity krzyk. Zaryzykowałem zerknięcie i przekonałem się, że to wiedźma zabójczyni. Grimalkin krzyknęła ponownie, stwór odwrócił się, po czym pomknął ku niej.

W jednej sekundzie Grimalkin obróciła się na pięcie i uciekła. W jakiś sposób zdołała go zainteresować – może posłużyła się mroczną magią. Udało jej się aż za dobrze: już prawie dotarła między drzewa, ale stwór doganiał ją szybko, coraz bardziej i bardziej.

Puściłem się za potworem, Jenny pędziła za mną. Grimalkin zniknęła nam z oczu. Teraz stwór zagłębił się w las, łamiąc gałęzie i miażdżąc młode drzewka.

Konary przesłoniły światło księżyca i nagle zrobiło się ciemno. Odrobinę zwolniłem w obawie, że wpadnę wprost w morderczą paszczę bestii. Nagle usłyszałem ogłuszający, rozdzierający trzask, jakby drzewa waliły się na ziemię, a potem przeraźliwy pisk i krzyk.

Przez jedną, mrozącą krew w żyłach chwilę sądziłem, że stwór dopadł Grimalkin. Kiedy jednak dotarłem na niewielką polanę, przekonałem się, że wiedźma stoi naprzeciw mnie z klingami w obu dłoniach.

U jej stóp ziała wielka dziura. Podeszedłem bliżej i zajrzałem do niej: olbrzymi stwór zwijał się i szarpał w agonii, nabity na dziesiątki zaostrzonych palików, które przeszły jego długie ciało; dwa wystawały mu z czubka głowy.

W tym momencie zrozumiałem, co zaszło. Grimalkin wykopała pułapkę, zamaskowała ją i zwabiła bestię, tak że ta wpadła do środka.

– Wybrałeś sobie kiepski moment – rzuciła szorstko. – Mogliście oboje zginąć. Ta bestia pluje kroplami kwasu. Uważaj też na jej nogi: pokrywa je mordercza trucizna... Ale skoro już tu jesteś, równie dobrze możesz się na coś przydać. Pomóż mi ją wykończyć.

Wskoczyła do dołu, ja podążyłem nerwowo za nią i posłuszny wskazówkom wiedźmy, zabrałem się do roboty. Jenny została na górze, ze zgrozą przyglądając się upiornemu spektaklowi. Stwór wciąż się zwijał i szarpał w rozpaczliwych próbach odzyskania wolności. Cały czas ryczał z bólu.

Otaczała go chmura mocnego, palącego smrodu, jego oddech śmierdział. Uważałem, by nie zbliżać się do szczęk, ale sam smród był niemal nie do zniesienia. Grimalkin przebiła mu oczy sztyletami, rozcinając je niczym wrzody. Ja tymczasem dźgałem raz za razem ostrzem na końcu laski. Choć pokrywające grzbiet łuski były mocne jak zbroja, przekonałem się, że podbrzusze ma miękkie i odsłonięte.

W końcu konwulsje ustały i stwór znieruchomiał w kałuży krwi, która z bulgotem i sykiem wsiąkała w miękką ziemię.

Później Grimalkin odprowadziła nas do kryjówki martwego maga.

– Zdołałam uwięzić stwora wewnątrz pentagramu, ale wkopał się bardzo głęboko i uciekł. Nazywają go vartek – wyjaśniła. – Ten tam to zaledwie dziecko; wyobraźcie sobie spotkanie z dorosłym.

– Do jakiej wielkości dorastają? – wypaliła Jenny, patrząc na wiedźmę okrągłymi ze zdumienia oczami.

– Lękam się, że pewnego dnia się przekonamy. – Grimalkin skrzywiła się lekko.

– To jest Jenny, moja uczennica – poinformowałem wiedźmę zabójczynię. – Dziewczyna, która znalazła kobaloskiego maga.

Grimalkin wbiła w nią wzrok i lekko skinęła głową.

Jenny odpowiedziała tym samym. Oszołomiona przyglądała się czarownicy. Sprawiała wrażenie niemal tak przerażonej jak w obliczu varteka.

– Dobrze się spisałaś, dziecko. – Głos wiedźmy zabrzmiał łagodniej. – Życzę ci powodzenia. Jeśli okażesz się choć w połowie tak dobrą uczennicą jak twój mistrz, to wybrałaś właściwy fach. A co do ciebie, Tomie, cieszę się, że przyjąłeś do terminu dziewczynę. To dowodzi odwagi. Wielu z pewnością nie zgodzi się z tą decyzją.

W głębi duszy ucieszyły mnie pochwały Grimalkin, ale chwilowo miałem na głowie

ważniejsze sprawy.

– Skąd się wziął ten stwór? – spytałem.

– Ja go wyhodowałam – odparła z prostotą. Widząc szok na naszych twarzach, wyjaśniła: – Z próbki z jednego ze słojów, które znalazłam w kryjówce maga. Mamy szczęście, że jemu się to nie udało. Wyobraźcie sobie, jakie zniszczenia mogłyby poczynić podobne stwory w Hrabstwie!

W tym momencie mój niepokój jeszcze się wzmógł, na czole zaperlił się pot. Istotnie mieliśmy do czynienia z nowym, przerażającym zagrożeniem. I nagle wyczułem coś jeszcze – gdzieś tam krył się kolejny mroczny stwór. Otworzyłem usta, by coś powiedzieć, lecz nim zdążyłem, daleko na południowym wschodzie zabrzmiał wściekły ryk.

Wyraz twarzy Grimalkin potwierdził to, co podpowiadał mi dar.

Na swobodzie był jeszcze jeden vartek!

ROZDZIAŁ 19 POŚCIG



Zmierz na południowy wschód! – zawołałem. – Wie działaś, że były dwa? – spytałem Grimalkin.

– Nie – przyznała z ponurą miną. – Żyją pod ziemią. A choć urodziły się na powierzchni, natychmiast zniknęły mi z oczu; później wyłonił się tylko jeden. Młode pożerają się nawzajem: powinien przetrwać najsilniejszy. Naprawdę sądziłam, że pozostał jeden.

A potem bez słowa wiedźma zabójczyni odwróciła się na pięcie i pomknęła przez las, ścigając varteka.

Jenny i ja ruszyliśmy za nią, próbując dotrzymać jej kroku. W lesie było ciemno i musieliśmy uważać, by nie wpaść na drzewo, nie potknąć się o pień ani nie wpaść do dziury i nie złamać nogi. Jakimś cudem cało dotarliśmy na skraj lasu, a dalej poprowadziło nas światło księżyca.

Mój dar działał bez zarzutu – co oznaczało, że mogę wyczuć stwora. Był przed nami i

poruszał się bardzo szybko.

Przecieliśmy łąkę i ujrzeliśmy przed sobą gęsty głogowy żywopłot. To zmusiło nas do nadłożenia drogi: musieliśmy wspiąć się na zamkniętą bramę z pięciu prętów. Seria kilku niewielkich poletek znów opóźniła naszą pogoń.

W dali na wschodzie widziałem światła farmy. W pewnym momencie droga stwora skrzyżuje się z siedzibą ludzką. Musieliśmy go powstrzymać, nim do tego dojdzie.

Dotarliśmy na obszar porośnięty mchami, pozbawiony poważniejszych przeszkód i znów przyspieszyliśmy kroku. Po jakimś czasie z przodu dobiegł nas kolejny ryk.

Ku mojej zgrozie wydał się jeszcze bardziej odległy. Vartek był znacznie szybszy od nas – ale dlaczego nie widzieliśmy żadnych śladów jego przejścia, żadnych zniszczeń?

W chwilę później odkryłem dlaczego. Poruszał się pod ziemią: dokładnie przed sobą zobaczyłem wielki, świeżo usypany kopiec. Pośrodku ziała czarna dziura – to stamtąd wyłonił się stwór. Widzieliśmy ślady wiodące w dal: tam usłyszeliśmy pierwszy ryk. W powietrzu unosił się zapach gliny i mokrej ziemi oraz coś jeszcze – ostry, kwaśny smród, taki sam, jaki otaczał potwora, którego Grimalkin zwabiła w pułapkę. Przypomniało mi się ostrzeżenie, że vartek pluje kroplami kwasu.

Grimalkin w pędzie wyminęła dziurę, z trudem dotrzymywałem jej kroku. Zerknąłem przez ramię, Jenny zostawała z tyłu. Nic nie mogłem poradzić – musiałem biec dalej. Może tak będzie najlepiej: kiedy dogonimy stwora, czeka nas niezwykle niebezpieczne starcie. Nie chciałem, aby ucierpiała.

Choć pod stopami mieliśmy szachownicę pól uprawnych, biegło nam się znacznie łatwiej. Po dotarciu do żywopłotu albo kępy drzew vartek po prostu pędził dalej, miażdżąc wszystko na drodze i tym samym ją nam oczyszczając.

Biegliśmy tak jakąś godzinę, podążając jego śladem; złapałem już drugi oddech i bez trudu dotrzymywałem kroku czarownicy, wiedziałem jednak, że to nie potrwa wiecznie. Nadal wyczuwałem przed sobą stwora, w końcu jednak zwolnił i zatrzymał się.

Usłyszałem kolejny ryk, a tuż po nim piskliwe, przerażone krzyki. A potem dostrzegłem światła następnej farmy. W pięć minut później ujrzeliśmy scenę rzezi i zniszczenia. Vartek nie zaatakował domu, uderzył jednak o wielką stodołę, zabijając i pożerając trzymane w niej zwierzęta.

Sądząc po szczątkach, było to kilka krów i co najmniej jeden koń. Teraz wokół walały się resztki boksów, mokre od krwi. Zatrzymaliśmy się z Grimalkin, oglądając upiorne rumowisko. Na ziemi leżały kawałki martwych zwierząt. Do gardła podeszła mi żółć. Jenny zbliżyła się, także stanęła i natychmiast zgięta wpół zaczęła wymiotować w trawę.

Farmer wypadł z domu i podbiegł ku ruinie stodoły z latarnią w dłoni i wielkim kijem. Miał szczęście, że stwór zdążył już uciec. Odwróciliśmy się i pomknęliśmy w ciemność, nie czekając na niego – nie mieliśmy czasu na wyjaśnienia.

Niedługo potem vartek znów wkopał się w ziemię. Przystanęliśmy przy świeżym kopcu, próbując złapać oddech. Skupiłem się, usiłując wyczuć położenie stwora. Przez parę sekund obraz nie był jasny, ale potem w głowie rozbłysło mi światło. Nim jeszcze dogoniła nas Jenny, zlokalizowałem potwora. Zatrzymał się, by odpocząć niecałe pięćdziesiąt jardów od wejścia do tunelu, tyle że głęboko pod ziemią.

– Będziemy musieli tam wejść – oznajmiłem.

Jenny próbowała coś powiedzieć, ale wciąż z trudem łapała oddech i nie zdołała wykrztusić ani słowa.

W odpowiedzi Grimalkin jedynie pokazała kopiec. Zajrzałem do dziury i po raz pierwszy przekonałem się, że jest wypełniona ziemią.

– Zasypuje za sobą tunel! – zrozumiałem.

Czarownica przytaknęła.

– Pożera ziemię i skały zębami i rozpuszcza kwasem zawartym w ślinie. Strawiona, pozbawiona składników odżywczych ziemia zostaje wydalona, blokując korytarz.

– Ale mięso też je. Biedne zwierzęta! – wydyszała Jenny.

– Tak, dziecko, stworzono go, by łaknął krwi. To brutalny stwór, przeznaczony do tego, by w bitwie pożerać żołnierzy przeciwnej armii.

Bez słowa puściłem się za vartekiem; Grimalkin i Jenny maszerowały za mną. Po chwili zatrzymałem się, wskazując trawę.

– Jest dokładnie pod nami, jakieś pięćdziesiąt stóp niżej.

– Skąd to wiesz? – Jenny spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Ty masz swoje dary, a ja swoje. Ten nie zawsze działa, ale często umiem z daleka odnaleźć osobę bądź przedmiot. Na szczęście w tym przypadku dar zadziałał; wiem dokładnie, gdzie jest vartek.

Grimalkin знаła działanie mojego daru. Nie skomentowała; stała obok pogrążona w myślach.

– To zbyt głęboko, żebyśmy zdołali się tam dokopać – zauważyła w końcu. – A nawet gdyby, byłoby to zbyt niebezpieczne.

Znów się skupiłem. Byłem pewien, że vartek się nie rusza.

– Stwór odpoczywa – rzekłem – ale niekoniecznie śpi. On też może wiedzieć, gdzie jesteśmy. Możemy wpaść w zasadzkę.

– Czyli mamy jedno wyjście – zdecydowała Grimalkin. – Musimy go zabić, kiedy wyjdzie na powierzchnię.

Przytaknąłem.

– Albo wyłoni się tu, albo pokona kawałek pod ziemią – a wtedy będzie się poruszał znacznie wolniej. Bez trudu dotrzemy mu kroku, możemy go nawet wyprzedzić.

Rozsiedliśmy się wygodnie. Nie było sensu spać na zmianę, bo tylko ja umiałem wyczuć poruszenia varteka. Grimalkin i Jenny zatem zasnęły, a ja czuwałem.

Jakąś godzinę przed świtem stwór znów się poruszył. Szybko obudziłem swe towarzyszkę i podążyliśmy za nim. Skryty pod ziemią, zmierzał w tym samym kierunku co wcześniej.

Spojrzałem w gasnące gwiazdy i kiedy zorientowałem się w położeniu, ogarnęła mnie mdląca groza.

Mniej więcej tym samym szlakiem podróżowałem z Chipenden na farmę Jacka. Jeśli bestia nie skreśli, trafi wprost do mojej rodziny.

– Na jego drodze leży farma Jacka – poinformowałem Grimalkin. – Jeśli ją wyminie, przetnie Topley. Mieszka tam ponad sześćdziesiąt osób, a jutro jest piątek, dzień targowy. Ludzie schodzą się z pobliskich osad i farm. Na ulicach i błoniach będą ich setki.

Zastanawiałem się, czy vartek wiedział o tym, co się stało z haizdanem. Czy zmierzał na farmę Jacka, by się zemścić? Jeśli tak, czemu nie zaatakował mnie? Zdawało się to nieprawdopodobne, ale niezależnie od wszystkiego, niebezpieczeństwo było aż nadto rzeczywiste.

Grimalkin nadal milczała. Spoglądała w dal.

Vartek mógł przejść pod farmą i pod wioską, ale gdyby wyczuł, co dzieje się na górze, zwierzęta mogłyby zwabić go na powierzchnię. I jakim cudem miałyby przeoczyć wszystkich ludzi na targu?

Stwór, którego Grimalkin nazwała istotą bojową, został wychodowany, by zabijać i pożerać żołnierzy. Trudno mu będzie odróżnić od nich wieśniaków, zajętych swoimi sprawami.

Zacząłem rozpaczliwie szukać rozwiązania. W jaki sposób mógłbym powstrzymać ten atak? Może wezwę bogina, by mi pomógł?

Nie wątpiłem, że Kratch z łatwością rozprawiłby się z vartekiem, potrzebowałem jednak linii mocy, by bogin tu dotarł. Wyobraziłem sobie mapę mistrza, zniszczoną w pożarze, i jak przez mgłę przypominałem sobie, że jedna z linii biegnie kilka mil na wschód.

Tylko jak zmusić varteka, by ją przeciął? Nie znalazłem żadnego sposobu.

Stwór poruszał się aż do południa. Godzinę później zatrzymał się i do wieczora ani drgnął. Ja tymczasem rozpaczliwie szukałem metody powstrzymania varteka. Zagadnąłem Grimalkin w nadziei, że może ma jakiś pomysł.

– Nie mogłabyś użyć przeciw niemu magii? – spytałem, zerkając na Jenny. Spała twardo, wykończona pogonią.

Wiedźma zabójczynie pokręciła głową.

– Już próbowałam zakłęb więźących i oszałamiających. Zupełnie na niego nie działają. Mamy do czynienia ze stworem odpornym na ludzką magię czarownic. Być może specjalnie tak go wychodowano. Oczywiście, z czasem dowiem się, jak go pokonać. Dlatego właśnie rozpaczliwie łaknę wszelkiej wiedzy na temat magicznych praktyk Kobalosów. Tymczasem jednak pozostaje nam tylko cierpliwie czekać i dopilnować, abyśmy byli na miejscu, kiedy vartek wyłoni się z ziemi.

Jej słowa uderzyły mnie niczym cios. Najwyraźniej nic nie mogliśmy poradzić. Poczułem się strasznie bezradny. Wkrótce vartek poruszył się pod nami. Szybko potrząsnąłem śpiącą Jenny. Tym razem przesunął się znacznie wolniej, nadal jednak zmierzał w tę samą stronę.

Szliśmy za nim, a mnie dręczył coraz większy lęk. Tuż przed świtem vartek znów przyspieszył i nasz spacer zamienił się najpierw w szybki marsz, a potem w bieg. Wkrótce pędziłem już naprzód, a Grimalkin i Jenny dotrzymywały mi kroku.

Niebo poróżwiało od łun poranka, przed sobą widziałem drzewa i parę niskich wzgórz, służących za punkty orientacyjne. Znów oceniłem nasze położenie i z ogromną ulgą zrozumiałem, że stwór wyminie farmę Jacka.

Teraz jednak dokładnie na swej drodze miał wioskę Topley. Moja ulga zamieniła się we wstyd. Co z setkami niewinnych ludzi na targu?

I nagle uświadomiłem sobie, że moja rodzina nie jest jednak bezpieczna. Bracia każdego piątkowego ranka odwiedzali targ; przynajmniej jeden z nich będzie tam i dzisiaj. Do tej pory ujrzałem już w dali znajome wzgórze i ogarnęła mnie nadzieja.

– Czy to Wzgórze Wisielców? – wydyszała Jenny z trudem, nie zwalniając.

Przytaknąłem, oszczędzając tchu.

– W takim razie powinien ominąć farmę twego brata.

– Istnieje też szansa, że minie również wioskę – rzekłem.

Nasza droga wiodła pół mili na wschód od wzgórze. Dalej leżało Topley: choć vartek

przejdzie blisko, wyglądało na to, że najprawdopodobniej nie dotrze do wsi. Co właściwie planował ten stwór?

Gdy mijaliśmy Wzgórze Wisielców, pozostawiając za sobą farmę Jacka, vartek przystanął na moment. Sądziłem już, że się wynurzy. Potem jednak skręcił i znów ruszył naprzód. Moje najgorsze obawy się ziściły. Musiał wyczuć obecność ludzi.

Teraz zmierzał wprost ku centrum wioski.

ROZDZIAŁ 20 BŁYSK FANATYZMU



Wiele lat wcześniej, gdy odwiedzałem targ z tatą, na początku zjawiali się tam tylko wcześnie wstający farmerzy: krowy, owce, konie i kury czekały w zagrodach na zakup i sprzedaż; wystawiano narzędzia rolnicze i układano w stosy bele siana.

Dopiero później, koło południa, ulice wypełniał tłum matek i dzieci, wędrujących pośród kramów.

Była dziewiąta, wciąż wcześnie. W powietrzu czuło się chłód, ale słońce wisiało już wystarczająco wysoko na niebie, by skąpać wioskę w świetle i przyjemnym ciepłku. Dzięki temu na targu zebrało się więcej osób niż zwykle i kramarze, oczekując sporych zysków, wyłożyli już towary. Nigdy dotąd nie widziałem takiej krzątaniny.

Kiedy pędziliśmy główną ulicą, zmierzając wprost na błonie i wciąż podążając tropem varteka, ludzie odwracali głowy. Wiele kramów rozstawiono na ulicach promieniujących niczym szprychy od dużego błonia, inne je okalały. Ludzie patrzyli na nas zdumieni, na

ich twarzach widziałem lęk na widok wiedźmy zabójczynie. Moich uszu dobiegły okrzyki strachu i gniewu. Nie zważając na reakcję pospólstwa, pędziliśmy dalej brukowaną ulicą.

I nagle zorientowałem się, gdzie wyjdzie vartek: na samym środku błonia, gdzie uwiązano bydło. Nie wiedziałem, jakie zmysły pozwalały mu odnaleźć ofiary – może lokalizował je po zapachu nawet w głębi ziemi? Może widział przez skały albo z daleka wyczuwał ciepłą krew? Tak czy inaczej, zagroda pełna krów najwyraźniej zainteresowała go bardziej niż ludzie.

Być może nie mógł się oprzeć pokusie takiego mnóstwa mięsa i krwi w jednym miejscu i nakazała mu ona zaatakować. Ostatecznie, czy nie to zaplanowali jego kobalosczy twórcy? Zapewne chcieli, by uderzał w sercu armii wroga, wynurzając się z ziemi i kompletnie zaskakując żołnierzy, szerząc panikę w ich szeregach.

Mój dar działał znakomicie – wyczułem, jak vartek przesuwają się pod kramami i zmierza w stronę zagród. Wyobraziłem sobie, jak porusza szczękami, a jego kwaśna ślina przeżera pochłanianą ziemię i kamienie.

Jak dotąd nie pozwalaliśmy mu wyprzedzić się o więcej niż dwadzieścia, trzydzieści jardów. Teraz nagle zaskoczył mnie, przyspieszając gwałtownie: poruszał się równie szybko jak na powierzchni.

Jak to w ogóle możliwe?

Może ziemia pod błoniem jest bardziej miękka, pomyślałem. Może stworą gna gorączkowa żądza krwi? Liczyło się tylko to, abyśmy zaatakowali, nim w pełni wyłoni się z tunelu.

Pomknąłem za nim, odpychając mężczyznę w fartuchu, lawirując między kramami. Nagle ze środka błonia dobiegł mnie straszliwy krzyk. Ujrzałem trzy czarne macki zwijające się i kołyszące wysoko w powietrzu nad stadem bydła. Tymczasem jeden z farmerów biegł w stronę zagrody, bez wątplenia przerażony losem swego stada.

W sekundę później ogarnięte paniką krowy wyłamały otaczający je płot, który pękł niczym zapalki, i ruszyły ławą w naszą stronę. Farmer zawrócił na pięcie i uciekł ile sił w nogach.

Staliśmy z Grimalkin ramię w ramię, Jenny trzymała się tuż za nami. Wiedźma zabójczynie dobiła dwóch noży, ja uniosłem łaskę, celując klingą w nadbiegające zwierzęta. To były wielkie krowy o długich rogach, z łatwością mogły nas zdeptać. Przypomniałem sobie, że kiedy byłem mały, co najmniej dwóch farmerów stratowały ich własne stada: jeden zginął, drugi nigdy już nie chodził bez pomocy laski.

My jednak nie ustąpiliśmy i w ostatniej chwili, gdy sądziłem, że nabiją nas na rogi, zwierzęta rozstąpiły się niczym dwie rozsunięte zasłony, mijając nas z obu stron i obryzgując błotem.

Gdy jednak odbiegły, powietrze rozdarł kolejny krzyk.

Vartek był trzydzieści jardów przed nami; jak przekonałem się, chwycił w wielkie szczęki krowę i potrzasał nią niczym pies szczurem. Odkąd widzieliśmy go ostatnio, urósł i jego trzy macki zakończone ostrymi kośćmi teraz sięgały co najmniej dwadzieścia stóp w powietrze.

Zobaczyłem kolejną ranną krowę: ryczała z bólu i próbowała wstać, ale brakowało jej nogi, a z kikuta tryskała krew.

Na naszych oczach pierwsze zwierzę znów zaryczało i usłyszeliśmy trzask kości, gdy vartek zacisnął szczęki, rozcinając krowę na pół. Obie połówki spadły na trawę, a

potworny stwór chwycił drugą ranną jałówkę.

Tylko to ocaliło nam życie, gdy szykowaliśmy się do ataku. Przy pełnej paszczy nie mógł pluć w nas jadem.

Grimalkin dopadła go pierwsza i wbiła sztylet w prawe wyłupiaste oko, obracając ostrze, aby zadać jak największą ranę. Ja tymczasem zaatakowałem drugie, dźgając je mocno klingą na końcu laski.

Oślepiiliśmy varteka, ale bynajmniej nie zabiliśmy. W odpowiedzi wypluł resztki drugiej krowy, obryzgując nas jej krwią, i wynurzył się na trawę, wsparty na licznych nogach.

Laska, wciąż tkwiąca głęboko w oku, wyleciała mi z rąk i upadłem do tyłu. Zerwałem z ziemi i dobyłem Gwiazdnej Klingi. Przyjrzałem się uważnie licznym cienkim nogom varteka: pokrywał je żółtawy śluz. Pomny ostrzeżenia Grimalkin, że wydzielają śmiertelnie truciznę, starałem się trzymać od nich z daleka.

Wiedźma zabójczyni ponowiła już atak, ciskając szybko trzema nożami w gardło i miękkie podbrzusze bestii, próbującej wydostać się z nory. Teraz popędziła ku stworowi, unosząc w lewej dłoni długą klingę.

Ku swemu zdumieniu odkryłem nagle, że Jenny przebiega obok mnie, zmierzając wprost na varteka. Zatrzymała się po lewej stronie masywnych szczęk; klinga z jej laski błysnęła w promieniach słońca, gdy dziewczyna wbiła ją głęboko w bok szyi stwora.

– Uważaj na jego nogi! – ostrzegłem, pędząc ku niej.

Ale zagrożenie nadeszło w tej samej chwili z innej strony. Choć oślepiony, vartek najwyraźniej dysponował jeszcze innymi zmysłami. Jedna z macek pomknęła ku Jenny, celując ostrym końcem wprost w jej głowę.

W ostatniej chwili zdołałem zamachnąć się mieczem i odciąć mackę tuż nad kością – błyskawicznie umknęła w tył, ochlapując nas posoką. Natychmiast zaatakowałem gardło, rąbiąc szaleńczo miękkie ciało, a z każdej nowej, głębokiej rany tryskały strugi krwi, wsiąkając w trawę.

W końcu vartek zaczął słabnąć; macki leżały bezładnie na ziemi, nieruchome i bezużyteczne. Zadrżał i jęknął, otwierając szeroko paszczę i ukazując rzędy ruchomych zębów, a potem westchnął ciężko, omiatając nas cuchnącym oddechem i ugięły się pod nim nogi. Nie zdołał uwolnić się z jamy – teraz zsunął się do niej powoli, aż na powierzchni pozostała tylko głowa.

– Szkoda, że w pełni nie wyszedł – Grimalkin wytarła klingi o trawę, wrywając je z gardła stwora. – Chciałabym sprawdzić jego długość. Obawiam się, że wciąż daleko mu do dorosłości. Wyobraźcie sobie tuzin takich stworów atakujących ludzką armię!

Mieliśmy wiele do przedyskutowania, ale nie było to najlepsze miejsce. Musieliśmy czym prędzej opuścić wioskę.

Kiedy farmerzy i rolnicy zagonią już bydło i zbiorą się na odwagę, by podejść bliżej, będą mieli mnóstwo pytań. Obecność wiedźmy dodatkowo komplikowała sprawę, najlepiej zatem zniknąć stamtąd jak najszybciej.

Maszerując, widziałem krążące w dali krowy i ludzi, przyglądających się nam z pobliskich domów. Może byli wśród nich moi bracia, ale niczego to nie zmieniało. Wiedziałem, że nie ma sensu zwlekać i próbować cokolwiek wyjaśnić.

Nikt nie zginął. Nie licząc dwóch martwych zwierząt i zniszczonego ogrodzenia, vartek nie wyrządził większych szkód. A teraz nie żył. Topley się upiekło. Skierowaliśmy się do Chipenden, nie mówiąc zbyt wiele. Jenny, co dla niej nietypowe, milczała. Wiedziałem, że

jest wściekła – mocno zaciskała zęby – ale o nic nie pytałem. Zdążymy rozmówić się później.

Miałem nadzieję odejść bez wyjaśnień, ale nie udało się. Wkrótce zobaczyłem, że podąża za nami gromada poruszonych wieśniaków – około dwudziestu. W pewnym momencie Grimalkin odwróciła się, posyłając im gniewne spojrzenie. Na moment stanęli, kiedy jednak znów ruszyliśmy w drogę, oni pomaszzerowali także, dotrzymując nam kroku.

W końcu, gdy zostawiliśmy za sobą ostatnie chaty, Grimalkin odwróciła się nagle, stając przed nimi. Tym razem podeszli bliżej i zatrzymali się niecałe dwadzieścia kroków dalej. Mamrotali coś gniewnie, niektórzy wymachiwali kijami. Nie mieliby szans w starciu z czarownicą i umknęliby, gdyby tylko zagroziła im ostrzami, ale wolałem, by nikt nie ucierpiał.

– Czego od nas chcecie? – spytałem ostro, stając u boku Grimalkin.

– Co tu robisz z czarownicą, chłopcze? – spytał przywódca: rosły, potężny mężczyzna o ogolonej czaszce i gniewnej, wystającej szczęcie.

Omiotłem rozpaczliwie wzrokiem twarze w nadziei, że zobaczę kogoś, kogo pamiętam z dawnych wizyt w Topley z tatą; kogoś, do kogo mógłbym się zwrócić. To jednak byli obcy, ludzie z odległych farm na południu.

– Pomogła mi uratować wioskę! – odparowałem.

– Uratować przed czym – jej własną mroczną magią? Przywołała piekielną bestię, a ty nic nie zrobiłeś!

– Jestem Tom Ward, stracharz z Chipenden. Walczyła u mego boku, by ocalić was przed potworem, który pożarłby wszystkich. Jeśli mi nie wierzycie, wracajcie na błonie. Tam znajdziecie truchło stwora, którego zabiliśmy, aby wam pomóc.

– Kłamiesz, chłopcze! Cała wasza trójka pójdzie z nami. Poślemy do Priestown po kwizytora – ma przyjechać w tym miesiącu. Potem sami zbudujemy stosy. Po wszystkim zostaną z was tylko popioły – jednej wiedzmy i dwójki pomocników.

Kwizytorzy polowali na czarownice i palili je; za stracharzami też nie przepadali. To nie były czcze groźby: gdyby zdołali nas schwytać, przyszłość zapowiadała się mrocznie. Nie mogłem jednak pozwolić, by Grimalkin pozabijała tych podburzonych, przerażonych ludzi. Kiedy wrócą do wioski, wkrótce zrozumieją, że mówiłem prawdę. Lecz ich przywódca to raptus, będę musiał się z nim rozprawić.

– Wracajcie i zobaczcie, co zabiliśmy – rzekłem miękko. – A potem zastanówcie się. Uczyniliśmy to dla waszego dobra. A teraz pozwólcie nam odejść.

Przywódca postąpił ku nam jeszcze parę kroków.

– Ty pierwszy, chłopcze. Oddaj broń, a potraktujemy cię łagodniej. Chodź z nami, a obiecuję ci uczciwą rozprawę – rzekł, podchodząc bliżej.

– Chcesz, żebym go zabiła? – syknęła mi do ucha Grimalkin.

Pokręciłem głową i ruszyłem w stronę mężczyzny. W dłoni trzymał drewnianą pałkę, długą jak jego przedramię, na końcu grubą i ciężką, dość solidną, by rozwalić mi czaszkę. Zamachnął się nią zdumiewająco szybko, celując w moją głowę, ja jednak uchyliłem się i uskoczyłem. Znów machnął i chybił, a potem rzucił się za mną, na oślep wymachując bronią.

W sekundę później rąbnąłem go mocno w przegub laską; jęknął, ale nie dał się odstraszyć. Znów zaatakował, klnąc na czym świat stoi, a twarz miał czerwona z furii. Uderzyłem go jeszcze dwukrotnie, raz w kolano, drugi raz w ramię. To go jednak nie

zatrzymało, wyglądał, jakby zaraz miał mnie rozerwać gołymi rękami.

I nagle poczułem gwałtowny gniew. Pomyślałem o swojej pracy stracharza – o tym, jak próbuję chronić Hrabstwo i zawsze przedkładałem obowiązek nad własne bezpieczeństwo. Pomyślałem o mistrzu, który oddał życie, by uratować takich ludzi przed Mrokiem. Przypomniałem sobie, jak wieśniacy na nasz widok przechodzą na drugą stronę ulicy. Potrzebowali stracharzy, ale bali się tego, co robimy. Większość z nich w ogóle nas nie lubiła.

Zaatakowałem zatem z nową energią, gnany furją. Pierwszy cios trafił go mocno w usta, mężczyzna zachwiał się i poleciał do tyłu. Potem rąbnąłem go końcówką kija głęboko w brzuch, aż runął na kolana z trudem chwytając dech. Spojrzał na mnie z dołu z twarzą wykrzywioną grymasem bólu i wypluł na trawę dwa zakrwawione zęby.

Minąłem go i podszedłem do pozostałych.

– Kto następny? – rzuciłem ostro.

Cofnęli się ostrożnie, toteż zawróciłem i odmaszerowałem, a Grimalkin i Jenny deptały mi po piętach. Wciąż kipiałem z wściekłości, długi czas nikt z nas się nie odzywał.

– Co, jeśli faktycznie zawiadomią kwizytora? – spytała w końcu Jenny, przerywając milczenie. – Powiedziałaś im, że jesteś stracharzem z Chipenden. Wiedzą, gdzie mieszkamy. Mógłby nas ścigać.

Wzruszyłem ramionami.

– Kiedy zobaczą, co zabiliśmy na błoniach, o wszystkim zapomną – odparłem. – Kierował nimi tylko gniew i strach.

Ku memu zdumieniu Grimalkin pożegnała się z nami przed zmrokiem, nie wyjaśniając, dokąd idzie.

– Odwiedzę cię na początku przyszłego tygodnia – zapowiedziała. – Zakończyłam już eksperymenty i wtedy opowiem ci, czego się dowiedziałam.

Później, gdy siedzieliśmy przy ogniu, na którym piekł się kurczak, kupiony w drodze powrotnej od farmera, Jenny w końcu wybuchnęła.

– W tej wiosce mogły zginąć setki ludzi! Czy ta wiedźma nie ma krzty rozsądku? Nie wie, jak okropnie ryzykowała?

– Chodzi ci o jej eksperymenty? Zapewne sądziła, że zdoła powstrzymać te stwory. Grimalkin włada niezwykle potężną magią. Nie oczekiwała, że varteki uciekną.

– Ale igrała z czymś kompletnie nieznanym! To głupota podejmować takie ryzyko. Z pewnością to widzisz...

Przytaknąłem...

– Owszem, z obecnej perspektywy widzę. Bez wątpienia dlatego właśnie oznajmiła, że zakończyła już doświadczenia. Ale musisz spojrzeć na to jej oczami...

– Oczami wiedźmy! I to głupiej! Widać w nich błysk fanatyzmu.

– Na twoim miejscu nie mówiłbym jej tego – ostrzegłem. – Posłuchaj, jak się okazało, niesłusznie ryzykowała i teraz z pewnością o tym wie. Ale podjęła to ryzyko, bo wierzy, że musimy wykorzystać każdą nadarżającą się sposobność, by dowiedzieć się czegoś więcej o wrogu, z którym być może pewnego dnia staniemy do walki. Teraz przynajmniej wiemy, z czym przyjdzie nam się zmierzyć.

– Z całą pewnością się myliła – oznajmiła gwałtownie Jenny, podnosząc gniewnie głos. – Wtedy odpowiadałaby za śmierć mnóstwa niewinnych ludzi. My też mogliśmy zginąć, próbując po niej posprzątać. Ta czarownica jest niebezpieczna. Ma życie innych za nic!

Westchnąłem, ale nie broniłem dalej Grimalkin; w końcu Jenny się uspokoiła. Rozumiałem jej punkt widzenia, lecz mimo swej nieostrożności wiedźma zabójczyni zademonstrowała nam coś ważniejszego: ogrom grożącego ludziom niebezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ 21 ZAPISKI GRIMALKIN



Niezależnie od niebezpieczeństwa musieliśmy jednak powrócić do rutynowych ćwiczeń.

Gdy następnego popołudnia rozpocząłem praktyczne zajęcia z Jenny, wyciągnąłem pręt mierniczy i sprawdziłem rozmiary wykopanego przez nią dołu na bogina.

– Dobra robota! Jest idealny – rzekłem. – Gdybyś miała do czynienia z prawdziwym boginem, teraz musiałabyś zatrudnić kamieniarza i pomocników.

Dziewczyna zapomniała o wcześniejszym gniewie i posłała mi promienny uśmiech.

– Kamienne wieko zawisłoby nad jamą, pozostawiając ci do zrobienia jedynie trzy rzeczy. Jakie?

Zastanowiła się, wspominając moje wcześniejsze słowa.

– Po pierwsze, musiałabym pomalować wnętrze jamy solą i żelazem, żeby bogin nie mógł uciec. Po drugie, ustawiłabym w środku zanętę. Po trzecie, zaczekałabym do zmierzchu, wówczas bogin wywęszyłby krew i wszedł do jamy, a pomocnicy już by czekali, żeby opuścić pokrywę.

– I znów bardzo dobrze! – Chętnie ją chwaliłem, gdy zapamiętywała lekcje. – Co do dzisiejszych ćwiczeń, musisz pomalować wnętrze jamy.

Zdjąłem pokrywkę z dużego kubła, który przynieśliśmy do południowego ogrodu; Jenny zmarszczyła nos, czując ostrą woń kleju. Ugotowaliśmy go z kości martwych zwierząt i cuchnął pod niebiosą.

Na trawie leżały też dwa worki: jeden z opiłkami żelaza, drugi z solą.

– Wsyp po pół każdego – poleciłem.

Byłem zadowolony z przebiegu ćwiczeń praktycznych. John Gregory dobrze mnie wyuczył i zrozumiałem, że mam wiele do przekazania mojej nowej uczennicy.

Jenny wsypała połowę zawartości każdego z worków do kleju i zaczęła mieszać gęstą, lepłą miksturę długim kijem. Kazałem jej to robić dobrych dziesięć minut, aż w końcu wszystkie składniki właściwie się połączyły. Potem pomogłem jej za pomocą liny spuścić kubel w głąb jamy. Jenny wskoczyła do środka i zwykłym pędzlem zaczęła malować ściany.

– Musisz pokryć każdy cal – poinstruowałem – inaczej bogin zrobi się bardzo mały i ucieknie. Gdyby był to rozpruwacz, stałabyś się jego przekąską. W niecałą minutę wysałby z ciebie krew. Rzucacz zapewne sięgnąłby po głaz i opuszczył ci na głowę, roztrzaskując ją niczym jajko. Boginy są niebezpieczne; musisz uważać, by uwięzić go jak należy. Jeden błąd i po tobie.

Kiedy Jenny skończyła i sprawdziłem, że wszystko jest jak trzeba, złapałem ją za rękę i pomogłem wyjść. Potem wyciągnąłem kubel. Następnie pokazałem, jak przywiązać pędzel do długiego kija – z jego pomocą pokryła miksturą także dno jamy.

Prawie już skończyła, gdy usłyszałem krzyk ze skraju zachodniego ogrodu. To była Grimalkin.

Poszedłem i uprzedziłem bogina, że nie może jej tknąć, a potem przyprowadziłem wiedźmę zabójczynię do jamy.

– Widzę, że twoi uczniowie ciężko pracują! – wykrzyknęła, obserwując Jenny, po czym odwróciła się ku mnie. – Proszę... – wręczyła mi plik papierów, przewiązanych sznurkiem. – Oto moje odkrycia i domysły na temat haizdana i kobaloskich stworów. To suma wszystkiego, czego jak dotąd się dowiedziałam. Przeczytaj uważnie. Wróć za tydzień i znów porozmawiamy.

– Wybierasz się na północ? – spytałem.

– Na północny wschód – odparła. – Muszę zorganizować kilka rzeczy.

Kiedy odeszła, umyliśmy się z Jenny i przeszliśmy do biblioteki. Przez pierwsze pół godziny zapisywała to, czego nauczyła się na temat boginów. Ja tymczasem zacząłem studiować zapiski Grimalkin.

Zawartość szklanych pojemników

Wszystkie materiały są biologiczne, w większości przypadków przechowywane w środku konserwującym, zazwyczaj żelu; część to nasiona, inne to fragmenty pochodzenia zwierzęcego (próbki ssaków bądź gadów oraz hybrydy).

Wiele z nich wciąż żyje, utrzymywane są w stanie uśpienia. Wierzę, że po zasadzeniu nasiona by wyrosły. To samo dotyczy zapewne próbek zwierzęcych. (Sprawdziłam tylko trzy, które potwierdziły moją teorię.) Wszystkie są w stanie rozwijać się i rosnąć, ale nie

potrafię orzec, co by z nich wyrosło bez kolejnych niebezpiecznych eksperymentów. Wiemy jednak, iż Kobalosi z pomocą mrocznej magii stworzyli wiele niezwykłych istot, takich jak: budowniczości (włoskory, odnawiające i rozbudowujące mury Valkarky) i stworzenia bojowe (na przykład haggemioty). Całkiem możliwe, że podobnych stworów używają do wojen. Być może nieżyjący haizdan szykował się do stworzenia u nas podobnych istot i ukrycia ich na terenie Hrabstwa, gotowych do zadania pierwszego ciosu.

Pierwsza próbka zwierzęca

Próbkę tę (podpisaną na słoju jako „Zanti”) pobrałam z ochronnego żelu i umieściłam na pożywce (dwie części ludzkiej krwi; trzy części mielonej świńskiej kości; dwie części cukru; trzy części ludzkiej śliny). Następnie próbkę złożyłam wewnątrz najpotężniejszego zaklęcia obronnego, jakie zdołałam stworzyć – pentagramu o wewnętrznej średnicy pięćdziesięciu stóp – na łące leżącej co najmniej dwieście jardów od najbliższego drzewa. Dodatkowo zaklęciami maskującymi i odstraszającymi ochroniłam pentagram przed wścibskimi oczami i intruzami.

Zaimponowało mi metodyczne podejście Grimalkin i skupienie się na szczegółach, ale podczas lektury po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz. Wiedźma zabójczyni, mimo całej swej wiedzy, inteligencji i odwagi, igrała z nieznanymi siłami i jak zauważyła poprzedniego dnia Jenny, nie doceniła należycie zagrożenia ze strony varteków. Błąd ów mógł kosztować życie wielu osób w Hrabstwie.

Pierwsza próbka została aktywowana w noc pełni księżyca. Wylęgło się z niej mnóstwo małych, owadopodobnych stworzeń. Tuż przed świtem wkopały się w ziemię, by znów się wyroić następnego dnia po zmroku. Na tym etapie były już mniej liczne, ale pozostałe przy życiu urosły do rozmiarów ludzkiego palca. Grimalkin wierzyła, że pod ziemią polowały na siebie i pożerały się nawzajem.

Trwało to, dopóki nie zostały tylko dwa. Opisała je jako bardzo chude, lecz z kształtu człowiekkształtne, o długich palcach rąk i nóg. W końcu przekroczyła krąg i zabiła oba nożami. Grimalkin była dzielna, pomyślałam jednak, że czasami przesadnie wierzy we własne siły. Miała w końcu do czynienia z istotami o nieznanym umiejętnościach walki.

Nie zadowolony się pierwszym eksperymentem, powtórzyła go, wykorzystując próbkę z drugiego słoja. Nowe stwory cały dzień i noc uganiały się i pożerały na powierzchni. Miały długie, cylindryczne ciała, podzielone na trzy segmenty jak u owadów – choć w końcu osiągnęły wzrost owiec, po wielokroć przewyższając je długością. Z czoła sterczał im ostry kolec, którym żądliły i paraliżowały ofiary; Grimalkin nazwała je żądlakami.

Żądlaki te dysponowały mocą przyzywania ofiary i zadziałała ona, mimo iż Grimalkin wzmocniła jeszcze krąg zaklęciem wrogości, by odstraszyc od niego zwierzęta i ludzi. Wabiły i zabijały wrony, grzywacze, mewy, gęsi, kaczki, sroki, króliki, zające, a nawet sarny. W końcu skupiły swoją uwagę na wiedźmie zabójczyni.

Poczuła na sobie ich moc, gdy próbowały przyciągnąć ją w głąb pentagramu. Tym razem okazała się mądrzejsza – zabiła je z daleka, rzucając nożami. Po rozcięciu martwych stworów odkryła, że każdy z segmentów skrywał w sobie serce, żołądek i tkankę mózgową. Następny eksperyment dowiódł, że jeśli zniszczyło się tylko jeden segment, stwór był w stanie go zregenerować. To czyniło z niego niezwykle groźnego

przeciwnika.

Ostatnie doświadczenie zaowocowało wyhodowaniem varteków. Poszło źle, bo po tym, jak młode wkopały się w ziemię, wyłoniło się na powierzchnię tylko jedno. Grimalkin nie miała pojęcia, że przeżyło też drugie. Kiedy odkryła, że stwór był w stanie jeść kamień i glebę, sięgnęła po zdolność postrzegania i ujrzała przyszłość: samotnego varteka przekopującego się pod pentagramem, by uciec. Przygotowała zatem wilczy dół z zamiarem zwabienia go tam i zniszczenia. Nie przewidziała jednak mojego przybycia z Jenny w chwili ucieczki varteka. Postrzeżenie nie uprzedziło jej też o drugim stworze.

Mimo przerażającej natury opisywanych wydarzeń uśmiechnąłem się, dotarłszy do końca relacji Grimalkin: całkowicie pominęła nasz udział w zabiciu stwora. Bez wątpienia wołała zapomnieć o naszym przedwczesnym przybyciu. Nie opisała też pościgu i zabicia drugiego varteka.

Nie uśmiechałem się długo: wkrótce przypominałem sobie, że omal nie doprowadziła do śmierci wielu niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci. Czy w przyszłości kobaloskie stwory zagrożą całemu Hrabstwu? Posłuszne rozkazom Kobalosów potrafiłyby powalić hordy nieprzyjaciół.

Nagle zrozumiałem, o jaką książkę powinienem wzbogacić odbudowaną bibliotekę stracharza. Połączę informacje z glosariusza Nicholasa Browne'a, notatek Grimalkin ze wszystkim, czego dowiem się w przyszłości i napiszę *Bestiariusz Kobalosów*. To godne dziedzictwo dla tych, którzy nastaną po mnie.

Zerknąłem na Jenny. Wpatrywała się w przestrzeń, wyraźnie zdekoncentrowana.

– Starczy już pisania na dziś – rzuciłem. – Wracaj do ogrodu i poćwicz opuszczanie zanęty do jamy!

To trudne zadanie, wymagające długiego treningu. Zanęta, miseczka z krwią, miała zwabić rozpruwacza wprost do dołu, by dało się go tam uwięzić. Jenny będzie miała zajęcie.

Posłuchała, ale nie wyglądała na uszczęśliwioną. Pewnie wołałaby dalej sobie marzyć.

Kiedy wyszła, powróciłem do własnych badań.

Rozdział 22

Czasy się zmieniają

ROZDZIAŁ 22 CZASY SIĘ ZMIENIAJĄ



Kręcąc głową, po raz trzeci odczytałem ostatnie aka pity raportu Grimalkin dotyczącego Kobalosów.

Oceniam, że te stwory, varteki, były najgroźniejsze z trzech zbadanych próbek. Możliwe jednak, że w pozostałych stojach kryje się coś jeszcze gorszego.

Nie wróży to dobrze w obliczu zbliżającego się konfliktu z Kobalosami.

Odkrycia wiedźmy zabójczyni brzmiały przerażająco. Kobalosi bez wątpienia użyliby przeciw nam tych potwornych stworów. Jak mieliśmy się bronić przed istotami stworzonymi, by zabijać?

Wcześniej uważałem groźbę ze strony Kobalosów za coś odległego, zarówno w sensie geograficznym, jak i czasowym. Zdołałem wmówić sobie, że mieszkają z dala od Hrabstwa i minie wiele lat, nim przebiją się na wschodnie wybrzeże Morza Północnego. Nawet

wtedy będą musieli przepłynąć się przez wzburzone wody, by do nas dotrzeć.

Teraz zmieniłem zdanie. Jeden haizdan już tu dotarł; co więcej, mógł ożywić stwory, które wywołałyby chaos w całym Hrabstwie. Możliwe, że inni jego pobratymcy już tu mieszkają i hodują podobne istoty.

Musiałem przewietrzyć głowę, zostawiłem zatem raport Grimalkin w bibliotece i poszedłem sprawdzić, jak idzie Jenny.

Tak jak poleciłem, trenowała opuszczanie zanęty do dołu. Przyglądałem się, jak w skupieniu marszczy czoło.

Metalowa miska wisiała na łańcuchu, zaczepionym o trzy haczyki tkwiące w trzech otworach na krawędzi. Zwykle, zwłaszcza gdy mieliśmy do czynienia z boginem-rozpruwaczem, wypełnialiśmy ją krwią. Do ćwiczeń używaliśmy mleka. Pierwszym zadaniem było opuszczenie zanęty na dno dołu bez rozlania zawartości.

Uśmiechnąłem się zadowolony, gdy Jenny idealnie je wypełniła. Oczywiście w prawdziwych okolicznościach nie poszłoby tak łatwo. Nerwy bywały poważnym problemem: ręce nam się trzęsły, dłonie pociły.

Nadal trzymała łańcuch, skoncentrowana. Należało lekko poluzować haczyki, a potem szarpnąć. Jeśli zrobiło się wszystko jak należy, wysuwały się, pozostawiając miskę na dnie jamy.

Dziewczyna krzyknęła z irytacją – była blisko, ale nie opanowała jeszcze tej sztuki. Dwa z łańcuszków wyszły gładko, trzeci utknął i przewrócił miskę, wylewając całe mleko.

– Nie przejmuj się – rzekłem. – Odpuść pięć minut i spróbuj raz jeszcze. Opanowanie tej umiejętności zajęło mi kilka tygodni ćwiczeń. A może przejdiesz się do wioski i odbierzesz cotygodniowe zakupy?

Tak właśnie uczyniła i po powrocie z powodzeniem opuściła miskę w głąb dołu i zwolniła haczyki. Nie rozlała przy tym ani kropli mleka.

Ucieszyło mnie to. Nauka szła całkiem nieźle, lubiłem pracować z Jenny; z każdym dniem czułem się coraz mniej samotny.

Niedawne spotkanie z Bibby Długozęb okazało się dramatyczne – zwłaszcza, gdy po wszystkim znaleźliśmy w jej domku kości dzieci, niektóre wciąż mokre od krwi. Wnętrze przypominało rzeźnię. Przez parę dni obawiałem się, że Jenny nigdy nie dojdzie do siebie, ale teraz sprawiała wrażenie znacznie weselszej.

John Gregory szkolił wielu chłopców, którym się nie powiodło; wielu z nich uciekło, nie kończąc terminu. Bardzo mi zależało, by pierwsza osoba, którą uczę, została stracharzem. Chciałem, żeby się udało. Wciąż byliśmy na początku drogi, ale miałem spore nadzieje co do Jenny.

Zgodnie z obietnicą Grimalkin wróciła po tygodniu.

– Przeczytałeś moje zapiski z doświadczeń z kobalorskimi bestiami bojowymi? – spytała ostro.

Przytaknąłem.

– Widziałeś też varteki w działaniu, choć wciąż młode, wiesz zatem, jak poważne jest zagrożenie...?

– Znacznie gorsze, niż podejrzewałem – zgodziłem się.

Kiedy zatem raz jeszcze poprosiła, bym towarzyszył jej w podróży na północ, trudno mi było odmówić. Wiedziałem, że to właściwa decyzja.

– Nie będzie nas dwa miesiące, najwyżej trzy – zapowiedziała. – Czy na pewno możesz poświęcić tej kwestii tyle czasu?

– A co z Jenny? Niezbyt to sprawiedliwe narażać ją tak bardzo na samym początku terminu. Dobrze sobie radzi z nauką i czyni szybkie postępy – oznajmiłem.

– Zabierz ją ze sobą. Będziemy się uczyć razem – a jeśli mamy mieć jakiegokolwiek szanse w starciu ze straszliwym, potężnym wrogiem, musimy jeszcze wiele się dowiedzieć. Albo też jeśli chcesz, daj jej wybór i pozwól zostać tutaj. Po powrocie możesz podjąć przerwane nauki.

Tak jak wcześniej, przed bitwą o Kamień Strażniczy, Grimalkin rozbiła obóz w ogrodzie. W bibliotece przekazałem wieści Jenny.

– Wyruszamy w długą podróż z Grimalkin – oznajmiłem. – Musimy zbadać Kobalosów, odkryć ich słabe punkty, udamy się zatem przez Morze Północne na skraj ich terytoriów.

– Jak długo nas nie będzie? – nie sprawiała wrażenia uszczęśliwionej.

– Wrócimy przed rozpoczęciem zimy.

Pokiwała głową, ale wyraźnie jej nie przekonałem.

– Umiesz jeździć konno? – spytałem.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Jeździłam na koniach na jednej z farm, gdzie pracuje mój przybrany ojciec, ale dawno. Byłam wtedy malutka.

– Jeżeli to cię pocieszy, ze mnie też kiepski jeździec. Stracharze wolą podróżować pieszo, ale teraz czeka nas długa droga, więc dosiądziemy wierzchowców. Powiem ci prawdę – rzekłem w końcu – to bardzo niebezpieczna wyprawa. Uważam, że ja sam muszę wyruszyć, ale ty mogłabyś zostać tutaj. Byłabyś bezpieczna, bogin cię ochroni. Mogłabyś dalej trenować umiejętności praktyczne i czytać książki w bibliotece, sporządzając notatki. Może też znalazłbym kogoś, kto by cię pouczył jakiś czas.

Jenny nie wyglądała na zachwyconą tą perspektywą.

– Zabiorę cię na spotkanie z innym stracharzem, mieszkającym na północ od Caster. Wówczas podejmiesz decyzję. Chcę prosić, by podczas naszej nieobecności miał oko na Chipenden. To oznacza dodatkową pracę, ale z pewnością poradzi sobie z najważniejszymi zadaniami w obu okolicach. Kiedy go poznasz, może zgodzi się ciebie szkolić.

Jenny jeszcze bardziej zrzędała mina.

– O co chodzi? – spytałem.

– O nic... Po prostu nie podoba mi się myśl o opuszczeniu Chipenden i podróży tak daleko na północ. Lubię podróżować: podczas swych wędrówek zwiedziłam niemal całe Hrabstwo, ale to oznaczałoby pożegłowanie za morze, do obcych krain, a o tym tylko marzyłam. Sama nie wiem, co myśleć, chyba jednak wolałabym zostać tutaj. I nie chcę, żeby szkolił mnie ktoś inny.

– Ja też wolałabym zostać tutaj, Jenny! – powiedziałem. – Czuję to samo, ale nie mam wyboru.

Przez następnych dziesięć minut opisywałem jej zagrożenie ze strony Kobalosów i ich

zamiary: wymordowanie wszystkich ludzkich mężczyzn – dorosłych i chłopców – i zniewolenie kobiet. Potem przypominałem o warteckach, z którymi walczyliśmy, i o tym, że mogliby ich użyć przeciw nam.

– Widzisz sama, Jenny, że muszę wyjechać. Zachowaj otwarty umysł, póki nie poznasz Judda.

Jenny zmarszczyła brwi, ale ja podjąłem już decyzję. Postanowiłem pomóc Grimalkin i nie zamierzałem się guzdrać.

Pomaszerowaliśmy na północ przez wzgórza, wymijając Caster od wschodu i zmierzając dalej brzegiem kanału biegnącego na północ. Wyzaczyłem szybkie tempo, bo w powietrzu czuło się już mróz. Na długo przed dotarciem do Kendal skręciłem na zachód, prowadząc Jenny ścieżką nad strumieniem. W końcu dotarliśmy na skraj płytkiej fosy, otaczającej wodny młyn.

Kiedyś był to prawdziwy młyn, a potem siedziba stracharza, Billa Arkwrighta. Mistrz wysłał mnie do niego na jakiś czas: chciał, żebym dowiedział się czegoś więcej na temat wodnych wiedźm i innych stworów z Mroku, żyjących w tym regionie. Ale przede wszystkim Bill miał mnie wzmocnić i wyszkolić do walki. I to mu się udało. Z czasem go polubiłem i wciąż opłakiwałem jego śmierć.

Judd Brinscall, kolejny dawny uczeń Johna Grego-ry'ego, był teraz miejscowym stracharzem. Podczas pierwszego spotkania nie zachwycił mnie: zastraszony, pod groźbą śmierci rodziny zdradził mego mistrza. Później jednak nam pomógł i mistrz mu wybaczył. Mnie niełatwo przyszło przebaczenie, ale od tej pory okazywał się użyteczny, a poza tym nie znałem innych stracharzy w pobliżu; tylko on mógł kontynuować moje szkolenie i przyrzekł, że to zrobi.

Zerknąłem w głąb fosy i odwróciłem się do Jenny.

– Ma ona chronić przed wodnymi wiedźmami – oznajmiłem.

– Skoro te wiedźmy żyją w wodzie, dlaczego miałyby się jej bać? – spytała ze zdumieniem. – To przecież nie ma sensu.

– Jak większość odmian czarownic nie lubią soli – wyjaśniłem. – Judd co kilka dni wsypuje do fosy parę baryłek. To je odstrasza.

– Czy w okolicy żyje dużo wodnych wiedźm? – zastanawiała się Jenny.

– Owszem, te bagna je przyciągają – wskazałem ręką. Słońce zachodziło, z odległego morza wstawała mgła. – To ważne miejsce dla wodnych czarownic, można powiedzieć, że święte. Mimo zatem obecności stracharza i jego psów, od czasu do czasu tu przychodzą. A wtedy Judd poluje na nie na moczarach. Patroluje wielki obszar, na północ od zatoki Morecambe aż do jezior, tuż przy północnej granicy Hrabstwa.

Brodząc w słonej fosie, usłyszałem szczekanie psów oznaczające, że Judd jest w domu.

Gdy dwa zwierzaki pomknęły ku nam, poczułem, jak Jenny wzdryga się mocno. Nie zdziwiłem się. To były wielkie, groźne ogary.

Dopadły mnie, nim dotarłem do drzwi, przystanąłem zatem, głaszcząc je i cierpliwie poddając się lizaniu. Ucieszył mnie ich widok, ale radości towarzyszył smutek. Teraz zostały tylko dwa psy, Krew i Gnat. Ich matka, Szpon, zginęła w bitwie o Kamień Strażniczy, tej samej, w której poległ mistrz.

– Wejdz do środka! – zawołał znajomy głos. – Na dworze jest jak w zimie!

Judd czekał w drzwiach. Powitał mnie ciepło, zauważyłem jednak, że posłał Jenny dziwne spojrzenie.

– To moja uczennica, Jenny – przedstawiłem.

Patrzyłem, jak ze zdumienia opada mu szczęka. Chyba będę musiał przywyknąć do podobnych reakcji.

Wkrótce siedzieliśmy już za stołem, zając na kolację przepysznego dorsza. Tak blisko morza zawsze można dostać świeżą rybę.

Niedawno wymieniłem z Juddem kilka listów, ale po raz pierwszy od dnia bitwy spotkaliśmy się twarzą w twarz i miałem mu wiele do opowiedzenia. Postanowiłem jednak zaczekać do końca posiłku.

– Jak ręka, Judd? – spytałem.

W bitwie stracił dwa palce: odgryzła mu je czarownica.

Uniósł prawą dłoń i skrzywił się.

– Przestało już boleć, ale wciąż jest trochę sztywna. Potrafimy jednak przywyknąć do wszystkiego, prawda? Nie mogę nic na to poradzić, więc staram się radzić sobie, jak mogę. Po prawdzie, oddałbym dwa razy więcej palców, gdybym mógł odzyskać Szpon. Nie miałem jej długo, ale bardzo się do niej przywiązałem.

Potem nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Judd co i rusz zerkał ciekawie na mnie i na Jenny. Gdy tylko opróżniłem talerz i odsunąłem krzesło od stołu, wskazał ręką schody.

– Twój pokój jest na piętrze, drugi po lewej, młoda damo – poinformował. – W szafce na podeście znajdziesz czyste prześcieradła i poszewki. Wyglądasz na zmęczoną, więc lepiej idź już spać.

Wbrew moim oczekiwaniom Jenny nie protestowała; pozdrowiwszy nas skinieniem głowy, wstała od stołu i wspięła się po schodach. Od przybycia do młyna zachowywała nietypowe milczenie, nie odezwała się ani słowem. Zastanawiałem się, czy nie dopadła jej jakaś choroba.

– Zatem, Tomie... jak sobie radzisz z pracą stracharza w Chipenden? Przychodzisz prosić o pomoc? Jeśli tak, chętnie ci jej udzielę. Nie dorównuję wiedzą ani doświadczeniem biednemu Johnowi Gregory'emu, ale z pewnością mógłbym cię niezłe podszkolić.

Zirykowało mnie, że Judd nazwał mistrza biednym. Nie należało się nad nim litować: zginął w walce z Mrokiem i całe życie walczył po stronie Światła. Taki właśnie żywot sobie wybrał. Zrozumiałem jednak, że Judd nie miał wcale złych intencji, więc odpuściłem.

– W Chipenden jest bardzo spokojnie – stwierdziłem. – Zupełnie jakby Mrok trwał w uśpieniu.

– Tutaj wygląda to tak samo – oznajmił Judd. – Od ponad miesiąca nie widziałem ani śladu wodnej wiedźmy. Nie mówiąc już o tym, że niedawna plaga skeltów minęła bez śladu.

Te słowa przypomniały mi noc, kiedy walczyłem przed tym młynem z niebezpiecznym skeltem; wbił mi w szyję długą, kościaną rurę i próbował wyssać krew. Miałem szczęście, że zdołałem ujść z życiem.

Skupiłem się na słowach Judda.

– Jest niemal zbyt spokojnie... Zupełnie jakby Mrok zbierał siły.

– To całkiem możliwe – rzekłem.

– Czy zatem od ostatniego listu zdarzyło się jeszcze coś dziwnego? Oczywiście poza tym,

że przyjąłeś do terminu dziewczynę?

Nie zważając na złośliwośćkę, rozpocząłem relację:

– W liście wspomniałem ci, że dowiedziałem się o zagrożeniu ze strony Kobalosów. Wygląda jednak na to, że mogą przypuścić atak na Hrabstwo znacznie wcześniej, niż oczekiwałem. Jeden z nich – mag, haizdan – był tutaj. Zbudował sobie kryjówkę w drzewie niecałą godzinę drogi od Chipenden. Nim zorientowałem się, z czym mam do czynienia, zabił trzy dziewczyny. Teraz bestia nie żyje, ale możliwe, że w Hrabstwie są też inne. – Przeszedłem do szczegółów, opisując dokładnie przebieg wydarzeń i rolę, jaką odegrała w nich Jenny. Na pierwszą wzmiankę o jej imieniu Judd uniósł wysoko brwi. Zakończyłem jednak, streszczając badania Grimalkin i to, co odkryła w jamie nieżyjącego maga. Opowiedziałem mu o jej eksperymentach i zabitych przez nas vartekach. Gdy skończyłem, Judd bardzo długo milczał.

– Bez tego miecza już byś nie żył – rzekł w końcu. – Może poproś wiedźmę zabójczynię, żeby dla mnie też taki wykuła? Jeśli kiedykolwiek natknę się na jednego z kobaloskich magów, laska na niewiele mi się zda.

– Nie potrafię stwierdzić, jak sprawdziłaby się w walce laska; moją zostawiłem dziewczynie, więc nie miałem okazji jej użyć. Ale masz rację: magowie ci posługują się potężną mroczną magią. Wątpię jednak, by Grimalkin łatwo przyszło wykucie podobnego miecza. Nie tylko jest nasączony jej magią, ale też zrobiony z rudy, która spadła z nieba.

– Z meteorytu?

– Tak, i to bardzo rzadkiego. Musimy znaleźć inny sposób poradzenia sobie z tymi magami. Liczę na to, że Grimalkin coś wymyśli.

– Dziwię się, że przyjąłeś do terminu dziewczynę – rzekł nagle Judd, zmieniając temat. – Jakiś czas temu kręciła się tutaj, błagając, bym ją uczył. W końcu musiałem poszczuć ją psami; inaczej nie dało się jej pozbyć. Trzeba było widzieć, jak uciekała! Jeden z psów oddał jej rąbek spódnicy!

Nic dziwnego, że Jenny nie miała ochoty tu przychodzić. Po raz kolejny przekonałem się, że pewne rzeczy zachowuje dla siebie i nie opowiada ich bez pytania. Judd postąpił okrutnie, szcując ją ogarami: nie zasłużyła na to. Pamiętałem, jak bardzo bałem się z początku wielkich myśliwskich psów. Ale co się stało, to się nie odstanie, uznałem zatem, że nie ma sensu zrażać do niej Judda, czyniąc mu wyrzuty.

Wzruszyłem ramionami.

– Przyjąłem ją pewnie dlatego, że czułem się winny. Nie doceniłem maga, a ona omal nie zginęła.

– Cóż, lepiej by ci było bez niej. Po pierwsze, sam musisz się nauczyć jeszcze wielu rzeczy, bez dodatkowego obciążenia w postaci uczennicy. Nawet jeśli to rzeczywiście siódma córka siódmej córki, nigdy wcześniej kobieta nie została stracharzem.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz. – Znów poczułem złość. – I uważam, że podjąłem słuszną decyzję. Miała dość odwagi, by stawić czoło widmom na Wzgórzu Wisielców. Na pewno sobie poradzi.

– To się nie uda, Tomie. Nigdy nie przypuszczałem, że okażesz się na tyle głupi, by przyjąć dziewczynę. Co powiedziałyby John Gregory?

Wzruszyłem ramionami.

– Czasy się zmieniają, Judd. I musimy zmieniać się wraz z nimi. Pozwól, że przejdę do głównego powodu mojej wizyty. Ruszam na północ z Grimalkin. Odwiedzimy królestwa

graniczące z ziemiami Kobalosów, gdzie spróbujemy dowiedzieć się jak najwięcej o naszym nowym przeciwniku. Nie będzie mnie jakieś dwa miesiące. Zechcesz od czasu do czasu zaglądać do Chipenden i rozprawiać się z najgorszymi zagrożeniami ze strony mrocznej magii? Wiem, że proszę o wiele, musiałbyś wziąć pod opiekę dwa duże obszary, ale nie mam do kogo się zwrócić.

– Nie zostawiasz chyba dziewczyny i nie każesz mi się nią zajmować?

Pokręciłem głową.

– Nie, ona pojedzie ze mną – oznajmiłem; po tym, co usłyszałem, nie chciałem, by Jenny musiała mieszkać z Juddem; nieważne, czy zechce opuścić Hrabstwo, czy też nie, z pewnością nie powinna wchodzić mu w drogę.

– W takim razie, ponieważ ostatnio wszędzie panował spokój, z chęcią ci pomogę, Tomie – powiedział z uśmiechem. – Dziewczyna uczeń... Nigdy nie sądziłem, że dożyję tego dnia.

ROZDZIAŁ
23
KRZYK BOGINA



W drodze powrotnej do Chipenden zagadnąłem Jenny o Judda. Po tym, jak ją potraktował, nie zdziwiło mnie, że nie miała ochoty zostać w domu pod jego pieczę.

– Zakładam, że nie chciałabyś zamieszkać u Judda, gdy wyruszę na północ?

– Kategorycznie nie! – odparła z naciskiem.

– Tak też przypuszczałem. Opowiedział mi o tym, jak poszczuł cię psami. Źle postąpił i rozumiem twój gniew. Judd nie zostanie w młynie. Będzie zaglądał do Chipenden, by mieć na wszystko oko, toteż nawet tam czasami musisz się liczyć z jego towarzystwem. Zechcesz zatem wyruszyć z nami na północ?

– Wcale mnie to nie cieszy – odparowała. – Na samą myśl czuję lęk, ale tak będzie najlepiej. Po prostu muszę oswoić się z tym pomysłem.

Kiedy dotarliśmy do zachodniego ogrodu, nie znaleźliśmy ani śladu Grimalkin. Bez wątplenia rozpoczęła już przygotowania do wyprawy.

Pierwszej nocy po powrocie, nad ranem, obudził mnie straszliwy krzyk, tak głośny, że zatrzęsły się szyby w oknie. To był wrzask wściekłości. Doskonale go znałem, dobiegał z bliska.

Bogin rzucał wyzwanie intruzowi.

Wyśliznąłem się z łóżka i szybko ubrałem. Kiedy naciągałem skarpetki, bogin drugi raz rzucił wyzwanie. Wiedziałem, że ostrzeże trzy razy, nim zaatakuje. Zawsze przestrzegał ustalonych przez nas zasad.

Co mogło wtargnąć do ogrodu? W zwykłych okolicznościach nie wątpiłbym, że Kratch sobie poradzi, ale biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, możliwe, że mieliśmy do czynienia z Kobalosami. Po spotkaniu z vartekami i haizdanem niczego nie byłem już pewny.

Jenny czekała na mnie u stóp schodów, w dłoni trzymała laskę, gotową do walki – wypuściła już chowaną klingę.

– Zostań pod tylnymi drzwiami – poleciłem. – Jeśli cokolwiek zbliży się do domu, krzycz wniebogłosy: dość głośno, by pobudzić zmarłych.

– Chcę pójść z tobą! – nalegała, łapiąc mnie za rękę.

– Rób, co ci każę! – warknąłem, sięgając po własny kij. – Bogin mógłby ci zrobić krzywdę.

Zapiąłem szybko pas z pochwą i wsunąłem do niej Gwiazdną Klingę, a potem pobiegłem przez trawnik między drzewa zachodniego ogrodu.

Nie do końca okłamałem Jenny. Co prawda poleciłem boginowi, by jej nie krzywdził, ale teraz, przepełniony żądzą krwi i rozjuszony, mógł się na nią rzucić. Przede wszystkim jednak zostawiłem ją w domu po to, by pozostała w bezpiecznej odległości od nieznanego intruza.

Nagle usłyszałem inne krzyki. Te nie pochodziły ze spragnionego gardła bogina. To były wrzaski agonii – zapewne przedśmiertne krzyki stwora, którego zaatakował.

Zacząłem wyczuwać w umyśle położenie intruza, choć tak naprawdę nie potrzebowałem daru – krzyki w zupełności wystarczyły.

Niespodziewanie zapadła cisza. Zwolniłem, zbliżając się ostrożnie. W promieniach księżycy powitała mnie scena rzezi. Odwróciłem się i zwymiotowałem, a potem stałem tak chwilę, oddychając głęboko i przelkując ślinę, by opanować żołądek.

Trawa była mokra od krwi. Przelano tu mnóstwo krwi – zbyt wiele jak na jednego intruza. Nagle dostrzegłem pierwszą z głów. Tkwiła nabita na młode drzewko, ślepe oczy połyskiwały na wysokości moich własnych.

To był kobaloski mag, bez cienia wątpliwości. Obejrzałem uważnie wydłużony pysk, rozchylony, ukazujący ostre zęby. W odróżnieniu od tego, z którym walczyłem w drzewie, stwór nie ogolił twarzy i jeszcze bardziej przypominał zwierzę, długie włosy związał z tyłu w prosty kucyk.

I nagle usłyszałem głośne chleptanie: Kratch nie zamierzał pozwolić, by krew się zmarnowała. Po jakimś czasie ucichł i zaczął mruścić, chwilę później coś puchatego i zimnego otarło mi się o lewą nogę. To był bogin w postaci kota; natychmiast przemówił do mnie wewnątrz mojej głowy.

Byli smaczni, ale dziwni – wysyczał. – Nigdy dotąd nie zetknąłem się z podobnym posmakiem krwi. Mógłbym go polubić. Chcę więcej.

– Ilu ich było, Kratchu? – spytałem.

Trzech. Czy przyjdzie więcej?

– Możliwe. To kobalosczy magowie i moi nieprzyjaciele. Wkrótce muszę wyruszyć za morze, by dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Podczas mojej nieobecności zjawi się tu inny stracharz, Judd Brinscall. Pozwól mu wejść do ogrodu i domu i niech mu nawet włos nie spadnie z głowy. Zgoda?

Tak, zgoda. Gdybyś mnie potrzebował, kiedy będziesz daleko, po prostu zawołaj, a stanę u twego boku. Zapolujemy razem.

– W razie zagrożenia uczynię tak, ale będę daleko za morzem. Dasz radę przebyć taką odległość?

To trudne, lecz nie niemożliwe – odparł Kratch. – Niektóre linie przecinają dno głębokich mórz. Istniały tam, nim jeszcze ziemia się zapadła i zalały ją wody.

Bogin miał na myśli linie mocy, po których błyskawicznie przemieszczał się z miejsca na miejsce. Otarł się o moją nogę i jego mruczenie ucichło.

Wróciłem do domu, postanowiwszy zostawić na rano nieprzyjemne sprzątanie krwawych szczątków.

Następnego dnia po wschodzie słońca poleciłem Jenny wykopać dziurę, ja tymczasem pozbierałem resztki trzech Kobalosów.

– Sobie zostawiasz całą zabawę, a mnie każesz tylko kopać – poskarżyła się Jenny, gdy wróciłem do niej.

– Nazywasz to zabawą? Zbieranie strzępów ciała i kości to niezbyt przyjemne zadanie.

– Nie bądź tępy, nie chodziło mi o to, tylko o zeszłą noc. Chciałam pójść z tobą; chciałam cię wesprzeć w niebezpieczeństwie.

Rozgniewała mnie. Nie wyobrażałem sobie jakichkolwiek okoliczności, w których mogłem sam nazwać swego mistrza „tępym”. Odetchnąłem jednak głęboko i przemówiłem spokojnie.

– Jeśli twój termin okaże się choć w połowie tak ciekawy jak mój, jeszcze przed upływem pierwszego roku zakosztujesz aż nadto niebezpieczeństwa – oznajmiłem. – W tej pracy nie biegniemy ku zagrożeniu, to ono nas szuka!

Jenny umilkła, ale nie wyglądała na zadowoloną.

Użyłem już lusterka, by powiadomić Grimalkin o wydarzeniach zeszłej nocy. Zjawiła się, gdy ciskałem na stertę ostatnie krwawe szczątki.

Oprócz części ciał po ogrodzie wały się kawałki zbroi, trzy szable i kilka długich sztyletów. Ułożyłem je w rzędzie na trawie.

– To byli zabójcy. – Grimalkin uniosła jedną z głów i obejrzała uważnie. – Świadczy o tym kucyk. Najpotężniejsze bractwo kobaloskich zabójców nazywa się Shaiksa, można ich poznać po trzech warkoczach, ale bez wątpienia i ich spotkałoby to samo z rąk twojego bogina. Oczywiście, Shaiksa świetnie władają bronią: nie chciałbyś zetrzeć się z nimi bez od bogina!

– Uważasz, że przysłano ich, by mnie zabili?

– Niekoniecznie. Podejrzewam, że stanowili raczej posiłki dla haizdana i że łączył ich wspólny cel. Bez wątpienia znaleźli jego grób i zauważyli, że ktoś wtargnął do kryjówki i ją przeszukał. Z łatwością mogli cię wytropić aż do domu. Chciałabym zabrać dwie szable

– dodała Grimalkin. – Mogą mi się przydać.

– Bierz, co chcesz – rzekłem. Zastanawiałem się, po co jej one, ale ponieważ sama nie wyjaśniła, nie spytałem. Mimo naszego sojuszu wiedźma zabójczyni nie dzieliła się ze mną wszystkim; wielu swych tajemnic nie ujawniała nikomu.

Wróciłem obejrzeć wykopany przez Jenny dół, a potem posłałem ją do domu, do biblioteki, by nie musiała uczestniczyć w ponurym pogrzebie.

Grimalkin pomogła mi zakopać to, co zostało z kobaloskich zabójców. Oprócz dwóch szabel resztę ich broni schowałem w komórce, w której trzymałem zapasowe laski.

Fakt, iż zabójcy wtargnęli do ogrodu, jeszcze upewnił mnie, że postępuję słusznie, wyruszając na północ z Grimalkin.

Groźba ze strony Kobalosów stawała się coraz bardziej realna.

ROZDZIAŁ 24 POCZĄTEK PODRÓŻY



Następnego dnia zaczęliśmy szykować się do wyprawy. Kupiliśmy zapasy, a Grimalkin zniosła do zachodniego ogrodu namiot i rozbiła go, by nam pokazać, gdzie zamieszkamy razem w czasie drogi. Nie przypominał on zwykłych płóciennych namiotów, używanych przez wojsko z Hrabstwa. Był wysoki i stożkowy – warstwę skór podtrzymywało pięć długich tyczek, które zginały się i łączyły u góry. Każdą tworzyły trzy krótsze fragmenty, które można było połączyć – dzięki temu łatwiej się je przenosiło.

Jeden szczegół zwrócił moją uwagę. Do skór przyszyto okrągłe kawałki tkaniny z wyglądu przypominającej jedwab, na każdym widniała czerwona róża z Hrabstwa. Namiot był bardzo wygodny, doskonale nadawał się do naszych celów, a dzięki różom wyglądał wręcz wytwornie.

Grimalkin wyjaśniła, że będzie nam potrzebny na dalekiej północy, tam bowiem trudno ogrzać się nocą, nie wspomniała jednak o różach. Zastanawiałem się, skąd go wzięła.

Kupiłem baranie kozuchy dla siebie i Jenny; mieliśmy je założyć pod płaszcze. W

Hrabstwie zrobiło się tymczasem tak zimno, że chętnie je przywdzialiśmy. Tego roku szybko nadejdą mrozy.

Pod koniec tygodnia byliśmy gotowi. Grimalkin miała już konia i kupiła trzy kolejne – po jednym dla mnie i dla Jenny, i jednego, który miał dźwigać większość bagaży. Tuż przed wyjazdem zostawiłem liścik dla Judda Brinscalla, informujący go o zabójcach oraz ich losie i uprzedzający, że do ogrodu mogą próbować wtargnąć kolejni intruzi.

Wyruszyliśmy na wschód; pod koniec pierwszego dnia przejechaliśmy gęsiego przez wioskę otoczoną z obu stron wysokimi wzgórzami. Grimalkin cwałowała na przedzie, ja zamykałem grupę. Słońce już zaszło, nadciągała noc. Miałem już dosyć. W siodle nie czułem się swobodnie i perspektywa tygodni jazdy zupełnie mnie nie zachwycała.

Przed nami ujrzałem niewielkie jezioro. Czarownica dała znak, że powinniśmy rozbić obóz na brzegu. Mnie i Jenny poleciła zająć się rozbijaniem namiotu, sama rozpałała ognisko i złapała kilka ryb na kolację. Mieliśmy pewne problemy – rozłożenie tyczek wymagało wprawy, ale wiedzieliśmy, że bez wątpienia szybko się nauczymy.

Po posiłku jakiś czas siedzieliśmy przy ognisku.

– Jak tam pierwszy dzień jazdy? – spytała Grimalkin.

– Niezbyt to wygodne – odparłem.

– Boli mnie pupa, a wewnętrzną część ud otarłam niemal do krwi – poskarżyła się Jenny. – Ale zapewne wkrótce przywyknę.

– O tak, przywykniesz – zgodziła się wiedźma zabójczyni. – Dziś jechaliśmy powoli, abyście mogli oswoić się z końmi. Jutro nieco przyspieszymy. Po dotarciu do wybrzeża i przeprawie przez Morze Północne ruszymy z pełną szybkością. Czeka nas długa droga.

Wkrótce potem położyliśmy się spać. Ziemia była twarda, ale namiot okazał się zaskakująco ciepły, więc, opatulony w koc, po paru minutach zasnąłem.

W końcu dotarliśmy do Scarborough, niewielkiego portu, nad którym górował wyniosły zamek; tam zapłaciliśmy za przeprawę i wsiedliśmy na duży trójmasztowiec.

Konie zostawiliśmy na przechowanie w stajni; wystarczyło jedno mordercze spojrzenie Grimalkin, by właściciel o połowę obniżył wyśrubowaną opłatę. Bagaże upchnęliśmy w ładowni; po dotarciu na brzeg zamierzaliśmy kupić bądź wynająć nowe wierzchowce. Grimalkin podróżowała tak już wiele razy i wiedziała, co i jak.

I tak odbiliśmy powoli od brzegu, porzucając nasz kraj i wypływając na rozległe, spokojne wody. Uprzedzono mnie, że zwykle przeprawa bywa dość burzliwa.

– Co cię gryzie? – spytała Grimalkin, przyglądając mi się uważnie. Stała obok, wsparta o reling na sterburcie, i wbijała wzrok w gładką taflę. Brak wiatru oznaczał, że statek poruszał się w ślimaczym tempie. – Wyglądasz na zamyślnego.

Wiedźma zabójczyni miała na sobie grubą szatę z kapturem i rękawice. Gdyby powiał wiatr, wzbijając w powietrze pianę, z pewnością schowałaby się do kajuty pod pokładem; nawet Grimalkin szkodziła sól, choć była na nią znacznie odporniejsza niż inne członkinie klanów z Pendle.

– Przekonałaś mnie o konieczności tej wyprawy – oznajmiłem. – Ale nie lubię na zbyt długo opuszczać Hrabstwa. Czuję, że w ten sposób zawodzę ludzi, że nie wypełniam obowiązków tak, jak wymagałby tego John Gregory.

– Podróżując ze mną, bardziej pomagasz Hrabstwu, niż przypuszczasz. Razem możemy zdobyć takie informacje na temat naszych wrogów, które umożliwią nam przetrwanie. Wkrótce Kobalosi przypuszczą atak na północne królestwa i jeśli te padną, otworzą im drogę na południe, na wybrzeże. Nasz kraj leży tuż za morzem. Nadciąga nowy Mrok, jeszcze gorszy niż zagrożenie ze strony Złego. Kobalosi zamierzają zniszczyć i zniewolić ludzkość, i lepiej w to uwierz.

– Ale czy naprawdę wrócimy do Hrabstwa za parę miesięcy? Dotrzymasz obietnicy?

– Dołożę wszelkich starań, by dostarczyć cię do domu przed tym terminem. Teraz popłyniemy do królestw, graniczących z ziemiami Kobalosów. Kiedy zejdziemy na ląd, skierujemy się w regiony północne, przez cały rok skute lodem i pokryte śniegiem. Mamy zaledwie wrzesień, ale za parę miesięcy nastanie szczyt zimy i mróz ogarnie południe. Nim tak się stanie, musimy wrócić do domu. Nie sądzę, byśmy musieli zapuszczać się zbyt daleko, i tak zdobędziemy to, czego potrzebujemy. W razie konieczności rozpoczniemy wyścig ze śniegami.

Pogoda zmieniała się szybko, wkrótce zaczął nas smagać zimny wiatr z północy. Morze się wzburzyło, fale wyrastały coraz wyżej i wyżej. Pierwsza pochorowała się Jenny; niecałą godzinę po niej ja także zwróciłem śniadanie. Nie miałem pojęcia, czy Grimalkin odczuwa skutki wzburzonego morza – na długo przed tym, nim oczy zapiekły mnie od pierwszej słonej piany, czarownica wycofała się pod pokład.

Na końcu naszej przeprawy leżał port, Amstelredamme. Tu Grimalkin wynajęła rybaka, by zabrał nas dalej w górę rzeki, do miasteczka, w którym właściciel dużej stajni powitał czarownicę niskim ukłonem, zwracając się do niej „psze pani”. Najwyraźniej dobrze znał Grimalkin i już wcześniej dobijali targu. Dostarczył nam cztery wspaniałe wierzchowce, a Grimalkin zapłaciła: zupełnie jakby dysponowała niekończącym się zapasem monet – w większości złotych. Nazywała to swoim „skarbcem wojennym”.

Część zapasów pomieściliśmy w jukach uczepionych do boków trzech wierzchowców, czwarty koń posłużył do dźwigania bagażu. Załadowaliśmy na niego namiot i większość sprzętu i prowiantu.

Gdy ruszyliśmy w drogę, Jenny poklepała swego konia po łbie, szepcząc mu coś do ucha. To był piękny okaz, spokojny i łagodny. Mimo wcześniejszych wątpliwości i niewygód, Jenny wyraźnie zachwycała jazda na nim. Grimalkin jednak zauważyła to i ostrzegawczo pokręciła głową.

– Nie przywiązuj się zanadto do tej klaczy, dziecko. To pierwsza z kilku, których przyjdzie ci dosiadać. Musimy utrzymywać szybkie tempo i co kilka dni będziemy zmieniać konie na wypoczęte.

Mniejsza o konie – zastanawiałem się, jak my zniesiemy tak szybkie tempo.

Przebywaliśmy teraz w obcym kraju, który jednakże przypominał pewne regiony Hrabstwa. Znajdowaliśmy się na płaskiej równinie pod olbrzymim niebem; grupy ludzi z zacięciem wycinały torf i układały w sterty na wozach. Wiedziałem jednak, że czeka nas

jeszcze długa podróż i bez wątpienia krajobraz wkrótce się zmieni.

Grimalkin nie żartowała. Co dzień pędziliśmy naprzód, od świtu do zmierzchu, przystając tylko, by chwilę odpocząć, napić i nakarmić konie. Południowy posiłek zjadaliśmy w siodle, jedyny gorący – po zmroku. Po dwóch dniach w kolejnym małym miasteczku zmieniliśmy wierzchowce.

Chwilowo sypialiśmy opatuleni kocami, nie rozbijając namiotu, bo zmierzaliśmy na północny wschód i z początku pogoda dopisywała – było cieplej i bardziej sucho niż w Hrabstwie. Z południa wiał nam w plecy wietrzyk, a końskie kopyta wzbijały w powietrze chmury pyłu tak gęste, że musieliśmy okręcić szalikami nosy i usta.

Ale po pierwszym tygodniu wiatr się zmienił: teraz dmuchał prosto z północy, przez co noce stały się chłodniejsze; o świcie trawę zazwyczaj pokrywała biała warstewka szronu. Zaczęliśmy znów korzystać z namiotu i jego cowieczorne rozbijanie oraz poranne składanie stało się częścią rutyny; robiliśmy to odruchowo.

Równina, przez którą podróżowaliśmy, okazała się rozległa i rzadko zaludniona. Najczęściej omijaliśmy nieliczne miasta i zmienialiśmy konie w osadach albo gospodach, których właścicieli Grimalkin najwyraźniej znała. Ewidentnie jeździła tędy więcej niż raz.

Pewnej nocy, w drugim tygodniu podróży lądowej, siedzieliśmy przy ognisku, słuchając dobiegającego z dali wycia wilków, kiedy Grimalkin zaczęła opowiadać nam nieco więcej o celu tej wyprawy.

– Jak dotąd zostawiliśmy za sobą trzy kraje; nacje, które podburzone mogą zapewnić nam choć tymczasowy bufor między nami i Kobalosami. Jutro jednak dotrzemy do państewka graniczącego bezpośrednio z ziemiemi wroga; kiedy wybuchnie wojna, oni pierwsi upadną. Tam spotkamy naszego pierwszego Kobalosa.

– Tylko jednego? – zdziwiłem się.

Grimalkin przytaknęła, oczy błyszczały jej niczym gwiazdy, lśniące nam nad głowami.

– U Kobalosów występuje wiele różnych porządków magów i niemal tyle samo bractw zabójców. Jak wspominałam w Chipenden, najgroźniejsze z nich to Shaiksa. Nicholas Browne wspomina o nich w swoim glosariuszu. Trochę ponad rok temu jeden z tego bractwa przybył na granicę księstwa Polyznia i rzucił wyzwanie wojownikom ludzi, by stanęli z nim do pojedynku – przynajmniej ci, którzy się odważą, bo szybko zademonstrował swe umiejętności, w ciągu paru chwil rozprawiając się z kolejnymi przeciwnikami. Nazywa się Kauspetnd. Podejrzewam, że to ich najgroźniejszy członek.

Zachowanie zabójcy wydało mi się nieco dziwne, ale nim zdążyłem cokolwiek skomentować, ubiegła mnie Jenny.

– Ale po co to wszystko? Co właściwie chce osiągnąć zabójca, prócz śmierci przeciwników?

– Dobre pytanie, dziecko – odparła Grimalkin. – Musimy jednak pamiętać, że mamy do czynienia z zupełnie obcymi umysłami. Shaiksa żyją po to, by walczyć i zabijać; uwielbiają demonstrować swoje niewiarygodne umiejętności. Lecz podejrzewam, że może tu chodzić o coś jeszcze. Wierzę, że haizdan, którego zabił twój nowy mistrz, był szpiegiem – ale także czymś więcej. Nie tylko gromadził informacje, ale i sprawdzał nasze moce i słabe punkty przed nadchodzącą wojną. Shaiksa robi dokładnie to samo, tylko w inny sposób.

– Uważasz więc, że próbuje dowieść swojej wyższości? – wtrąciłem.

– Tak, jestem tego pewna. Zamierza zastraszyć ludzkich przeciwników i przekonać ich o wyższości bojowej Kobalosów. Rzucając wyzwanie i z łatwością pokonując tak wielu

ludzi, zademonstrował, jaki jest groźny, a tym samym wypełnił serce ludzkich wojowników grozą, niszcząc ich morale. Bycie pierwszym przyczółkiem kobaloskiej armii to ogromny zaszczyt.

– I udało mu się? – spytałem. – A co z tymi, którzy oglądają klęskę swych wojowników?

– Przedstawiciele władców północnych księstw, czasami nawet sami książęta, zgromadzili się na południowym brzegu rzeki, wyznaczającej granicę kobaloskich ziem. Samotny zabójca Shaiksa obozuje po drugiej stronie. Co dzień rzuca wyzwanie. Jeśli nikt nie odpowie, powraca następnego dnia, żeby drwić i szydzić z ludzi.

– I żaden z władców nie walczył o swój honor? – zdziwiła się Jenny.

– Z początku na wyzwania odpowiadali miejscowi watażkowie – ludzie stojący niewiele wyżej od przywódców bandytów, którzy przysięgli wierność swym patronom, a w zamian mogli swobodnie zamieszkać w fortach przy głównych traktach bądź przeprawach rzecznych i pobierać myto od podróżnych. Teraz większość książąt wyznacza doświadczonych rycerzy, by walczyli w ich imieniu. Co tydzień zabójca stawia czoło podobnemu wojownikowi – stawia czoło, walczy i błyskawicznie go zabija – odparła Grimalkin. – Kiedy w końcu jeden z książąt zebrał się na odwagę i osobiście stanął naprzeciw Kauspetnda, wytrzymał niecałą minutę.

– Jadąc tam, masz nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej na temat Shaiksy? – spytałem.

– Czy planujesz coś jeszcze, o czym mi nie wspomniałaś?

Grimalkin uśmiechnęła się, demonstrując ostre zęby.

– Wszystkiego dowiesz się w stosownym czasie.

– Wolalbym wiedzieć teraz – nalegałem, patrząc jej w oczy.

– Chcę się przyjrzeć umiejętnościom Kauspetnda. Dowiemy się o nim jak najwięcej i dobrze wykorzystamy tę wiedzę. Zbliży się czas, gdy będzie musiał zginąć.

Gdzieś w dali zawył wilk; zadrzałem. Wyczuwałem nadchodzące niebezpieczeństwo.

Następnego dnia, tuż przed południem, Grimalkin pojechała samotnie naprzód, zbadać drogę. Wyjaśniła, że woli sprawdzić, czy sytuacja na brzegu rzeki nie uległa zmianie.

Nie było jej jakieś dwie godziny, to dało mi sposobność rozmowy z Jenny i udzielenia jej krótkiej lekcji. Wymieniałem właśnie najróżniejsze odmiany boginów i kolejne rutynowe kroki, jakie podejmujemy w starciu z nimi. Dobrze pamiętałem, jak słuchałem o tym samym od mego mistrza; wciąż miałem przed oczami jego twarz i z trudem się koncentrowałem. Mówiąc, słyszałem w głowie głos Johna Gregory'ego.

– Istnieją cztery główne etapy rozprawiania się z boginami – wyjaśniłem. – I by je zapamiętać, posługujemy się skrótem NeZUZa. To negocjacje, zastraszenie, uwięzienie i zabicie, w tej kolejności, choć po to ostatnie sięgamy tylko, gdy inne zawiodą. Czasami bogin daje się przekonać i opuszcza nawiedzone przez siebie miejsce.

Patrzyłem, jak Jenny zapisuje moje słowa w notatniku. Nagle jednak przestała pisać i uniosła wzrok.

– Ufasz Grimalkin? – spytała.

Przytaknąłem.

– Powinniśmy zawsze pamiętać, że to wiedźma zabójczyni i ma własne plany. Ale w przeszłości okazała się dobrą sojuszniczką i łączy nas wspólna sprawa: kobaloskie

zagrożenie. Zatem tak, ufam jej.

– Może i łączy nas wspólna sprawa, ale kiedy w grę wchodzi Kobalosi, sprawia wrażenie fanatyczki. Widziałeś wyraz jej oczu, gdy o nich mówi?

Pokiwałem głową, podsycając ogień świeżym drewnem, żeby przegnać chłód.

– Grimalkin zetknęła się już z nimi, spędziła nawet trochę czasu w ich mieście, Valkarky. Na własne oczy widziała, jak zniewalają kobiety. Czarownica taka jak ona, potężna i dumna, czuje się zobowiązana pomóc cierpiącym. Może to i nie wiemy, ale traktuje je jak uciskane siostry. Przysięgła, że je uwolni i obali Kobalosów.

– Dobrze to rozumiem – rzekła Jenny – i wcale jej się nie dziwię: gdybym dysponowała jej mocą, też bym spróbowała. Ale nie podoba mi się błysk fanatyzmu w jej oku. Tacy ludzie są zdolni do wszystkiego, byle tylko osiągnąć swój cel. Wykorzystują innych. W razie potrzeby nawet ich poświęcają.

Nie odpowiedziałem. Miałem już pewne doświadczenie w tej materii. Moja własna mama, choć mnie kochała, była gotowa wykorzystać mnie w każdy możliwy sposób, byle tylko zniszczyć Złego. Teraz z trudem wspominałem to, co się wówczas działo. Żądała ode mnie różnych rzeczy, między innymi złożenia w ofierze Alice. Wówczas dręczyło mnie to, lecz kiedy teraz wspominałem przeszłość, byłem wstrząśnięty tym, czego się domagała – a jeszcze bardziej nienawidziłem samego siebie za to, że w ogóle dopuszczałem taką możliwość. Rozumiałem zatem dokładnie, przed czym ostrzega mnie Jenny.

Uczennica przyglądała mi się uważnie; musiała odczytać wyraz mojej twarzy i zorientować się, że jej słowa mnie dręczą. Szybko zmieniła temat.

– Czy nie byłoby lepiej, żebyś nauczył mnie czegoś o czarownicach, a nie o boginach? Przecież podróżujemy z jedną z nich. Wiedza o klanach z Hrabstwa mogłaby mi się przydać.

Jenny już wcześniej poruszała ten temat i przez moment ogarnęła mnie złość.

– Mój mistrz zawsze uczył o boginach podczas pierwszego roku terminu, a o czarownicach w drugim – wyjaśniłem. – Chyba po prostu powtarzam to po nim. Pamiętam, że myślałem wówczas tak samo jak ty.

O tak, pamiętałem aż za dobrze: w ciągu pierwszych tygodni terminu miałem do czynienia z dwiema potężnymi czarownicami z Pendle – Kościstą Lizzie i Mateczką Malkin. Jakże wówczas żałowałem, że uczyłem się o boginach, nie o wiedźmach!

Nagle postanowiłem zerwać z przeszłością. Musiałem odnaleźć własną drogę.

– No dobrze, zrobimy inaczej. Boginy mogą poczekać do przyszłego roku. Jutro zacznę cię uczyć o czarownicach.

Twarcz Jenny rozjaśnił uśmiech, potem jednak zmarszczyła czoło.

– Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć – oznajmiła.

– Nie bój się mówić otwarcie. Ja ukrywałem przed Johnem Gregorym różne rzeczy. Teraz żałuję, że nie byłem bardziej szczery.

– To się zdarzyło więcej niż raz i za każdym razem wyglądało niemal dokładnie tak samo. Kiedy siedziałam samotnie na ławce w zachodnim ogrodzie i robiłam notatki – nigdy podczas naszych lekcji – czułam, że ktoś mi się przygląda. Unosiłam wzrok i odkrywałam, że w cieniu drzew stoi wpatrzona we mnie dziewczyna. Zawsze krzywiła się gniewnie.

– Jak wyglądała? – Serce zabiło mi szybciej.

– Była mniej więcej mojego wzrostu, smukła, o ciemnych włosach, ładna, ale kiedy

spoglądałam wprost na nią, natychmiast zniknęła. Za pierwszym razem myślałam, że ją sobie wyobraziłam, ale później zrozumiałam, że naprawdę tam jest. Czy to czarownica? Czy ukrywała się za pomocą swej magii? I jak w ogóle weszła do ogrodu? Sądziłam, że bogin go pilnuje.

- Alice! – wykrzyknąłem, nim zdołałem się powstrzymać.
- Kto to jest Alice? I dlaczego jest na mnie taka zła?

ROZDZIAŁ 25 ZABÓJCA SHAIKSA



Westchnąłem i postanowiłem powiedzieć prawdę – a przynajmniej tyle, ile Jenny musiała wiedzieć.

– Alice przez jakiś czas mieszkała z Johnem Gregorym i ze mną w Chipenden. Wspólnie walczyliśmy z Mrokiem, jednak wcześniej, przez dwa lata, jej matka, Koścista Lizzie – teraz już nie żyje, ale była potężną czarownicą z Pendle, specjalizującą się w kościanej magii – uczyła ją na wiedźmę.

– Koścista Lizzie przejeżdżała raz przez Grimsargh – oznajmiła Jenny. – Działo się to na długo przed moimi narodzinami, lecz ludzie wciąż o tym gadają. Pozamykali wtedy drzwi, zaciągnęli zasłony i nie odpowiadali na pukanie. Nic im to jednak nie dało. Zniknęło wówczas dziecko, nigdy go nie odnaleziono. A w miejscowym stawie pływały trupy pięciu martwych kotów, każdy miał skręcony kark. W tym samym roku wyschły zbiory. Wszystkie.

– Owszem, to podobne do Lizzie. Tak czy inaczej, mój mistrz nigdy nie ufał Alice. Wówczas złościło mnie to, bo uważałem ją za przyjaciółkę. W końcu okazało się, że miała rację. Alice przeszła na stronę Mroku. Teraz dzieli życie z mrocznym magiem, Lukrastą.

– Czy byliście ze sobą blisko? Naprawdę blisko?

– Wiele razem przeszliśmy. Parokroć uratowała mi życie. Owszem, byliśmy blisko – przyznałem.

Jenny przytaknęła, jakiś czas patrzyła w dal. Potem się otrząsnęła.

– Jak zdołała uniknąć bogina i wtargnąć do ogrodu, żeby mnie śledzić?

– Alice dysponuje potężną mroczną magią. Bogin jest za słaby, by ją zatrzymać.

– Ale czemu na mnie patrzyła? I dlaczego tak się krzywiła? Co ja jej zrobiłam?

Wzruszyłem ramionami.

– Kto wie, co się dzieje w głowie kogoś, kto służy Mrokowi? Nieważne jednak, jak wielki czuła gniew, wątpię, by skrzywdziła moją uczennicę. Nie przypuszczam, aby mogła się zwrócić przeciw któremuś z nas.

– Może stroiła miny, bo jest zazdrosna...?

– Zazdrosna?! – wykrzyknąłem.

– Może być zazdrosna o to, że mieszkam teraz z tobą. W pewnym sensie zajęłam przecież jej miejsce, prawda?

– Może i tak – odparłem z powątpiewaniem.

Czy Alice naprawdę mogła zazdrościć Jenny? Czy tęskniła za czasami, kiedy mieszkaliśmy razem?

Ze złością przegnałem te myśli. Mój umysł wciąż rozpaczliwie chwycił się wszelkich skrawków nadziei, rozbudowując je w niemożliwe konstrukcje. Lepiej, żebym zapomniał o Alice.

– Posłuchaj – uśmiechnąłem się do Jenny. – Nauczę cię wszystkiego o czarownicach, ale możemy razem zająć się czymś jeszcze: Kobalosami.

Wyciągnąłem z torby roboczy dokument Grimalkin i wręczyłem dziewczynie.

– Przeczytaj to uważnie – poleciłem. – Przekonasz się, że uzupełniłem nieco pewne hasła. Z czasem może i ty zechcesz to zrobić. Wspólnie rozbudujemy nasz zasób wiedzy na temat tych stworów.

Po godzinie Grimalkin wróciła i zeskoczyła z konia. Niecierpliwie ruszyła w naszą stronę.

– Właśnie padło wyzwanie i zostało przyjęte – oznajmiła. – Pojedynek odbędzie się godzinę przed zachodem słońca. – Pomaszerowała ku nam. – Jeśli od razu ruszymy w drogę, może zdążymy go zobaczyć.

Dosiedliśmy wierzchowców i podążyliśmy wzdłuż rzeki wijącej się w dolinie. Okolicę porastały ciemne sosny i świerki – nie dostrzegłem tu zbyt wielu drzew liściastych. Na otaczających rzekę wzgórzach jaśniały dziesiątki ognisk, z których wzbijały się w niebo spirale dymu. Potem zobaczyliśmy obozowisko na południowym brzegu. Zebrało się tam ze dwa tysiące ludzi – co najmniej pięć osobnych obozów, namiotów skupionych wokół sztandarów. Widzieliśmy też liczne kramy, a także płonące w równym rzędzie ogniska, kucharzy i większe namioty rozstawione na skraju obozu. Kupcy i rzemieślnicy dołączyli

do zgromadzonych, poszukując zarobku. Wiatr niósł ze sobą zapach pieczonej wieprzowiny; słyszałem brzęk stali, towarzyszący kuciu koni.

– To jest rzeka Shanna – oznajmiła Grimalkin. – Za nią na północnym wschodzie ciągnie się równina Eresteba, należąca do Kobalosów. Do niedawna na południowym brzegu prosperowało kilkanaście kobaloskich osad, ale wycofali się stąd kilka miesięcy temu. Wkrótce potem przybył Shaiksa Kauspetnd i rzucił wyzwanie. Nie mam pojęcia, czemu Kobalosi opuścili swoje osady, ale to wyzwanie ma w sobie coś z rytuału. Może musi być rzucone z drugiej strony rzeki dzielącej nasze plemiona? Tak wiele wciąż nie wiemy.

Gdy mówiła, dostrzegłem błysk w jej oczach – ślad fanatyzmu, o którym wspominała Jenny.

Grimalkin poprowadziła nas w dół zbocza, ku rzece płynącej ze wschodu na zachód. Gdy przejeżdżaliśmy między rzędami namiotów, wielu wojowników oglądało się za nami; na ich twarzach ujrzałem całą gamę uczuć – od ciekawości po wrogość. Czarownica powiodła nas w spokojne miejsce, z dala od innych namiotów, tam rozbiliśmy obóz. Podczas gdy ja z Jenny szybko rozłożyliśmy namiot, Grimalkin rozpałała ogień, a potem uczyniła coś zaskakującego. Wzięła trzy kawałki drewna przywiązane do juków (z początku sądziłem, że to część namiotu) i połączyła razem, tworząc długą tyczkę. Następnie przywiązała do jej końca kawałek materiału. Patrzyliśmy z Jenny ze zdumieniem, jak wiedźma wbija drugi koniec głęboko w ziemię.

Materiał na czubku natychmiast załopotał na wietrze. To była flaga – standardowa flaga Hrabstwa: czerwona róża na białym tle.

– Po co to? – spytałem Grimalkin. – Czemu chcesz zwrócić na nas uwagę?

– I tak ją zwracamy, choćby dlatego, że jesteśmy tu obcy. Panuje tu ścisły porządek dziobania i bez wątpienia ktoś wkrótce się zjawi, by nas o tym poinformować. Będziemy na samym dole hierarchii, póki nie pokażemy, że jest inaczej. Zostaw tu laskę, ale zawsze noś przy sobie miecz. Możliwe, że będziemy musieli się bronić.

W głowie szumiało mi od pytań, nim jednak zdążyłem cokolwiek rzec, usłyszałem ryk głosów, dobiegający z brzegu rzeki.

– Chodź. – Grimalkin gestem wskazała zbiorowisko. – Ledwie zdążyliśmy na czas. Dziewczyno, zajmij się końmi i pilnuj obozu – rozkazała wyniośle.

Jenny otworzyła już usta, by zaprotestować, wiedziałem, że tak samo jak ja jest ciekawa zabójcy Shaiksa. Ale tutaj rządziła czarownica i w chwilę później maszerowałem za nią wzdłuż rzeki, a Jenny została przy koniach.

Im dalej szliśmy, tym gęściejszy robił się tłum; Grimalkin musiała przepychać się między ludźmi, zbieraniną uzbrojoną w miecze, włócznie i łuki. Niektórzy nosili części metalowych zbroi, pordzewiałe i pogięte, albo kaftany z utwardzanej skóry. Lecz kiedy Grimalkin wciskała się między nich, reagowali identycznie: odwracali się z gniewem, w oczach mieli śmierć. A potem spoglądali w twarz wiedźmy zabójczyni. Grimalkin rozchyliła lekko usta – może sprawiał to widok jej zaostrzonych zębów, a może subtelna magia... Tak czy inaczej, spuszczaali wzrok i odwracali się, porzucając myśl o konfrontacji.

W końcu tłum zagęścił się tak bardzo, że nie mogliśmy już przepchnąć się dalej. Szczęśliwie jednak znaleźliśmy się właśnie na wysokim brzegu i mogliśmy patrzeć nad głowami tych, którzy stali między nami i rwącym nurtem. W tym miejscu rzeka była płytka, woda bulgotała wśród kamieni brodu, rwąc na zachód.

Wojownik ludzi czekał na tym brzegu. Miał gołą głowę, ale nosił lśniący, metalowy napierśnik i przepasał się szarfą z purpurowego i złotego jedwabiu. W dłoniach trzymał krótki miecz i małą, okrągłą tarczę.

– To rycerz książątka Shallotte – syknęła mi do ucha Grimalkin. – Lepszy przeciwnik niż ci, z którymi zwykle mierzył się Kauspetnd, choć obawiam się, że nie zmieni to raczej wyniku starcia.

– Wiele wiesz o tym, co się tu dzieje – zauważyłem.

Przytaknęła.

– Staram się wiedzieć jak najwięcej: nie tylko o Kobaloszach, ale też wrogich im, ludzkich królestwach.

Spojrzałem za rzekę i po raz pierwszy ujrzałem zabójcę, czekającego na drugim brzegu. Miał taką samą wydłużoną szczękę, jak haizdan z Chipenden. Było w niej coś wilczego i drapieżnego, zwłaszcza gdy otworzył usta, demonstrując ostre zęby. Nie nosił czapki, włosy zaplótł w trzy długie, czarne warkocze, ręce także miał odsłonięte i niewiarygodnie włochate; przypominało to zwierzęce futro.

W dłoniach dzierżył dwie zakrzywione klingi – tak zwane szable – podobne do tych, którymi w Hrabstwie walczył ze mną haizdan.

Obaj weszli do rzeki i zetknęli się pośrodku brodu; w tym miejscu woda sięgała im ledwie do kostek. Na moment przystanęli, przyglądając się sobie, jakby każdy oceniał przeciwnika.

A potem Kauspetnd wykrzyknął coś donośnie. Nie zrozumiałem ani słowa, lecz zabrzmiało to szyderczo. Zakończył wybuchem ochryplego śmiechu, demonstrując ostre, białe kły.

Jego przeciwnik odkrzyknął coś – i znów nie zrozumiałem, choć wyraźnie wyczuwałem gniew i wyzwanie. Nagle pojąłem, że obaj posługiwali się językiem losta, wspólnym dla Kobaloszów i krain północy.

A potem człowiek skoczył naprzód, z pluskiem brodząc w wodzie i zaatakował Kobalosa.

Zabójca odparował cios szablą i uchylił się z gracją, przyjmując kolejny atak. Ponownie odbił cięcie i zawirował. Przez moment patrzyli na siebie, a potem wojownik z Shallotte zaatakował po raz trzeci.

I jak się okazało, ostatni.

Tym razem, zamiast czekać w tej samej pozycji obronnej, Kauspetnd rzucił się naprzód na spotkanie ludzkiego przeciwnika. Błysnęła szabla, trysnęła krew, człowiek krzyknął i odpowiedział mu jęk zebranych na brzegu. Runął twarzą w wodę. Nurt szybko zabarwił się czerwienią, porywając jego krew.

Rozdział 26

Znak

ROZDZIAŁ 26 ZNAK



Na razie dość już widziałam – oznajmiła Grimal kin. – Ale następnym razem chciałabym stać nieco bliżej.

Podczas gdy służba wylawiała trupa rycerza, czarownica poprowadziła mnie do naszego obozu. Wcześniej niebo przesłaniała ciężka, szara chmura, teraz zaczęła się rozpadać na postrzępione kawałki, płonące pomarańczowym blaskiem w promieniach zachodzącego słońca.

Jenny oderwała się od ogniska i spojrzała na mnie pytająco, lecz to Grimalkin przemówiła pierwsza.

– Teraz połóżcie się i trochę prześpijcie, bo musimy wstać o północy – oznajmiła, patrząc wprost na mnie; najwyraźniej oczekiwała, że bez zbędnych pytań wypełnię polecenie.

Zirytowała mnie. Owszem, znalazłem się w obcym kraju wśród obcych ludzi i musiałem polegać na jej wiedzy. Ale czasami wymagała bezwzględnego posłuszeństwa, ukrywając

informacje, póki nie uznała za stosowne ich ujawnić.

– Nie zjemy najpierw kolacji? – spytała Jenny.

Doskonale ją rozumiałem: też byłem głodny i nie mogłem się doczekać posiłku.

Grimalkin nie odpowiedziała, toteż odezwałem się pierwszy:

– Dlaczego mamy iść spać? Co stanie się o północy?

– Jest coś, co powinniście zobaczyć. To ważne. Potem możemy zjeść i porozmawiać. – Z

uśmiechem odwróciła się do dziewczyny. – Kolacja będzie, ale nieco później.

Grimalkin nigdy nie robiła niczego bez ważnego powodu, przełknąłem zatem dumę i pierwszy wczółgałem się do namiotu. Gdy tylko owinąłem się kocem, zasnąłem.

Kiedy znów uniosłem powieki, wysunąłem głowę na dwór i spojrzawszy w rozgwieżdżone niebo oceniłem, że dochodzi północ.

Grimalkin czekała już na zewnątrz, Jenny stała obok niej.

Czarownica bez wstępów wskazała na południe i ruszyła szybkim krokiem, oddalając się od rzeki. Obejrzałem się na las namiotów na brzegu i dostrzegłem mnóstwo ruchomych świateł. To były pochodnie; inni też szli w tę samą stronę.

– Czy możemy bezpiecznie zostawić dobytek bez nadzoru? – spytałem.

– Rzuciłam na obóz zakłęcie ochronne. – Grimalkin zerknęła na mnie.

Jenny przysunęła się bliżej.

– Miejmy nadzieję, że złodzieje nie podkopią się pod nim – wyszeptała.

Przecinaliśmy właśnie płaską łąkę, ale wprost przed nami widziałem wzgórze, ciemny zarys na tle gwiazd. Niezbyt wysokie, wyrastało z otaczającej je równiny, z kształtu przypominało stożek, tyle że spłaszczony na czubku.

Kiedy się zbliżyliśmy, otoczyli nas inni ludzie i staliśmy się częścią milczącej procesji. W końcu nie byliśmy w stanie przejść ani kroku dalej; mogliśmy tylko patrzeć.

Mocny blask gwiazd oświetlał zbocze przed nami. Przekonałem się, że choć milczący tłum utworzył u stóp wzgórza półkrąg, nikt nie wybierał się wyżej.

Czekaliśmy w ciszy jakieś pięć minut; wiedziałem, że północ jest bardzo bliska. A potem trzy sylwetki zaczęły wspinać się na wzgórze. Kiedy dotarły na szczyt, odwróciły się ku nam. To byli chudzi, brodaci mężczyźni, spoglądali przed siebie, wysoko unosząc głowy, jakby patrzyli nie na nas, lecz gdzieś w przestrzeń. Nosili rękawiczki i identyczne szaty o kołnierzach z białego zwierzęcego futra.

Stojący pośrodku wykrzyknął coś głośno. Zabrzmiało jak rozkaz.

– Kazał wszystkim uklęknąć i modlić się – wyjaśniła Grimalkin.

Otaczający nas ludzie zaczęli klękać, czarownica poszła w ich ślady.

Zdumiałem się, widząc ją na kolanach. Jeśli jednak ona była gotowa uklęknąć, to ja także; Jenny poszła za moim przykładem. Patrzyłem na wzgórze, gdzie trzy postaci wyciągnęły ręce ku niebu.

– Czy to są kapłani? – wyszeptałem Grimalkin do ucha.

– Tak, ale nie żadnego zwykłego kościoła. To święci mężowie, nazywani magovia; magowie tej krainy twierdzący, że widzą prawdziwą rzeczywistość poza światem. To, co my widzimy – niebo, trawa, wzgórze, kamienie – dla nich jest tylko złudzeniem. Noszą rękawiczki, bo nikt prócz księcia bądź króla nie może dotknąć ich gołych rąk. A teraz spójrz w niebo, wprost nad nimi. Co widzisz?

Uniosłem wzrok. Przez chwilę niczego nie dostrzegałem, potem jednak zauważyłem punkcik światła – bardzo jasny... i spadający ku nam.

Z każdą chwilą robił się większy i jaśniejszy. Z początku wyglądał jak ptak – może gołąb, coś pierzastego i białego. Potem z ust otaczających nas ludzi wyrwał się okrzyk zachwytu. Nie rozumiałem, skąd ta reakcja. Dlaczego wszyscy tak się podniecili?

Większość ptaków, oprócz trupiarzy, sów i paru innych, nocami śpi w gniazdach. Ale kto wie, jak wyglądało to w północnym klimacie? Sądząc jednak po reakcji tłumu, działo się coś dziwnego i cudownego: coś, dla czego warto było zwlec się o północy z łóżka.

I wtedy po plecach przebiegł mi dreszcz. Bo przekonałem się, że to nie jest ptak.

Latająca istota miała kształt człowieka.

– Wygląda jak anioł! – wykrzyknęła Jenny.

Istota obniżała się coraz bardziej, aż w końcu zawisała najwyżej pięćdziesiąt stóp nad głowami trzech mistyków. Cała prócz głowy porośnięta białymi piórami, miała dwa skrzydła. Twarz, dziewczęca i piękna, jarzyła się srebrzystym blaskiem. Ręce i nogi miała cienkie, a olbrzymie skrzydła nieproporcjonalnie duże w stosunku do reszty ciała. Musiałem zgodzić się z Jenny: faktycznie wyglądała jak anioł. Zdumiewający widok – nie miałem pojęcia, jak go rozumieć.

Z tajemniczej, skrzydlatej istoty wytrysnęły trzy promienie światła, każdy z nich oświetlający jedną z trzech postaci w dole. Magovia wykrzyknęły chórem; nie wiem dlaczego, lecz ich twarze wykrzywił grymas, jakby bólu. Jednocześnie padli na kolana i istota natychmiast zniknęła.

Tłum odpowiedział jękami, które szybko zamieniły się w gwar podnieconych głosów. Starannie przeczesałem wzrokiem niebo, ale nie dostrzegłem ani śladu ruchu na tle gwiazd. Co to za istota, która mogła ot tak zniknąć? Działała tu potężna magia – ale kto nią władał?

Środkowy magovia podniósł się chwiejnie, jego towarzysze wciąż klęczeli. Uniósł rękę, nakazując ciszę, a potem zaczął mówić.

Odwróciłem się do Grimalkin, która zaczęła cicho tłumaczyć. Rosły wojownik odwrócił się ku nam, ona jednak obdarzyła go morderczym spojrzeniem i nie przerwała.

– Magovia mówi, że dziś zginął dzielny człek, wojownik Shallotte. Spełnił swój obowiązek, ale nie on był wybranym. Teraz przemówił anioł. Ten, który pokona Shaikse, jest już wśród nas! Wkrótce się zgłosi, chwila jest bliska. Wówczas zabije Kauspetnda i nim nastanie pełnia, poprowadzi nas przez rzekę ku zwycięstwu. Mag nakazuje nam wracać do łóżek i zbierać siły na nadchodzącą bitwę.

Trzej magovia zeszli ze wzgórza, łącząc się z tłumem. Wkrótce ludzie zaczęli popychać nas do tyłu i po chwili znaleźliśmy się w obozie.

– Skąd wiedziałaś, że to stanie się dziś? – spytała ostro Jenny, dokładając drew do ognia i nabijając na rożen dwa króliki.

Grimalkin wruszyła ramionami.

– To trwa od miesięcy. Co tydzień kolejny wojownik przegrywa i ginie. Widziałam to też podczas poprzedniej wizyty.

– Widywałem już latające lamie, ale co to było? – wtrąciłem.

– To był, jak słusznie zauważyła twoja uczennica, anioł. Nie słuchałeś mojego tłumaczenia? – Grimalkin uśmiechnęła się.

– Anioły to istoty z baśni – pokręciłem głową. Czyżby Grimalkin naprawdę wierzyła w to, co widziała? Jeśli tak, posunęła się za daleko. Nie mogłem się z tym pogodzić.

– Sfrunął z nieba, rzucał promienie światła, wypełnił trzech magovia świętą błogością, a

potem zniknął. Zapewne przemówił do tych mędrców w tajemniczy sposób – może przekazał im coś więcej niż wiadomość, którą nam powtórzyli. Według mnie tak wygląda i zachowuje się anioł – w głosie Grimalkin dźwięczała szyderna nuta.

Nagle poczułem się niemądrze. Czarownica kpiła ze mnie; sama nie wierzyła w anioły.

– Może to jakaś odmiana mrocznej magii? – podsunęła Jenny, obracając króliki na różnie, tak że ich soki ściekały z sykiem do ognia. Pachniały smakowicie i do ust napłynęła mi ślinka. – A może zwykłe złudzenie?

– Nieważne przecież, w co my wierzymy – rzekła Grimalkin. – Istotne jest to, iż wokół wzgórza zgromadzili się wyznawcy. Kiedy ktoś pokona Kauspetnda, uznają zwycięzcę za swego przywódcę i ruszą z nim za rzekę, aby zaatakować wrogów. I właśnie tego chcemy. To dlatego sprowadziłam cię tutaj, Tomie. Chcę, żebyś stanął do walki i zabił Shaikse.

ROZDZIAŁ 27 KSIĄŻĘ STANISŁAW



Ale jak? – spojrzałem na nią ze zdumieniem. – Nigdy jeszcze nie widziałem kogoś tak zręcznie władającego bronią – oprócz ciebie.

Grimalkin nie ustępowała.

– Wypatrzyłam już u niego dwa słabe punkty. Przyjrzę się i poszukam ich więcej. A potem wyszkolę cię tak, byś był pewien zwycięstwa.

– Czemu zatem ty go nie zabijesz? Mogłabyś użyć Gwiazdnej Klingi do ochrony przed magią.

– Musisz słuchać mnie uważnie – wyjaśniła Grimalkin z irytacją. – Gwiazdna Klinga działa wyłącznie na ciebie, odpiera tylko magię skierowaną przeciw tobie. Nie żebym potrzebowała podobnej ochrony w walce z zabójcą; Shaiksa szczytą się tym, że nie używają magii. Mogłabym zabić go własnymi klingami, ale jest to przeznaczone tobie. Tak czy inaczej, użyjesz Gwiazdnej Klingi, bo jest idealnie dopasowana do twojej ręki.

– Czemu nie chcesz go zabić?

– Moje zwycięstwo nic by nie dało, bo jestem kobietą i do tego czarownicą. Ci książątka i watażkowie z północnej granicy nigdy mnie nie posłuchają. Ale ty jesteś mężczyzną i wkrótce przedstawimy im twoje pochodzenie.

– Co to znaczy pochodzenie?

– Książątka nigdy nie zgodziliby się słuchać rozkazów człowieka niskiego rodu – tłumaczyła Grimalkin. – Będziemy zatem musieli trochę pofantazjować. Nie bój się: królestwa z pogranicza leżą daleko od naszej ojczyzny. Tutejsi ludzie nic nie wiedzą o Hrabstwie. Przyjmą twoje przywództwo, choć może niezbyt chętnie. Wówczas użyjemy ich armii, żeby zbadać obronę Kobalosów i przy okazji dowiemy się o nich więcej.

– Nie to mówiłaś mi przed wyjazdem na północ! – rzuciłem oskarżycielsko. – Mieliśmy dowiedzieć się więcej o nieprzyjacielu, nie organizować ofensywę wojskową.

– Nie ofensywę, najwyżej wypad. Później wyjaśnię ci moje zamiary.

– Wciąż uważam, że byłoby znacznie lepiej, gdybyś to ty stanęła do walki z Kauspetndem. Potrafisz przecież odmieniać własny wygląd.

Grimalkin pokręciła głową.

– Nie zmieniam się naprawdę, tak jak to czynią lamie. Tworzę jedynie ułudy swoją mroczną magią.

– Ale przecież nikt nie zdoła przeniknąć twojej ułudy. – Nim zdążyła odpowiedzieć, podjąłem: – Mógłbym się wymknąć, a ty przyjąłabyś moją postać i stanęła do walki z zabójcą.

– Nie, oboje musimy tam być. Kiedy pozbędziesz się Shaiksy, ktoś z tej zbieraniny z pewnością rzuci ci wyzwanie. W tej chwili patrzą na Shaiksę z podziwem i grozą, ale kiedy zginie, szybko wmówią sobie, że po prostu miałeś szczęście. Nie będziesz jednak musiał z nimi walczyć, bo wtedy ja wystąpię w twoim imieniu. Zasady na to pozwalają. Wówczas będą musieli walczyć ze mną. Zabiję tylu, ile trzeba, by uznali cię za wodza.

– Królik! – zawołała Jenny i zaczęła rozdawać mięso.

Z wdzięcznością odebrałem od niej porcję. Chwilowo nie miałem ochoty rozmyślać nad niebezpiecznym planem Grimalkin. Stojąca za czarownicą Jenny wywróciła oczami. Najwyraźniej jej też nie spodobały się zamiary naszej towarzyszki.

Kiedy najadłem się do syta, poczułem senność, oczy same mi się zamykały. Po godzinie zasnęliśmy twardo w namiocie.

Rano jednak przeżyłem brutalne przebudzenie.

Grimalkin potrząsała mną mocno za ramię, sycząc mi do ucha:

– Obudź się i przebierz w ten strój. Postaraj się wyglądać jak najlepiej – wcisnęła mi w ręce stos poskładanych ubrań. – Oczekaj pięć minut i wyjdź na dwór, wysoko unosząc głowę. Potem patrz naszym gościom prosto w oczy i naśladuj mnie. Jeśli ci się ukłonią, jedynie lekko skinij głową. Spisz się dobrze, a nikomu nic się nie stanie.

Gdy tylko wyszła, obejrzałem strój w blasku świecy. Górną część, zdobną tunikę uszyto z satyny, wyglądała na bardzo kosztowną; portki lepiej nadawały się do podróży, ale świetnie je skrojono. Do tego dostałem gruby, ciepły płaszcz z czerwoną klamrą w kształcie róży. Grimalkin musiała zamówić ten strój w Hrabstwie i ukryć w swoich bagażach.

Nie do końca się jeszcze obudziłem i ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, było przebieranie się w dziwaczne ubranie i udawanie kogoś, kim nie jestem. W dodatku

robiłem się zły.

Grimalkin od początku planowała, że stanę do walki z Kauspetndem; wszystko starannie zaaranżowała. Parła wprost do celu, a ja stanowiłem część jej planu. Wykorzystała mnie.

Ubrawszy się, naciągnąłem skarpetki i wsunąłem stopy w buty. Następnie potarłem zaspane oczy i ochlapałem twarz wodą. Jenny wciąż leżała pod kocem, pogrążona w głębokim śnie. Jakże jej zazdrościłem!

W końcu odetchnąłem i wyszedłem z namiotu.

Naprzeciw Grimalkin stało pięciu zbrojnych, czterech konnych, jeden zsiadł z siodła. Człek ów miał na sobie drogą, sięgającą kolan zbroję z kolczugą i metalowy napierśnik, w którym ujrzałem własne odbicie. Był bardzo wysoki, ciemne, gęste wąsy przesłaniały usta, czarne brwi, zrosnięte pośrodku, skojarzyły mi się z moim bratem, Jackiem.

Grimalkin zwróciła się do żołnierza, jak przypuszczałem, w miejscowym języku, loście, którym posługiwali się zarówno ludzie z północy, jak i Kobalosi. Po chwili odwróciła się, złożyła mi ukłon i zaczęła tłumaczyć.

– Powiedziała mu, że jesteś księciem Thomasem, najmłodszym synem króla Caster – uśmiechnęła się. – Uznałam, że to lepsze, niż przyznać, że twój ojciec to farmer.

Z najwyższym trudem powstrzymałem szczękę przed opadnięciem. Mężczyzna przez chwilę wwierał się we mnie wzrokiem, jakby chciał wybrać dla mnie właściwy rozmiar trumny, aż w końcu też się ukłonił. Pomny ostrzeżeń Grimalkin, w odpowiedzi jedynie skłoniłem lekko głowę.

Żołnierz przemówił bardzo szybko, kierując swe słowa wprost ku mnie. Nie rozumiałem niczego, ale umiałem odczytać jego reakcje z tonu głosu, błysku oczu i tego, jak marszczył krzaczaste brwi. Zaczął z wyniosłą arogancją, lecz w miarę rozmowy z Grimalkin wyczułem w jego głosie cień zdumienia.

– Mówi, że nazywa się Majchar i jest szambelanem księcia Stanisława z Polyzni. Wszyscy zebrani na południowym brzegu muszą najwyraźniej płacić za ten przywilej specjalny podatek. Dlatego właśnie zaszczycił nas swoją wizytą. Teraz jednak wie już, kim jesteś, i możemy zapomnieć o opłatach: członkowie rodzin królewskich i ich orszaki są zwolnieni. – Grimalkin zniżyła głos. – Mamy pierwszy problem: zaskoczyło go, że podróżujesz z tak skromną świtą. Chyba wątpi, czy naprawdę jesteś tym, za kogo się podajesz.

Otworzyłem usta, ale Grimalkin już zaczęła mówić, więc je zamknąłem. Miała wiele do powiedzenia.

Potem ponownie odwróciła się do mnie, tłumacząc pospiesznie:

– Wyjaśniłam mu, że jesteś siódmym i najmłodszym synem twego ojca, ulubieńcem, uwielbianym i trzymanym na krótkiej smyczy, żeby nic ci się nie stało. Wyjaśniłam, że miałeś tego dosyć, bo z natury uwielbiasz przygody, kiedy zatem usłyszałeś o wydarzeniach na brzegu rzeki Shanna, nocą wymknąłeś się, aby tu przybyć i rzucić wyzwanie zabójcy Shaiksa. Dodałam, że twój ojciec, król, zaniepokojony twoim wyjazdem, wysłał mnie wraz z jedną służącą, abyśmy cię doścignęły i chroniły. Za nami podąża twoja świta, lada dzień powinna się zjawić.

– Wiemy przecież, że do tego nie dojdzie – zauważyłem. – Co wtedy zrobimy?

– Później będziemy się tym martwić. Teraz spytam go o protokół, wymagany do rzucenia wyzwania.

Znów odwróciła się do szambelana i chwilę rozmawiali w łóście; tym razem trwało to dość długo. Wreszcie Grimalkin odwróciła się, streszczając dyskusję:

– Nadeszła moja kolej – mruknęła z błyskiem rozbawienia w oczach. – Zastanawia się, czemu ojciec wysłał za tobą kobietę. Potwierdziłam to, co chyba już podejrzewał: że jestem czarownicą. Każdy z tych książątek ma swego dworskiego maga, magovia, którego rady zasięga, toteż zasugerowałam, że w naszej części świata podobną rolę pełnią czarownice. Powiedziałam też, że nie tylko znam się na sztuce walki, ale też jestem wojowniczką twojego ojca: kto bardziej nadawałby się do ochrony ukochanego syna?

– A on ci uwierzył?

Grimalkin wzruszyła ramionami.

– Chyba nie do końca, ale to jego pana, księcia, którego poddani nazywają Wilkiem z Polizni, musimy przekonać. Szambelan już odjeżdża, by złożyć mu meldunek. Kiedy spotkamy się z księciem, pomogę nam trochę magią.

Wojownik pozdrowił mnie skinieniem głowy, wskoczył na konia i odgalopował.

– Jak dotąd idzie nieźle – rzekła Grimalkin z uśmiechem.

Pięciu mężczyzn wróciło pieszo przed południem. Po krótkiej rozmowie Grimalkin zaczęła tłumaczyć:

– Umówił nam audiencję u księcia Stanisława, ale musimy zostawić broń. Szambelan daje słowo honoru, że odeskortuje nas na miejsce i z powrotem, w razie konieczności chroniąc własnym życiem.

– Wierzysz mu?

– Myślę, że mówi prawdę. Zresztą i tak, by osiągnąć cel, musimy podjąć ryzyko. Nie możemy sobie pozwolić na odmowę.

Przytaknąłem i wręczyłem Jenny Gwiazdną Klingę. Grimalkin także się rozbroiła, wyciągając z pochew kolejne noże, a na końcu oddając także nożyczki. Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję dnia, gdy z własnej woli pozbawi się broni; wyraz twarzy Jenny świadczył o tym, że myśli podobnie.

– Zostań tu i pilnuj naszego dobytku, dziewczyno! – poleciła Grimalkin, gdy ruszyliśmy.

Z miny Jenny widziałem, że nie była zachwycona perspektywą zostania w obozie. W nocy opowiedziałem jej, co się działo; zaniepokoił ją plan Grimalkin i bardzo chciała nam towarzyszyć.

– Nie mogłabyś znów użyć zaklęcia? – spytałem.

Grimalkin pokręciła głową.

– Nie chcę budzić podejrzeń. Co więcej, dziewczyna ma być służką księcia; nie towarzyszyłaby ci w wizycie u innego władcy. Ja natomiast jestem wojowniczką.

Bez zaklęcia ochronnego ktoś musiał pilnować obozu, inaczej po powrocie moglibyśmy nie zastać już naszych zapasów, bagaży ani koni. Nie oczekiwałem, by Jenny walczyła z bandą rozbójników, ale jej obecność zniechęci zwykłych złodziei.

Szambelan maszerował na czele pochodu, za nim my w charakterze eskorty. Szliśmy przez obóz, mijając najróżniejsze namioty, aż w końcu dotarliśmy do wielkiego kręgu ognisk, strzeżonego przez uzbrojonych we włócznie strażników. Wewnątrz stał największy namiot, jaki zdarzyło mi się oglądać. Wielkością przewyższał połączone trzy domki z Hrabstwa. Nie przypominał zwykłego stożka pokrytego skórami zwierząt – konstrukcja miała kształt gigantycznego, zaokrąglonego sześcianu, obitego grubą, brązową tkaniną.

Czułem niepokój i lekki lęk. Nawet jeśli w jakiś sposób przekonamy księcia, by pozwolił mi stanąć do walki z Shaikszą, nie widziałem przed sobą niczego prócz klęski i śmierci. Nie podzielałem optymizmu Grimalkin. Jak mogłem liczyć na to, że w walce wręcz pokonam tak groźnego przeciwnika?

Szambelan skrzywił się, po czym wszedł do środka, zostawiając nas w otoczeniu straży. Chwilę później znów się pojawił, powiedział coś szybko do Grimalkin, a potem uniósł klapę namiotu, tak byśmy mogli wejść, nie schylając głów.

Na widok wnętrza sapnąłem ze zdumienia: zupełnie jakbym znalazł się w pałacu! Ściany pokrywały jedwabne gobeliny; ziemię zasłano tą samą brązową tkaniną, z jakiej uszyto namiot, ale pośrodku z drewna i kosztownych kobierców skonstruowano podwyższenie. Na nim stał wielki, lśniący tron, odlany ze stopu metali zawierającego srebro. Na tronie zasiadał książę Stanisław, rosły mężczyzna o krótko przystrzyżonych, siwiejących włosach, wielkim nosie i wąsko osadzonych oczach. Nie był już młody – na oko skończył pięćdziesiątkę.

Słyszając słowo „książę”, zawsze wyobrażałem sobie młodzieńca, który szykuje się, by zastąpić na tronie podstarzałego ojca. To jednak nie było królestwo, tylko księstwo, a księżę nim rządził.

Za tronem stał potężny, umięśniony wojownik. Ręce splótł na piersi, jego twarz miała surowy wyraz. Na napierśniku wygrawerowano herb księcia – wilka wyjącego do księżycy. Rycerza wyraźnie nie zachwycił nasz widok.

Pomyślałem, że Grimalkin zdecydowanie będzie potrzebować magii, żeby nagiąć księcia do swej woli.

Czarownica pokłoniła się nisko, a potem przemówiła do niego, wskazując mnie gestem. Ponieważ teoretycznie dorównywaliśmy sobie rangą, ukloniłem się niemal niedostrzegalnie – bardziej przypominało to skinienie głowy. Księżę wbił we mnie złowrogi wzrok, niczym drapieżca oceniający odległość, dzielącą go od ofiary. Potem uśmiechnął się wyniośle i znów powiedział coś do Grimalkin.

– Mówi, że najlepiej będzie, jeśli wrócisz do ojca – przetłumaczyła. – Chyba nie zaimponował mu twój młodzieńczy wygląd. Ma nowego wojownika i wierzy, że zdoła on zwyciężyć w starciu z Kauspetndem. To ten grubas stojący za tronem, ten, co jeszcze się nie uśmiechnął.

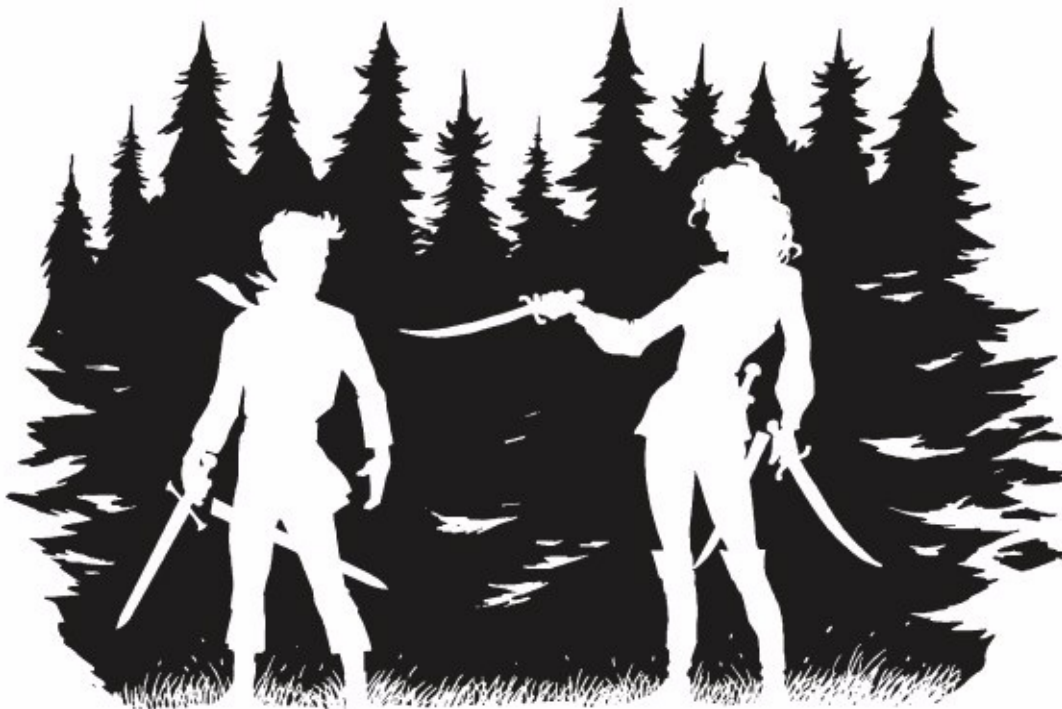
O mało nie westchnąłem z ulgi. Może uparty książę nie da sobą manipulować. To zniweczyłoby plany Grimalkin.

– Mimo proroctwa trzech magovia, książątka wciąż chcą wpływać na bieg wydarzeń – podjęła Grimalkin. – Jeśli jego czempion zwycięży, księżę Stanisław poprowadzi atak na Kobalosów i to jemu przypadnie chwała i prestiż. Ale powiem mu, że jesteś gotów stoczyć pojedynkę z wojownikiem o prawo walki z Shaikszą. Ani książę, ani rycerz raczej nie odmówią, istnieje już bowiem precedens. Miejscowi możnowładcy wciąż walczą o władzę. Jako twoja wojowniczką mogłabym go pokonać, ale lepiej, jeśli sam zademonstrujesz swoją odwagę i umiejętności.

Już miałem zaprotestować, lecz uciszyło mnie groźne spojrzenie wiedźmy zabójczyni. Potem jej twarz złagodniała. Uśmiechnęła się.

– Wszystko idzie świetnie! – oznajmiła.

ROZDZIAŁ 28 PRZECZUCIE ŚMIERCI



Nie miało sensu protestować. Patrzyłem nerwowo, jak Grimalkin w moim imieniu rzuca wyzwanie czempionowi księcia. Gdy przemawiała, stojący za tronem mężczyzna przygwaźdżał mnie gniewnym wzrokiem; widziałem występujące mu na szyi żyły. Pewnie poczuł się urażony, że wyzywa go taki młodzik.

Eskorta, złożona z Majchara i jego żołnierzy, odprowadziła nas do obozu. Żaden z nich nie zachowywał się zbyt przyjaźnie, a po odejściu szambelana dwóch żołnierzy zostało.

– Czego oni chcą? – spytałem Grimalkin. – Pilnują nas?

Pokręciła głową.

– Nie, mają strzec nas i naszego obozu.

Kiedy odtworzyłem w głowie ostatnie wydarzenia, jeszcze bardziej rozzłościłem się na wiedźmę.

– Teraz czekają mnie dwa pojedynki z potężnymi przeciwnikami. Nie widzę możliwości wygrania choćby jednego.

Klapięciem obok ogniska, wbijając wzrok w płomień.

– Co się stało? – Jenny obok ogrzewała dłonie.

Wzruszyłem ramionami bez słowa.

– Wiem, że nie jesteś zachwycony – nalegała. – Może o tym porozmawiamy? Kiedy się wygadasz, poczujesz się lepiej.

– Po prostu Grimalkin dwukrotnie zaaranżowała moją śmierć – wyjaśniłem. – Zanim stanę do starcia z kobaloskim zabójcą, będę musiał walczyć z wojownikiem księcia.

– Walkę wyznaczono za trzy dni, ale nie będziesz musiał do niej stawać. Gwarantuję ci to. – Grimalkin usiadła obok, krzyżując nogi.

– Skąd ta pewność? Postrzegłeś to?

Nie odpowiedziała wprost.

– Wszystko będzie dobrze. Skup się na Shaiksie: będziesz walczył tylko i wyłącznie z nim. Sprawy nie mogły potoczyć się lepiej. Ten książę Stanisław to zdecydowanie najpotężniejszy z przybyłych tu władców. Zdobędziemy jego szacunek, w końcu nim zawładniemy, a wówczas reszta nie ośmieli się protestować.

Okazało się, że Grimalkin miała rację. Niecałą dobę później dotarła do nas wieść, że wojownik księcia podczas treningu odniósł ranę i nie będzie zdolny do walki co najmniej przez miesiąc. Zezwolono mi zająć jego miejsce i stanąć naprzeciw Kauspetnda; miałem niecałe dwa tygodnie, by się przygotować.

– Czy postrzegłeś, że zostanie ranny? – spytałem, idąc z Grimalkin nad rzekę, by obejrzeć starcie Shaiksy z kolejnym pretendentem. Ponieważ obozu pilnowali ludzie księcia, tym razem Jenny mogła dołączyć do widzów i dreptała tuż za nami.

Grimalkin przytaknęła.

– Tak, to było niemal pewne, ale gdyby tak się nie stało, coś bym zaaranżowała – rzekła z uśmiechem.

Pojedynek nie trwał długo. Wojownik był młody i przerażony, jego koniec nadszedł po niecałej minucie. Zauważyłem, że kiedy padł na kolana, wrzeszcząc z bólu, Jenny zasłoniła oczy; nie chciała patrzeć, jak usiłował utrzymać w brzuchu wypadające do wody wątpia.

W sekundę później zapadła cisza. Shaiksa jednym ciosem odrąbał przeciwnikowi głowę, uciszając krzyki.

Poczułem mdłości. Zabójca był zbyt dobry. Jakie miałem szanse w walce z kimś podobnym?

Jenny, bardzo blada, wciąż kręciła głową.

– To było okropne – głos drżał jej z przejęcia. – Pod koniec, nim runął w ciemność, tak bardzo się bał.

Współczującym gestem położyłem jej dłoń na ramieniu. Podobna empatia bywa straszna. Ale z dumą pomyślałem, że Jenny wytrzymała. W Hrabstwie uciekła z nawiedzonego domu, ale tutaj nie.

Grimalkin sprawiała wrażenie nieporuszonej oglądając właśnie śmierć. Po kolejnym triumfie Kauspetnda w tłumie zapadło milczenie. Każdym zwycięstwem demonstrował im wyższość Kobalosów. Żaden człowiek nie zdołał dotrzymać mu kroku.

– I czego się dziś nauczyłeś? – spytała czarownica, maszerując do obozu po zamrażniętej ziemi.

Zastanowiłem się w skupieniu nad tym, co widziałem.

– Walczy dwiema klingami, ale lepiej sobie radzi lewą. Powinienem napierać z prawej strony.

– Przeciwnie – nie zgodziła się Grimalkin. – Przez pierwszy kwadrans atakuj z tej mocniejszej strony. Wówczas uzna, że nie zauważyłeś jego słabego punktu. Bo uwierz mi, on doskonale zna każdy aspekt swoich umiejętności i ciężko pracował, by je udoskonalić. Potem jednak powinieneś nagle zmienić strony i zacząć nacierać z prawej. W ten sposób możesz zwyciężyć wcześniej.

– Ma czekać kwadrans?! – wykrzyknęła oburzona Jenny. – Wątpię, czy którykolwiek wojownik wytrzymał dłużej niż pięć minut!

Grimalkin posłała jej gniewne spojrzenie.

– Twój mistrz wytrzyma do końca, ale walka może potrwać – upierała się, z powrotem skupiając na mnie wzrok. – W najgorszym razie będziesz potrzebował ponad godziny, by go zabić. Jutro zaczniemy treningi. Wkrótce poczujesz się pewniej. Posłuchaj mnie uważnie, bo mówię prawdę. Już teraz jesteś doskonałym szermierzem, a sądzę, że masz potencjał, żeby zostać wielkim, może wręcz niezrównanym. By to osiągnąć, potrzebujesz zaledwie dwóch rzeczy: ćwiczeń i wiary w siebie.

Już wcześniej z powodzeniem walczyłem z trudnymi przeciwnikami, ale wciąż uważałem, że Kauspetnd jest dla mnie za silny, a Grimalkin jedynie próbuje mnie pocieszyć. Pewnie to dlatego zareagowała ze złością na wątpliwości Jenny.

Wiedźma zabójczyni dotrzymała słowa. Każdego ranka zagłębialiśmy się między ciemne drzewa i walczyliśmy godzinami. Już wcześniej mnie szkoliła, na pamiątkę zostawiając kilka blizn – tym razem jednak wspięliśmy się na inny poziom. Chwilami lękałem się o życie.

Jenny obserwowała wszystko z boku. Pierwszego dnia treningu, gdy odpoczywałem między starciami, próbując złapać oddech, Grimalkin popatrzyła na nią.

– Pewnego dnia, dziewczyno, być może też będziesz musiała stanąć do walki na śmierć i życie. Umiesz władać klingą?

Jenny pokręciła głową.

Grimalkin wyjęła z pochwy nóż do rzucania.

– Łap! – poleciła, ciskając go dziewczynie.

Patrzyłem, jak nóż raz po raz obraca się w powietrzu. Jenny wyciągnęła rękę i złapała go, jakby było to coś absolutnie naturalnego.

Czarownica uśmiechnęła się.

– Masz dobry refleks, dziecko. Ciebie też wyszkolę.

– Bylebyś tylko nie żądała, żebym to ja walczyła z Shaikszą – odparowała moja uczennica.

I tak, w przerwach między naszymi pojedynkami, wiedźma zabójczyni zaczęła uczyć Jenny. Nie śpieszyła się, pokazywała, jak ustawić stopy, by osiągnąć płynność ruchów i równowagę, niezbędne w walce. Udzielała jej też wskazówek co do rzucania nożem.

Dzięki temu mogłem odetchnąć, ale zbyt szybko znów nadeszła moja kolej.

Podczas walki czarownica posługiwała się dwiema szablami, o które poprosiła mnie w Chipenden. Czyżby już wtedy to planowała? Czy od początku zamierzała mnie zmusić do walki z Kauspetndem? Bardzo prawdopodobne.

Teraz walczyła nimi tak jak zabójca, naśladowując go, odtwarzając jego mocne i słabsze strony. Nauczyła mnie także swego, jak to nazywała „tańca śmierci”, sekwencji błyskawicznych piruetów i ataków, przed którymi niezwykle trudno się obronić.

Za każdym razem, gdy Kobalos walczył z nowym człowiekiem, oglądaliśmy ten pojedynek i Grimalkin zawsze uczyła się czegoś nowego, co mi przekazywała.

Sam też próbowałem wykryć jakąkolwiek słabość, ale niczego nie znalazłem. Shaiksa sprawiał wrażenie wojownika doskonałego i żaden z pojedynków nie trwał dłużej niż parę minut. Starcia były bardzo jednostronne – ale jedno się zmieniło. Od pewnego czasu nie padało i zastanawiałem się, czy tu, w górach, z nadejściem zimy źródło rzeki nie zamarza. Tak czy inaczej, od naszego przybycia poziom wody bardzo się obniżył. Walki nie odbywały się już w rwącym nurcie, lecz na suchych kamieniach, przy wtórze chrzęstu stóp na żwirze.

W jakiś sposób wciąż udawało mi się znaleźć co dzień dość czasu, by udzielić lekcji uczennicy. Odkryłem, że działa to na mnie kojąco. Oboje tęskniliśmy za Hrabstwem; ten mroźny obóz na brzegu rzeki bardzo różnił się od naszego domu w Chipenden i od życia, które miała nadzieję prowadzić jako uczennica stracharza.

– Chciałabym już wrócić do domu – mruknęła. Wyrażała to pragnienie co najmniej trzy razy dziennie.

– Za czym tęsknisz najbardziej? – spytałem w nadziei, że rozmowa choć trochę jej pomoże.

– Za drzewami: jesionami, dębami, grabami. Tu rosną tylko iglaste i wszystkie wyglądają identycznie. Tęsknię też za ludźmi mówiącymi w języku, który rozumiem. Naprawdę muszę spróbować nauczyć się tutejszej mowy.

– Grimalkin obiecała, że będziemy w domu przed nastaniem zimy, nim mróz uniemożliwi nam powrót. Dotrzyma słowa – odparłem.

– Wcześniej musi wydarzyć się wiele różnych rzeczy – rzekła ze smutkiem Jenny. – Musisz pokonać tego stwora. Zdołasz to zrobić? I nie udawaj pewnego siebie. Wyczuwam twój strach i zwątpienie.

– Oczywiście, że się boję. – Zirytowało mnie, że użyła daru empatii, by sprawdzić, co czuję. – Ale odwaga to właśnie pokonywanie strachu. Czasami wszyscy się boimy. Najważniejsze, by wznieść się ponad to.

– I naprawdę myślisz, że mógłbyś wygrać? Część zabitych to byli wojownicy książąt, którzy całe życie poświęcili doskonaleniu umiejętności walki. Parę lekcji u czarownicy nie wystarczy, byś go pokonał. Jesteś stracharzem, twoja główna broń to laska.

– Pokonałem tamtą bestię w drzewie – przypomniałem.

– Bestia była młoda i wciąż uczyła się magii, tak przynajmniej twierdziła Grimalkin, prawda? Ale ten przeciwnik to co innego. To zabójca, wyszkolony morderca, mistrz w swoim fachu. Haizdan poległ głównie na magii, nie na mieczu. Gwiazdna Klinga obroniła cię przed magią i okazałeś się lepszy w walce. Teraz jednak wszystko wygląda inaczej. Nie widzę, jak mógłbyś zwyciężyć.

– Zdziwiłabyś się – mruknałem. – Grimalkin uczyła mnie już wcześniej. Nie tylko

świetnie włada bronią, ale też ma dar przekazywania tych umiejętności innym. Od dawna analizuje sposób walki Shaiksy i odnajduje słabe punkty, które mógłbym wykorzystać.

Lecz nawet w moich uszach słowa te zabrzmiały pusto. W jakiś sposób wątpliwości Jenny zagłuszały słowa otuchy Grimalkin. Ogarnął mnie niepokój.

– Nawet jeśli jakimś cudem zdołasz wygrać – podjęła dziewczyna – będziemy musieli ruszyć na północ z tą bandą żołnierzy i zapuścić się głęboko na tereny opanowane przez tysiące bestii. Trudno mi uwierzyć, że to przeżyjemy. Z każdym dniem robi się zimniej; więc jeśli nawet unikniemy masakry, zima może nas zaskoczyć i będziemy musieli spędzić w tej niegościnniej krainie długie i mroczne miesiące.

– Ale z ciebie pesymistka! – spróbowałem zażartować. – Że też musiałem przyjąć do terminu ponuraczkę, która przez większość czasu przewiduje wszystko, co najgorsze!

– Przepraszam, że gadam tak ponuro, ale po prostu chcę wrócić do domu.

– I ja także. – Poklepałem ją po ramieniu. – Uwierz mi, proszę, wszystko się ułoży. Potrzebne nam informacje, które ma nadzieję zdobyć Grimalkin; chce poznać taktykę bitewną Kobalosów i mroczną magię, której używają. Kiedy dowie się o niej więcej, być może znajdzie skuteczne środki zaradcze. W przeciwnym razie Kobalosi przebiją się aż do morza. To ich nie zatrzyma: poześlują dalej i za parę lat opanują Hrabstwo, niewoląc mieszkańców. Musimy to załatwić teraz.

Z determinacją pragnąłem doprowadzić plany do końca. Usiłowałem zatem wzbudzić w sobie nadzieję i zacząć wierzyć w siebie, tak jak kazała Grimalkin... Lecz wraz z upływem dni zaczęło mnie dręczyć coś nowego: nieznana wcześniej odmiana strachu.

Często bałem się, mając do czynienia z Mrokiem. Przeżyłem kilka chwil prawdziwej grozy: na przykład kiedy stawiałem czoło staremu Golgothowi pod Krągłym Bochnem na moczarach Anglezarke. Golgoth miał dość mocy, by zniszczyć nie tylko moje ciało, ale i duszę.

Walczyłem też z Siscoi, rumuńskim bogiem-wampirem. Cudem uniknąłem straszliwej śmierci z jego rąk. Dodajmy do tego wiele innych chwil grozy. Tuż przed bitwą o Kamień Strażniczy bałem się, że tam zginę.

Ale teraz odczuwałem coś innego – w pewnym sensie mniej intensywne, ale wnikające do każdego zakamarka mojej jaźni. Było to silne przeczucie, że nie przeżyję walki z Kauspetndem. Zawsze z optymizmem spoglądałem w przyszłość. Jako chłopiec marzyłem o ukończeniu terminu, zostaniu stracharzem i ochronie własnego terytorium. Teraz nie dostrzegałem już przyszłości. Poza zbliżającą się walką nie widziałem niczego.

Jest noc, jutro stanę do walki z Shaiksą. Nie mogę spać. Piszę zatem w notesie, próbując jak najlepiej oddać swoje uczucia i myśli. Gardło oplatają mi lodowate palce strachu, zaciskają się na sercu. W rozmowie z Jenny starałem się przybrać dobrą minę do złej gry, ale wiem, że mnie przejrzała.

W wyobraźni raz po raz odtwarzam każdą śmierć nad rzeką. Widzę spadające głowy i smugi krwi niesione prądem.

Czy to właśnie czeka mnie jutro?

ROZDZIAŁ 29

NAJGORSZY DZIEŃ MOJEGO ŻYCIA



JENNY CALDER

Piszę to w notesie Toma Warda. Uznałam, że to najlepsze miejsce do opisanie wszystkiego, co się stało. Myślę, że nie miałby nic przeciw temu. Wszyscy stracharze prowadzą dokładne zapiski – wierzą, że należy opisywać przeszłość, by przygotować następców na to, co będzie w przyszłości. Dopóki zatem mogę, pójdę w jego ślady.

Wczoraj był najgorszy dzień mojego życia.

Tylko raz oglądałam walczącego zabójcę Shaiksa, ale ów widok mnie przeraził. Shaiksa zademonstrował taką swobodę i zręczność władania bronią, że bałam się o Toma.

Jak mógł pokonać z podobnego przeciwnika?

Jako rzekome służki Toma i jedyne przedstawicielki naszego kraju, razem z Grimalkin zajęłyśmy dobre miejsca przed walką. Siedziałyśmy na drewnianych krzesłach z oparciami, po lewej stronie księcia Stanisława, patrząc wprost na rzekę.

Nad nami niebo jaśniało błękitem i nieliczne chmury na horyzoncie zabarwiły się czerwienią w promieniach zachodzącego słońca. Powietrze było chłodne, lecz pełne zapachów, z których części nie rozpoznawałam. Wyczułam tam jednak aromat przypraw i jedzenia, a także gorzkiego liścia, który mieszkańcy tych okolic mają w zwyczaju żuć i od którego cuchnie im oddech.

Godzinę przed zachodem słońca na przeciwległym brzegu pojawiła się postać i podeszła do skraju brodu. To był Kauspetnd o złowrogiej, lisiej twarzy i włosach splecionych w trzy warkocze. W dłoniach dzierżył dwie lśniące szable. Patrzył groźnie na nasz brzeg rzeki.

Zapadła głęboka cisza. Nikt się nie odezwał. Nikt nawet nie drgnął.

A potem z naszego brzegu ruszył samotny mężczyzna. Krocząc z pluskiem w płytkiej wodzie rzeki, kierował się ku skupisku kamieni pośrodku nurtu. Człowiek ów miał tylko jeden miecz: trzymaną w prawej ręce Gwiazdną Klingę, podarowaną mu przez Grimalkin. W odróżnieniu od broni Shaiksy, jego miecz nie błyszczał w promieniach słońca; miał matową, rdzawobrazową barwę.

Po chwili buty owego człowieka zazgrzytały na kamieniach, gdy dotarł na środek brodu.

To był Tom Ward i nawet z daleka dar empatii podpowiadał mi, co czuje. Bał się, rozpaczliwie próbował opanować strach i drżenie rąk i nóg. Dręczyło go złowieszcze przecucie – wrażenie nieuniknioności własnej śmierci. Czuł też gniew, że został wmanipulowany w tę sytuację. Żałował, że opuścił Chipenden i porzucił swoje życie stracharza.

Doskonale go rozumiałam. Nie podobało mi się to, jak Grimalkin wykorzystała Toma. Dostrzegała jedynie zagrożenie ze strony Kobalosów i była zdecydowana użyć wszystkich dostępnych metod i ludzi, byle mu zapobiec. To takie niesprawiedliwe. Żaden człowiek nie miał szans w starciu z tą potworną, wojowniczą bestią. Jak Tom, mimo szkolenia z czarownicą, mógł marzyć o wygranej?

Tymczasem Kauspetnd także skierował się ku suchym kamieniom na środku rzeki.

Umysł stwora pozostawał przede mną niemal zupełnie zamknięty. Wyczuwałam tylko determinację, agresję i absolutną pewność siebie, nie mogłam natomiast czytać mu w myślach. W przeszłości eksperymentowałam z darem empatii i odkryłam, że niektóre umysły łatwiej przeniknąć niż inne. Próbowałam też ze zwierzętami, wyczuwając dzikość i drapieżność kotów oraz prostą radość psów, ale nic ponadto. Ich umysły także pozostawały niedostępne, jakby nie dało się poznać myśli innego gatunku. Teraz to samo działo się z kobaloskim zabójcą – nie mogłam do niego dotrzeć ani wpłynąć na jego zachowanie.

Rywale zatrzymali się; stali teraz naprzeciw siebie, dzieliło ich zaledwie parę kroków. Miałam wrażenie, że minęło mnóstwo czasu, nim któryś się poruszył, a kiedy już to zrobili, to z wyraźnym wahaniem.

Tom pchnął mieczem w stronę Shaiksy, który zablokował cios jedną z szabel – chyba tą z lewej ręki, choć wszystko działo się bardzo szybko. Zaczęli krążyć w prawo, kamienie chrzęściły pod ich podeszwami. Poza tym słyszeliśmy tylko szum wody, przelewającej się po kamienistym dnie w wąskim korycie.

A potem Shaiksa wyprowadził parę ciosów w głowę Toma. Ten odparował je z łatwością; wciąż krążyli wokół siebie. Wyczułam, że Tom już się nie boi: całkowicie skupił się na walce, powoli nabierając pewności siebie.

I wtedy zaczęło się na dobre. Kauspetnd przypuścił wściekły atak, jego klingi błyskały

w promieniach zachodzącego słońca. Serce podeszło mi do gardła, gdy patrzyłam, jak Tom cofa się pod naporem, rozpaczliwie odbijając kolejne cięcia i wymachując trzymaną oburącz Gwiazdą Klingą.

Przeżył jednak i stopniowo przestał ustępować pola; potem z kolei zabójca cofnął się o kilka kroków i ponowił atak.

Jak długo Tom będzie w stanie znosić coś takiego? Nic dziwnego, że większość pojedynków zakończyła się po zaledwie paru minutach.

A jednak przeżył, odpowiadając Shaiksie ciosem na cios. Wkrótce czas stracił znaczenie. Miałam wrażenie, jakbyśmy tkwili uwięzieni w wieczności, w której zatrzymały się wszystkie zegary. Istniała tylko szaleńcza walka, tylko ona wypełniała teraźniejszość, przeszłość i przyszłość. Mogła tak trwać bez końca.

Później Grimalkin powiedziała mi, że minęła nieco ponad godzina. Zapewne miała rację, bo kiedy wreszcie nadszedł koniec, słońce już zaszło i zapadł zmierzch.

Po jakimś czasie Tom zaczął zyskiwać wyraźną przewagę. Atakował szybko i z precyzją, raz po raz przerzucał Gwiazdą Klingę z ręki do ręki, za każdym razem zmuszając Kauspetnda do cofnięcia się.

Widzowie już nie milczeli – teraz krzyczeli z podniecenia, oczekując długo wyglądane go zwycięstwa.

To Tom pierwszy przelał krew wroga. Znalazł lukę w jego obronie i zranił go w ramię. Kobaloski wojownik zachwiał się i poleciał w tył, a po jego stroju rozeszła się czerwona plama. Posoka ściekała do wody. Otaczający mnie ludzie ryknęli tryumfalnie.

I wtedy Tom zaczął napierać z całych sił. Wirował i uskakiwał, rozpoczynając „taniec śmierci” Grimalkin. Trzy razy ciał płasko mieczem, niemal zbyt szybko, by uchwycić to ludzkie oko. W końcu trafił.

Odrąbał głowę zabójcy Shaiksa.

Zwyciężył!

Głowa poturlała się po kamieniach i wpadła do płytkiej wody. Prąd poniósł z sobą wstęgę czerwieni. Gdy ciało wywróciło się, z szyi wytrysnęła krew.

Lecz ogłuszający ryk zwycięstwa stopniowo ucichł, zamieniając się w słaby pomruk. Wszystkie oczy spoglądały na Toma, który zachwiał się i upuścił Gwiazdą Klingę. Wpatrywał się w swój brzuch.

Tak bardzo skoncentrowałam się na ataku Toma i na ostatnim zabójczym ciosie, iż nie zauważyłam, co zrobił Kauspetnd. Teraz jednak gardło ścisnęło mi się, a serce zatrzepotało, gdy ujrzałam, co się stało.

Jedna z szabel zabójcy przebiła mu brzuch. Wystawała z niego tylko rękojeść. Znow się zachwiał i odwrócił, próbując utrzymać równowagę. Widziałam jego plecy. Sterczała z nich co najmniej stopa krwawego, zakrzywionego ostrza. Tom sięgnął za siebie, wyczuł stal i znow obrócił się ku nam, spoglądając z niedowierzaniem.

W końcu powoli przewrócił się na twarz.

Wczorajszy dzień był najgorszym w moim życiu.

Tego dnia umarł Thomas Ward.

ROZDZIAŁ 30 ROZPACZ GRIMALKIN



Do końca życia nie zapomnę wyrazu grozy na twarzy Toma, gdy pojął, co się stało. Wiedziałam dokładnie, co czuł. Odczuwałam to samo. Mój dar to klątwa, bo sprawił, że odbierałam każdy szczegół.

Cierpiał okropnie, ale jeszcze gorsza okazała się świadomość, że umiera.

Nie mogłam jej znieść.

Pamiętam, jak Tom padł na kamienie, z ostrzem szabli sterczącym z pleców. Tylko jedna osoba zareagowała, reszta tkwiła w bezruchu, ogłuszona.

To Grimalkin pobiegła z pluskiem w miejsce, gdzie leżał. Dźwignęła go ostrożnie i poniosła na brzeg w naszą stronę. Przeszła tuż obok mnie. Widziałam, że twarz miał szarą jak popiół; nie oddychał, z rany kapłała krew, pozostawiając na trawie czerwony ślad.

Tom nie żył – byłam tego pewna. Niczego już nie czułam. Ale Grimalkin to potężna

czarownica. Może zdoła go ocalić swoją magią?

Gdy wpatrywałam się w niego, spojrzała mi prosto w oczy.

– Miecz! Miecz! Przynies Gwiezdną Klingę, dziecko! – zawołała do mnie. – Pilnuj jej!

Pospieszyłam w przeciwną stronę niż wszyscy pozostali, po czym z pluskiem wpadłam do wody, unikając wzrokiem odrąbanej głowy Shaiksy. Dotarwszy na kamienie podniosłam Gwiezdną Klingę.

Wykuto ją dla Toma, ale teraz już jej nie użyje. Zastanawiałam się, po co Grimalkin ten miecz?

Ruszyłam w ślad za tłumem, niosąc w dłoni rdzawą klingę. Wokół wielkiego namiotu księcia zebrał się krąg ludzi.

To tam Grimalkin musiała zabrać Toma.

Rozpaczliwie pragnęłam pomóc, toteż spróbowałam precyzyjnie się naprzód, ale bez powodzenia. Podwójny rząd polyzniańskich gwardzistów w niebieskich mundurach nie dopuszczał nikogo. Teraz ruszyli naprzód, unosząc w gotowości włócznie.

Wyglądało to beznadziejnie, a sytuacja pogarszała się z każdą chwilą. Większość tłumu odstąpiła, ale część żołnierzy innych książąt nie ustąpiła pola. Gwardziści sprowokowali gniewną reakcję. Błysnęły miecze.

Nic nie mogłam poradzić, toteż wróciłam do naszego obozu i wczółgałam się do namiotu. Miecz położyłam na ziemi obok swego posłania, a potem zwinęłam się w kłębek, próbując zapomnieć o wszystkim.

Nie mogłam zasnąć. Kiedy tylko zamykałam oczy, widziałam, jak walczą, jak uderzają raz za razem. Czułam grozę i cierpienie Toma, nie mogłam tego powstrzymać. Zaczęłam szlochać.

Nie wiem, jak długo tak leżałam, ale po jakimś czasie usłyszałam, jak ktoś wchodzi do namiotu. Zapłonęła świeca, uniosłam powieki i zobaczyłam Grimalkin. Siedziała na swoim kocu skrzyżowawszy nogi, oczy miała zamknięte, kołysała się w przód i w tył z rękami splecionymi na piersi. Jej ubranie, gołe ręce i ramiona pokrywała krew.

Zadrżałam z zimna i rozpaczy. Wiedziałam, że to krew Toma.

Usiadłam, wbijając w nią wzrok.

– Czy on nie żyje? – spytałam.

Wiedźma zabójczyni otworzyła oczy i przygwoździła mnie wzrokiem. Sprawiała wrażenie wściekłej i wątpiałam, czy odpowie.

Bez słowa pokiwała głową, a ja wybuchnęłam płaczem.

Grimalkin natychmiast mnie upomniała.

– Niemądra dziewczyno, twoje łzy go nam nie przywrócą. Zamilcz i daj mi pomyśleć!

Umilkłam. Zawsze bałam się czarownicy, a teraz, w obliczu jej złości omal nie uciekłam z namiotu. Poczułam, że drzę.

Nigdy nie udało mi się wnikać do głowy Grimalkin; otoczyła swój umysł barierą. Mogłam dostrzec cienie emocji – głównie gniewu – ale nic więcej.

Po chwili przemówiła. Z początku nie zwracała się do mnie, lecz bardziej myślała na głos:

– Nie powinno do tego dojść. Nie przewidziałam tego... Nie sądziłam, że posyłam go na śmierć. Próbowałam go ocalić... – Przyszpiliła mnie spojrzeniem groźnych oczu. – Sprowadzałam już wcześniej innych znad granicy śmierci, dziecko. Z początku sądziłam, że teraz też mi się uda. Z pomocą magii i ziół zatamowałam krwawienie; tchnęłam w

niego własną energię. Znów zaczął oddychać i kiedy napełnił płuca powietrzem, poczułam nadzieję... – Pokręciła głową, mamrocząc coś, czego nie usłyszałam.

– I co się stało? – spytałam niewiele głośniejszym głosem.

– Nie miałam wyboru, musiałam usunąć szablę. Bałam się, bo wiedziałam, że to krytyczny moment. Kiedy ją wyjęłam, obrażenia wewnętrzne okazały się zbyt ciężkie. Cała moja magia i znajomość ziół nie mogły powstrzymać krwotoku. Byłam tak blisko, tak blisko sukcesu i gdyby mi się udało, mogłam uleczyć go od wewnątrz. To przecież możliwe...

Pokręciła głową i znów umilkła, zamykając oczy.

– Umarł. Zawiodłam. To koniec. Jutro go pogrzebią. Możesz zrobić dla niego tylko jedno: musisz mi pomóc. Ciało trzeba obmyć i oczyścić. Zrobisz to?

Przytaknęłam, odpowiedź „tak” uwięzła mi w gardle.

– W takim razie jutro o świcie pójdziemy do namiotu i przygotujemy go do pogrzebu. A teraz spróbuj zasnąć.

Nie mogłam spać i czas do rana płynął bardzo wolno. Grimalkin też nie spała. Całą noc siedziała ze skrzyżowanymi nogami, kołysząc się w przód i w tył. Czasami miałam wrażenie, że mówi do siebie; raz nawet chyba zaszlochała – ale zbyt cicho, żebym miała pewność.

Jednego natomiast byłam pewna. Choć wiedźma zabójczyni to osoba okrutna i niebezpieczna, boleśnie odczuła stratę Toma Warda. Dłuższy czas ramię w ramię walczyli ze Złym; Tom opowiadał mi o tym. Wielu faktów z ich przeszłości nie znałam, ale bez wątpienia łączyła ich silna więź.

Na swój własny sposób Grimalkin rozpaczała.

Rozdział 31

Obmywanie ciała

ROZDZIAŁ 31 OBMYWANIE CIAŁA



Wkrótce po świcie zjawiała się eskorta wojskowa pod dowództwem szambelana i poprowadziła nas do obozu księcia Stanisława. Jak zwykle, dwóch gwardzistów zostało, by strzec namiotu. Zachowywali się znacznie przyjaźniej: Majchar nawet ukłonił się sztywno przed Grimalkin. W ich oczach dostrzegłam szacunek. Wyczyn Toma, jego zwycięstwo nad zabójcą, zmienił nastawienie miejscowych.

Ciało przeniesiono z namiotu księcia do drugiego, mniejszego, stojącego bliżej wody. Otaczała go straż, wokół na trawie siedzieli czuwający ludzie.

Czego oni chcieli? Czy spędzili tak całą noc? Podążyłam za Grimalkin do namiotu. Ktoś zapalił lampy, aby przegnać mrok. Ciało Toma, owinięte w koc, leżało na niskim, rozkładanym stole. Oczy miał szeroko otwarte, zdawało się, że spogląda w sufit, kiedy jednak dotknęłam jego twarzy grzbietem dłoni, poczułam lodowate zimno.

Nie byłam dumna z myśli, które napłynęły mi do głowy. Zjawily się same i nie

potrafiłam ich przepędzić. Zastanawiałam się, co teraz będzie ze mną. Zostałam sama, na dalekiej północy, bez nadziei na szybki powrót. Czy Grimalkin w ogóle zabierze mnie do Hrabstwa? Tolerowała moją obecność tylko dlatego, że Tom przyjął mnie do terminu. Teraz zapewne mnie porzuci.

A gdybym nawet zdołała wrócić do domu, znów musiałabym zamieszkać z przybraną matką i ojcem w Grimsargh. Nie mogłam raczej liczyć na kontynuację nauki, chyba że znalazłabym innego, nieznanego stracharza, który zgodziłby się mnie przyjąć. Ci, których poznałam – Judd i Johnson – nie zgodziliby się, zresztą nie chciałam się u nich szkolić. Jeśli zatem nie znajdę innego sposobu zarabiania na życie, skończy się na tym, że wydadzą mnie za jakiegoś mężczyznę, który będzie chciał tylko, żebym gotowała, sprzątała i opiekowała się naszymi dziećmi, póki nie stanę się stara i zgorzkniała, jak moi rodzice.

Z trudem odepchnęłam owe mroczne myśli, zmuszając się do skupienia na czekającym mnie zadaniu. Do namiotu przyniesiono wodę i szmaty. Najpierw jednak musiałyśmy rozebrać Toma, co okazało się niełatwe – Grimalkin musiała użyć noża, by przeciąć mu portki. Kiedy już zdjęłyśmy koszulę, odsłaniając ranę na brzuchu, czarownica aż zachłysnęła się ze zdumienia.

– Przystaw no bliżej lampę! – poleciła.

Posłuchałam pospiesznie i gdy wróciłam do stołu, przesuwiała właśnie palcem wskazującym wokół rany, która wyglądała dość dziwnie. Prawie się zamknęła, sprawiała jednak wrażenie wypukłej, a wokół utworzyło się coś przypominającego łuski.

– Gdybym tylko zdołała nieco dłużej powstrzymać krwawienie – mruknęła Grimalkin. – Może za wcześnie wyciągnęłam szablę... Sam by się uleczył; jestem tego pewna. Widzisz te łuski? Proces już się zaczął, ale przerwała go śmierć.

– Tak, ale dlaczego łuski, a nie skóra?

– Miał w żyłach krew lamii, po matce.

– Lamii? – powtórzyłam zaskoczona. – Czy lamia to nie odmiana czarownicy? I czy nie ma skrzydeł?

– Te ze skrzydłami są bardzo rzadkie; zazwyczaj lamie pełzają bądź chodzą. Matka wychowywała go na farmie i kiedy był młody, przyjęła ludzką postać. Dopiero później wyznała mu prawdę. Teraz już nie żyje, a on niestety odszedł wkrótce po niej.

Ze zdumieniem patrzyłam na Grimalkin. Tak wielu rzeczy nie wiedziałam, rzeczy, które Tom z pewnością ujawniłby mi, gdyby przeżył.

– Obmyj ciało – poleciła czarownica. – Ja potrzynam lampę.

Namoczyłam szmatkę w wodzie i za jej pomocą umyłam ciało, powoli usuwając brud i plamy krwi. W pewnym momencie Grimalkin pomogła mi go odwrócić. Potem ubrałyśmy Toma w spodnie i satynową koszulę, przywiezioną z Hrabstwa, aby wyglądał jak książę.

– Czy mam mu nałożyć skarpetki i buty? – spytałam.

Grimalkin przytaknęła. Z trudem poradziłam sobie ze skarpetami, a potem wcisnęłam stopy Toma w buty i zasznurowałam je.

Przed wyjściem po raz ostatni spojrzałam na mojego mistrza. Wiedźma zabójczyni zamknęła mu oczy. Wyglądał niemal, jakby spał.

Przed namiotem czekał Majchar. Wymienili z Grimalkin kilka słów w łóście.

– Pogrzeb odbędzie się jutro w południe – oznajmiła w drodze do namiotu. – Weźmie w nim udział książę Stanisław, by oddać cześć Tomowi. Zaimponowała mu jego odwaga i

umiejętności. Kondukt wyruszy rano, teraz szykują nagrobek i spytali, co mają na nim wyryć. Zostawiłam tę decyzję księciu. Ostatecznie cokolwiek napiszą, nie będzie prawdą. Chciałabym, by spoczął obok swego mistrza w ogrodzie w Chipenden, ale to niemożliwe.

Obudziłam się wkrótce po wschodzie słońca, po ledwie godzinie snu i wspomnienie śmierci Toma przeszło mi serce niczym igła. Do oczu napłynęły łzy.

Grimalkin nie spała; ostrzyła swoje noże. Obserwowałam ją w milczeniu.

W nocy spadł ulewny deszcz, bębnienie kropel o ziemię i dach namiotu budziło mnie co chwilę – to i wspomnienie straszliwych wydarzeń. Teraz nozdrza wypełnił mi mocny zapach mokrej ziemi i trawy.

– Jeszcze dziś, po pogrzebie, zabiorę cię do domu, dziewczyno.

– Nie mam domu – odparłam z goryczą, ale w głębi duszy ulżyło mi, gdy odkryłam, że czarownica nie zamierza mnie porzucić. Bo bardzo chciałam wrócić do Hrabstwa.

– Chipenden to teraz twój dom. Judd Brinsdall bez wątpienia wprowadzi się tam i zostanie nowym stracharzem. Ty będziesz jego uczennicą.

– Nie przyjmie mnie. Odmówił już co najmniej pięć razy. Nie lubi mnie. Poszczył mnie psami i śmiał się, gdy jeden z nich rozdarł mi spódnice.

– Zrobi, co mu każę! – warknęła ostro Grimalkin. – Zasłużyłaś sobie na prawo do szkolenia i je dostaniesz!

Oszłomiła mnie gwałtowność jej reakcji. Nagle zrozumiałam, że ta wiedźma naprawdę mogłaby zmusić stracharza Brinsdalla do przyjęcia mnie do terminu. Ale czy aż tak tego chciałam? Czy zniosę współpracę z kimś takim?

Wiedźma podniosła Gwiezdną Klingę i z zamyśloną miną ułożyła sobie na kolanach.

– A ty, co teraz zrobisz? – spytałam.

– Zimą spędzę w Hrabstwie. Tom nie żyje i bardzo mi przykro z tego powodu. Ale choć moje plany legły w gruzach, nie mogę porzucić misji. Wiosną znów ruszę na północ i nadal będę gromadzić wiedzę na temat naszych wrogów. Muszę to zrobić, jeśli mamy mieć szansę przeżycia. Z każdym dniem niebezpieczeństwo rośnie. Kobalosi mogą zaatakować księstwa północy jeszcze tej zimy.

ROZDZIAŁ 32 STRASZLIWY BŁĄD



Tom Ward nie żył. W dniu jego pogrzebu przed południem opuściliśmy z Grimalkin namiot. Spojrzałam w niebo. Na razie przestało padać, ale na południu zbierały się ciężkie chmury, grożące kolejną ulewą.

Gdy przybyliśmy do namiotu księcia, trumna Toma spoczywała na dworze, na trawie. Książę stał obok z mieczem u pasa, w otoczeniu dwóch gwardzistów. Sprawiał wrażenie zagniewanego – gotowego do bitwy, nie do pogrzebu. Na nasz widok jednak skinął głową, po czym wezwał czterech swoich ludzi, którzy dźwignęli trumnę na ramiona.

Bez dalszych wstępów ruszyliśmy na północ. Książę i jego świta maszerowali na czele. Zdumiało mnie, jak wielu wojowników zebrało się na trasie, wielu innych dołączyło do konduktu. Przypuszczam, że poruszyło nimi to, jak Tom – choć śmiertelnie ranny – najpierw zakończył żywot zabójcy, który od tak dawna mordował ich wojowników.

Pamiętam, jak pomyślałam, że miejsce pogrzebu musi leżeć wysoko, bo cały czas się

wspinaliśmy. To miało sens. Bez wątplenia wiosną podczas roztopów rzeka zalewała tę równinę.

W końcu dotarliśmy do otwartego dołu z leżącym obok dużym kamiennym nagrobkiem. Na dnie zebrała się woda. Wokół dostrzegłam inne groby – w sumie parę tuzinów – ale wszystkie już zasypane. Niektóre świeże, z wciąż wysokimi kopcami ziemi, inne starsze, lekko zapadnięte, jeszcze inne porośnięte trawą. Tylko jeden czy dwa mogły poszczycić się nagrobkami; większość zaznaczono prostymi, drewnianymi krzyżami, na kilku nie zauważyłam żadnych oznaczeń. Shaiksa od miesiący rzucał swe wyzwanie, więc odgadłam, że to groby tych, którzy zginęli z jego rąk.

Zajęliśmy miejsca przy otwartym grobie, naprzeciw kamienia. Grimalkin stała po mojej lewej, szambelan Majchar po prawej, za nim ksiązę Stanisław, z tyłu czekali gwardziści.

Obok kamienia stał jeden z brodatych magovia w rękawiczkach, bez wątplenia doradzający księciu Stanisławowi. Rozłożył szeroko ręce i zaczął nucić śpiewnie. Cieszyłam się, że nie rozumiem ani słowa – co za stek bzdur. Do uczczenia zmarłych wystarczy tylko kilka prostych zdań.

Odmówiłam je zatem w milczeniu w myślach.

Dziękuję, że przyjąłeś mnie do terminu, Tomie Wardzie i że dałeś mi drugą szansę, kiedy uciekłam przed widmami. Będzie mi ciebie brakowało. Nie zastąpiłeś na podobną śmierć. I byłbyś świetnym stracharzem, jednym z najlepszych; twój mistrz byłby z ciebie dumny. Dziękuję, że we mnie uwierzyłeś...

Nagle opuściły mnie wątpliwości i podjęłam decyzję. Tom we mnie wierzył i chciał mnie wyszkolić najlepiej, jak potrafił. Nie ustąpię zatem i mimo nienawiści, jaką darzyłam Judda Brinsdalla, dołożę wszelkich starań, żeby zostać dobrym stracharzem. *Dziękuję, że wskazałeś mi właściwą drogę. Dziękuję za wszystko.*

Zerknęłam na trumnę Toma, stojącą obok grobu, przy kopcu ziemi. Trudno uwierzyć, że wewnątrz spoczywało jego ciało, zimne i nieruchome, że wkrótce zamknie się nad nim mokra ziemia. Ja wrócę do Chipenden z Grimalkin, a on zostanie tutaj. Wkrótce nastanie zima i śnieg zasypie jego grób.

Usiłowałam przepędzić te przygnębiające wizje, powtarzając sobie w duchu, iż zawartość trumny to tylko szczątki Toma. Do tej pory jego dusza przeszła już przez Limbus i odeszła do Światła. Tyle że był taki młody! Nie zdążył jeszcze w pełni zaznać życia. To właśnie zasmuciło mnie najbardziej; to i utrata mistrza, który by mnie wyuczył, doradzał mi, i w końcu stał się towarzyszem – a może też, przy wielkim szczęściu, przyjacielem.

Zerknęłam na nagrobek i odczytałam wyryte w kamieniu słowa.

Tu spoczywa ksiązę Thomas z Caster

Śmiały wojownik

Który padł w boju, lecz zatryumfował tam, gdzie inni zawiedli

Ostatnie dwie linijki stanowiły wypaczoną ocenę ostatnich wydarzeń. Dla mnie to nie był tryumf, tylko straszliwy błąd, a teraz kłamstwo pozostanie na zawsze na nagrobku. Tom był młodym stracharzem, który walczył z Mrokiem... Powinni o tym wspomnieć.

Usłyszałam niski pomruk grzmotu i uniosłam wzrok. Ciemne chmury wisiały już nad nami: nadciągała burza. W chwilę później lunął deszcz. Nad naszymi głowami błysnęło,

błyskawicy zawtórował grom, od którego zatrzęsła się ziemia.

Magovia wciąż nucił, ale jego głos nie mógł konkurować z burzą. Ulewa zmoczyła mi włosy i szatę. Zastanawiałam się, czy skrócą modły: może i kapłanowi brakowało rozsądku i odwagi, by zakończyć uroczystość, ale przecież wystarczyłby jeden znak księcia.

Zerknęłam na niego, lecz w gęstniejącym mroku jego twarz nie wyrażała niczego; wyglądało na to, że nie przeszkadza mu stanie na wietrze w przemoczonym stroju. Zrobiło się naprawdę ciemno – wiedziałam, że wkrótce będziemy musieli zapalić lampy.

W końcu jednak książę uniósł rękę i skinął w stronę grobu. W odpowiedzi magovia zająknął się i umilkł. Czterej żołnierze dźwigający wcześniej trumnę wystąpili naprzód, po dwóch z każdej strony. Pod skrzynię wsunięto dwa sznury, z ich pomocą żołnierze, zająwszy pozycje przy grobie, zaczęli ją opuszczać. Z trudem utrzymywali liny ślizgające im się w palcach.

Trumna nie opuszczała się równo – w pewnym momencie prawie ją wypuścili – ale w końcu z pluskiem wylądowała w wodzie na dnie dziury i żołnierze wyciągnęli sznury. Teraz przekonałam się, że z zebranej w dole deszczówki wystaje tylko wieko.

Zdumiało mnie, gdy żołnierze chwycili łopaty i zaczęli zasypywać grób. Zwyczaj z Hrabstwa nakazywał, by każdy żałobnik cisnął na trumnę garść ziemi, a potem odszedł; grabarze zaczynali pracę dopiero, gdy wszyscy zniknęli.

I tak, w świetle błyskawic i do wtóru grzmotów, patrzyliśmy na kopiających żołnierzy; deszcz ściekał im po twarzach i skapywał z nosów, gdy pospiesznie zrzucali grudy mokrej ziemi na drewniany cel.

Nagle usłyszałam coś jeszcze – niesamowite skrzeczenie, dobiegające wprost znad głowy. Uniosłam wzrok i na moment oślepiła mnie błyskawica. Gdy znów zaczęłam widzieć, pojęłam, że wszyscy zebrani wokół grobu również patrzą w górę, osłaniając oczy przed strugami deszczu. Nawet czterej żołnierze przerwali pracę.

Wysoko nad nami w powietrzu wisiała postać. Widziałam jej skrzydła – olbrzymie w zestawieniu ze smukłym ciałem. Tę samą istotę oglądaliśmy, gdy trzech magovia przepowiadali nadejście wojownika, który pokona zabójcę Shaiksa i poprowadzi ludzi znad rzeki do zwycięstwa.

Przez chwilę wisiała tam, a potem nagle złożyła białe skrzydła i runęła ku nam niczym kamień. Zatrzymała się niecałe trzydzieści stóp nad naszymi głowami – dość blisko, abyśmy mogli ujrzeć piękną twarz, jaśniejącą srebrnym blaskiem.

Wówczas jednak moją uwagę zwrócił inny dźwięk. Szybko spuściłam wzrok.

Nie wierzyłam oczom. Trumna przekrzywiła się; grudy ziemi zsuwały się z wieka, ukazując mokre drewno.

Grimalkin syknęła gniewnie, patrząc na skrzydlatą istotę... ale mnie ogarnęła nowa nadzieja.

Trumna się ruszała.

Czy to możliwe, by Tom wciąż żył?

ZAPISK I GRIMALKIN

Zawartość szklanych pojemników

Wszystkie materiały są biologiczne, w większości przypadków przechowywane w środku konserwującym, zazwyczaj w żelu; część to nasiona, inne to fragmenty pochodzenia zwierzęcego (próbki ssaków bądź gadów plus hybrydy).

Wiele z nich wciąż żyje, utrzymywane są w stanie uśpienia. Wierzę, że po zasadzeniu nasiona by wyrosły. To samo dotyczy zapewne próbek zwierzęcych. (Sprawdziłam tylko trzy, które potwierdziły moją teorię.) Wszystkie są w stanie rozwijać się i rosnąć, ale nie potrafię orzec, co by z nich wyrosło, bez kolejnych niebezpiecznych eksperymentów. Wiemy jednak, iż Kobalosi z pomocą mrocznej magii stworzyli wiele niezwykłych istot, takich jak: budowniczy (włoskory, odnawiające i rozbudowujące mury Valkarky) i stworzenia bojowe (na przykład haggemioty). Całkiem możliwe, że podobnych stworów używają do wojen. Być może nieżyjący haizdan szykował się do stworzenia u nas podobnych istot i ukrycia ich na terenie Hrabstwa, gotowych do zadania pierwszego ciosu.

Pierwsza próbka zwierzęca

Próbkę tę (podpisaną na słoju jako „Zanti”) pobrałam z ochronnego żelu i umieściłam na pożywce (dwie części ludzkiej krwi; trzy części mielonej świńskiej kości; dwie części cukru; trzy części ludzkiej śliny). Następnie próbkę złożyłam wewnątrz najpotężniejszego zaklęcia obronnego, jakie zdołałam stworzyć – pentagramu o wewnętrznej średnicy pięćdziesięciu stóp – na łące leżącej co najmniej dwieście jardów od najbliższego drzewa. Dodatkowo zaklęciami maskującymi i odstrasżającymi ochroniłam pentagram przed wścibskimi oczami i intruzami.

Tak jak przewidywałam, podczas pełni próbka zaczęła rosnąć. Z początku stwory przypominały niewielkie owady i rozbiegły się w trawie. Jednakże tuż przed świtem wkopały się w ziemię; możliwe, że nie są w stanie znieść promieni słońca.

Następnego dnia, niedługo po zmroku, znów się wyłoniły. Po jakimś czasie zauważyłam dwie rzeczy. Było ich mniej, a pozostałe zdawały się większe, długości i wielkości mojego palca wskazującego. Najprawdopodobniej pożerały się nawzajem, aby przeżyły tylko najsilniejsze.

Proces ten trwał siedem nocy, nim zaingerowałam weń. Do tego czasu zostały tylko dwa stwory. Z kształtu podobne do ludzi, były bardzo chude, z długimi, łuskowatymi rękami i nogami. Głowy miały bezwłose, lecz pokryte czarną łuską, małe oczka szeroko rozstawione jak u ptaków, umożliwiające widzenie wszystkiego w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni. Co do wzrostu, sięgały mi do ramienia, ale ostateczny zwycięzca mógł urosnąć do co najmniej ośmiu stóp.

Wkroczyłam w krąg i zabiłam oba nożami. W odróżnieniu od haggemiota, z którym walczyłam w Valkarky, zanti nie łączył wspólny umysł i nie potrafiły walczyć razem. W dodatku, choć ręce i stopy miały szponiaste, brakowało im broni. Bez wątplenia kobaloscypanie stworzyli dla nich specjalne uzbrojenie.

Przypuszczam, że samotny, uzbrojony i wyrosnięty zanti okazałby się znacznie groźniejszym przeciwnikiem.

Druga próbka zwierzęca

Eksperyment pierwszy

Drugą próbkę (podpisaną na stoju jako „Zingi”) umieściłam na pożywce identycznej jak pierwsza i ponownie zamknęłam w pentagramie, wzmocnionym zaklęciami maskowania i odstraszania.

Próbka zaczęła rosnąć natychmiast, choć nie zaszło jeszcze słońce. To sugerowało, że po wykluciu stwór będzie mógł funkcjonować za dnia, co czyniłoby go znacznie groźniejszym niż te z pierwszego doświadczenia. Okazało się, że słusznie zakładałam: stwory były aktywne przez całą dobę i nigdy nie zasypiały.

Z początku małe, nie zmieniały postaci mimo wielu kolejnych okresów nagłego wzrostu, które znów następowały po tym, jak pożerały się nawzajem.

Porastało je brązowe włosie, każdy miał sześć umięśnionych nóg o trzech stawach. Na cylindryczne ciała składały się trzy segmenty; z pierwszego sterczał długi, cienki kiel, pod nim otwierała się szeroka paszcza. Nie miały oczu ani nosów, musiały zatem odnajdywać ofiarę za pomocą innych zmysłów.

Pierwszy etap (wzajemne pożeranie) trwał, dopóki nie zostało ledwie pięć; na tym etapie każde z nich miało wzrost owcy, ale długością trzykrotnie ją przewyższało.

Teraz zaczęły szukać strawy gdzie indziej.

Zakłęcie odstraszające powinno było odpędzić każdą istotę próbującą podejść do pentagramu. Jednakże stwory (które nazwałam żądlakami) w jakiś sposób zdołały przywołać ofiary jeszcze większą mocą. Najpierw zjawiły się ptaki.

Wielka czarna wrona wylądowała na pentagramie, w którym tkwiły uwięzione żądlaki. Pierwszy stwór śmignął naprzód i wbił jej kiel w pierś; ptak natychmiast runął na ziemię. Kilka razy podkurczył nóżki, wstrząsany gwałtownymi konwulsjami. Pozostałe cztery stwory potrzebowały kilku sekund, by pożreć zdobycz. W ich okrągłych pyskach kryły się podwójne rzędy ostrych jak szpilki zębów, za pomocą których rozszarpały ptaka na strzępy.

Wrony, grzywacze, rybitwy, gęsi, kaczki i sroki spotkał podobny los. Żądlaki nie przywoływały mniejszych ptaków. Potem przyszła kolej na króliki, zające, i nawet sarny. Wszystkie zwierzęta, nie zważając na czar odstraszający, przekraczały pentagram, zmierzając na spotkanie śmierci.

Potem, przed zmierzchem, żądlaki dostrzegły mnie. Zebrały się na skraju pentagramu, kierując ku mnie swe ostre kły. Natychmiast przepętniło mnie nieznośne pragnienie wejścia do kręgu. Próbowaly wezwać mnie do siebie.

Byłam ich nową ofiarą.

Ich życzenie się nie spełniło. Tylko głupiec wchodzi do gawry niedźwiedzia, kiedy może go zabić z daleka. Odparłam zakłęcie przywołania, a potem, rzucając nożami, zabiłam całą piątkę. Okazało się to niełatwe.

Dopiero kiedy przeprowadziłam sekcję, odkryłam dlaczego. W każdym segmencie kryło się osobne serce, płuca, żołądek i tkanka mózgowa.

Eksperyment drugi

Odkrycia te zachęciły mnie do powtórzenia doświadczenia. Tym razem złapałam jednego z żądlaków wcześniej, gdy był nie większy od domowego kota. Usunęłam i spaliłam większą część segmentu, czekając na rezultaty.

Stało się tak, jak przypuszczałam: rana szybko przestała krwawić i po czterdziestu ośmiu godzinach brakujący segment odrósł.

W tym momencie ponownie zakończyłam doświadczenie.

Trzecia próbka zwierzęca

Trzecią próbkę zwierzęcą (podpisaną na słoju maga jako „Varteki”) umieściłam na tej samej pożywce i ponownie w pentagramie, wzmocnionym zaklęciami maskowania i odstraszenia, zniechęcającymi intruzów.

To nie wystarczyło. Wszystko szło nie tak.

Próbka natychmiast zaczęła się ruszać – tak szybko, że dostrzegłam tylko niewyraźną plamę. Stwory wkopały się w ziemię z prędkością niepozwalającą ich policzyć.

Spodziewałam się, że wkrótce wyjdą, tak jak podczas poprzednich doświadczeń. Ale tylko jeden wrócił na powierzchnię, nadal dość mały – nie większy od zająca. Zastanawiałam się, czy osiągnął już docelowy wzrost. Ostatecznie nie mógł dłużej pożerać pobratymców.

Vartek miał długie, rurkowate ciało, od góry pokryte czarnymi łuskami, krótką, cienką szyję i okrągłą głowę z wydłużoną szczęką, szerokim pyskiem i dwoma wylupiastymi oczami. Przypominał potwornego wija, z ciała wyrastało bowiem mnóstwo długich, patykowatych nóg.

Minęły trzy dni; każdej nocy stwór wkopywał się pod ziemię i powracał trzykrotnie większy. Obserwowałam go ze zdumieniem. Czym mógł się żywić, że rósł tak szybko? Zaniepokojona, postanowiłam uciec się do postrzegania – i całe szczęście, w przeciwnym razie w Hrabstwie doszłoby do wielu gwałtownych zgonów.

Miałam niecałą dobę, by przygotować się do tego, co przewidziałam. Zająłam właśnie pozycję obok drzew, gdy vartek wydostał się z ziemi poza granicą pentagramu. Kopał głęboko i najwyraźniej także przez skałę.

Rozmiarami przypominał teraz byka, tyle że pięć razy dłuższego, wierzę jednak, że nie osiągnął pełni wzrostu. W stanie spoczynku długim brzuchem dotykał ziemi; gdy się poruszał, prostował nogi i unosił się trzykrotnie wyżej. Kiedy otworzył paszczę, przekonałam się, że ma bardzo nietypowe zęby. Z górnej i dolnej szczęki wyrastały po trzy rzędy, a każdy z nich najwyraźniej mógł się poruszać niezależnie od innych; stwór mógł zmieniać kąt, pod jakim gryzł, a także wydłużać i skracać zęby.

Ścigając mnie w las, splunął naprzód kulą gęstej, brązowej cieczy. Uskoczyłam na bok i gdy płyn bryznął na ziemię, zaczął się gotować i parować, wydzielając chmurę gryzących oparów i wżerając się w rośliny i ziemię. Wówczas zrozumiałam, że połączenie kwaśnej śliny i ruchomych zębów pomagało stworzeniu kopać i że mogły mu służyć również jako broń.

Ale nie jedyna: nagle z grzbietu wynurzyły się trzy długie macki i pomknęły w powietrzu w moją stronę. Każdą kończył wyrastający z czubka ostry kawałek kości. Wbiegłam między drzewa, zwabiając varteka w stronę pospiesznie przygotowanej pułapki. Poprzednia wiedźma zabójczyni Malkinów, Kernolde, często korzystała z ukrytych jam wypełnionych zaostrzonymi palikami; teraz ja uczyniłam to samo. Przeskoczyłam nad długim dołem, a stwór wpadł do środka; paliki przebiły mu głowę i część ciała.

Potem musiałam zeskoczyć do jamy i pozbawić go życia. Okazało się to niełatwe, ale

zdołałam zabić varteka, nim ten się uwolnił. Łuski porastające górną część ciała były twarde, trudne do przebicia, ale podbrzusze miał miękkie. Wyłupiaste oczy także stanowiły doskonały cel.

Podczas sekcji odkryłam, że żywił się ziemią i kamieniami. Wciąż zastanawiam się, do jakich rozmiarów dorastał.

Oceniam, że te stwory, varteki, były najgroźniejsze z trzech zbadanych próbek. Możliwe jednak, że w pozostałych słojach kryje się coś jeszcze gorszego.

Nie wróży to dobrze w obliczu zbliżającego się konfliktu z Kobalosami.



GLOSARIUSZ ŚWIATA KOBALOSÓW

ORYGINALNIE NAPISANY PRZEZ NICHOLASA BROWNE'A,
Z ADNOTACJAMI TOMA WARDA I GRIMALKIN

Anchieta: ssak żyjący w norach, występujący w lasach północy na granicy śniegów. Kobalosi uważają go za przysmak i zjadają na surowo. Stworzenie nie ma zbyt wiele mięsa, oni jednak wprost przepadają za kośćmi jego łap.

Uzupełnienie: Próbowałam jeść te stworzenia (niewiele większe od zwykłych myszy) i z całą stanowczością wolę króliki. Jest ich jednak całe mnóstwo, łatwo dają się złapać i najlepiej smakują w postaci gulaszu. Po przyprawieniu odpowiednimi ziołami otrzymujemy całkiem znośny posiłek. – Grimalkin

Askana: to siedziba kobaloskich bogów. Prawdopodobnie inne określenie Mroku.

Intrygujące. Nicholas Browne mógł mieć rację, ale czy to możliwe, by kobaloscscy bogowie istnieli poza tym, co nazywamy Mrokiem? Cuchulain mieszkał w Wydrążonych Wzgórzach, do których można się dostać z Irlandii. One także nie stanowiły części Mroku. – Tom Ward

Baelicki: zwykły, codzienny język Kobalosów, używany jedynie w sytuacjach nieoficjalnych, w rodzinie bądź by okazać przyjaźń. Prawdziwy język Kobalosów to *losta*, posługują się nim także ludzie mieszkający na granicy ich terytoriów. Jeśli nieznajomy zwróci się do innego Kobalosa po *baelicku*, sugeruje to sympatię, ale czasami stanowi wstęp do „handlu”.

Balkai: pierwszy i najpotężniejszy z trzech kobaloskich wysokich magów, którzy stworzyli Triumwirat po zabójstwie króla i obecnie władają Valkarky.

Berserkerzy: kobaloscscy wojownicy, którzy poprzysięgli zginąć w walce.

Bindos: to kobaloskie prawo wymagające, by każdy obywatel co czterdzieści lat sprzedawał na targu niewolników co najmniej jedną *purrę*. Niedopełnienie tego prawa czyni go wyrzutkiem, odtrąconym przez współbraci.

Bosk: to oddech kobaloskiego maga, który potrafi wywoływać utratę świadomości, paraliż bądź grozę u ludzkiej ofiary. Magowie zmieniają właściwości bosku, odmieniając chemiczny skład swojego oddechu. Czasami służy też do zmiany nastroju zwierząt.

Uzupełnienie: Użyto go przeciwko mnie i natychmiast pozbawił mnie sił. Przeciwnik kompletnie mnie zaskoczył. Podczas walki należy zachować ostrożność i nie dopuszczać haizdana zbyt blisko. Być może szal zastaniący usta i nos okaże się skuteczną ochroną. Albo może woskowe zatyczki w nozdrzach.
Tom Ward

Bychon: kobalaska nazwa ducha, zwanego w Hrabstwie boginem.

Warto byłoby sprawdzić, czy owe boginy dzielą się na te same kategorie jak u nas w Hrabstwie, czy też występują tam zupełnie nowe odmiany. -Tom Ward

Chaal: substancja, za pomocą której haizdan panuje nad reakcjami ludzkiej ofiary.

Cougis: bóg o psiej głowie, którego czerwoną gwiazdę widać na niebie.

Cumular, Góry:

wysokie pasmo górskie wyznaczające północno-zachodnią granicę Półwyspu Południowego.

Dendarskie, Góry:

wysokie pasmo górskie, leżące jakieś siedemdziesiąt staj na północny zachód od Valkarky. U jego podnóża wzniesiono wielki Kulad, zwany Karpothą: sprowadza się tam i sprzedaje więcej niewolników niż we wszystkich innych fortecach łącznie.

Dexturai: kobaloscycy odmieńcy, zrodzeni z ludzkich kobiet. Stwory takie, choć z wyglądu przypominające ludzi, łatwo poddają się woli Kobalosów. Dysponują ogromną siłą i odpornością i często zostają potężnymi wojownikami.

Eblis: to najpotężniejszy z Shaiksa, kobaloskiego bractwa zabójców. Zabił ostatniego króla Valkarky z pomocą magicznej lancy, zwanej Kangadonem; uważa się, że ma ponad dwa tysiące lat i że nigdy nie został pokonany w boju. Bractwo określa go dwoma innymi mianami: Ten, Którego Nie Da Się Pokonać i Ten, Który Nigdy Nie Umrze.

Erestaba: równina Erestaba leży na północ od rzeki Shanna, na terytorium Kobalosów.

Fitzanda, uskok:

zwany też Wielkim Uskokiem, to obszar słynący z trzęsień ziemi, wyznaczający południową granicę ziem kobaloskich.

Uzupełnienie: Uskok ten leży na północ od rzeki Shanna, ale Browne twierdzi, że jedno i drugie wyznacza granicę między ziemiami Kobalosów i ludzi. Najpewniej podczas długoletniego konfliktu granica ta wiele razy się przesuwiała. - Grimalkin

Galena, Morze:

morze na północny wschód od Combesarke. Leży pomiędzy tym królestwem i Pennade.

Gannar, lodowiec:

wielka rzeka lodu, której źródło stanowią Góry Cumular.

Ghanbalsam: żywica z drzewa ghanbala, zbierana przez maga haizdana i służąca za podstawę maści takich jak chaal.

Ghanbala: liściaste drzewo z rodziny eukaliptusów, stanowiące ulubioną siedzibę kobaloskich magów haizdanów.

Haggenmiot: wojownicza istota wyhodowana z ciała ludzkiej kobiety. Jej zadanie to udział w rytualnych walkach. Składa się z trzech jaźni połączonych wspólnym umysłem, mimo swej odrębności stanowiących jedno stworzenie.

Haizda: to terytorium maga haizdana, gdzie poluje i pielęgnuje ludzi, którzy do niego należą. Wysysa z nich krew i od czasu do czasu kradnie dusze.

Haizdan: rzadka odmiana kobaloskiego maga, który zajmuje własne terytorium daleko od Valkarky, gromadząc mądrość z obszaru, jaki uznał za swój własny.

Handel: choć Kobalosi mają własną walutę, walkrony, często preferują bezpośrednią wymianę dóbr bądź usług, zwaną „handlem” lub „umową”. Dotrzymanie warunków podobnej umowy to kwestia honorowa, nawet gdyby oznaczało śmierć.

Homunkulus: małe stworzenie wyhodowane z purrai w zagrodach skleech. Często mają po kilka ciał, którymi kieruje wspólny umysł. Jednakże nie są one identyczne, każda spełnia wyspecjalizowane zadania i tylko jedna z nich włada językiem losta.

Uzupełnienie: W Valkarky poznałam homunkulusa, służącego Wijcowi. Ten, który umiał mówić, przypominał z wyglądu drobnego mężczyznę i odpowiadał bezpośrednio przed magiem; inny przyjął postać szczura i został posłany na przeszpiegi. Z łatwością podporządkowałam go swojej woli. Istniała też trzecia postać, która umiała latać, ale jej nie widziałam. Podobne stwory mogą posłużyć swoim panom do zdalnego zdobywania informacji na nasz temat. Trzy jaźnie homunkulusa łączy wspólny umysł (tak samo, jak u haggenmiota), dzięki temu wszystko, co widzi jedna z nich, natychmiast zostaje przekazane do Valkarky. – Grimalkin

Hybris: grzech pychy wobec bogów. Winni owego grzechu, który wielokrotnie popełniają mimo ostrzeżeń, zazwyczaj ściągają na siebie gniew bogów. Sama decyzja zostania magiem to przejaw hybris i niewielu przeżywa okres nowicjatu.

Hybuski: hybuski, powszechnie nazywany hybem, to szczególna odmiana wojownika stworzona i zatrudniana w walce przez Kobalosów. Stanowi hybrydę Kobalosa i konia, dysponuje też innymi atrybutami służącymi do walki. Górne ciało ma kudłate i muskularne, łączy w sobie niezwykłą siłę i szybkość, potrafi rozszarpać przeciwnika na strzępy. Dłonie także ma specjalnie przystosowane do walki.

Kangadon: Lanca, Której Nie Można Złamać, znana także jako Królobójca, potężna broń wykuta przez kobaloskich wysokich magów; choć niektórzy wierzą, iż jest dziełem ich boga kowala, Olkiego.

Uzupełnienie: Grimalkin wspomniała, że lancę tę złamał w końcu Wijec, haizdan, z którym zawiązała tymczasowy sojusz. Udało mu się tego dokonać za pomocą jednego ze sztyletów z głowami skeltów, Rębacza Kości. – Tom Ward

Karpotha: kulad u podnóża Gór Denderskich, w którym mieści się największy targ niewolników. Większość trafia tu wczesną wiosną.

Kartuna: kulad ten leży za rzeką Shanną. Sądzę, że tę właśnie wieżę odwiedził kiedyś haizdan, zwany Wijcem; uciekł stamtąd, zabiwszy ówczesnego Najwyższego Maga, Nunca. Uważam, że obecnie osiadł tam drugi najpotężniejszy mag z obecnego triumwiratu, porzuciwszy Valkarky. W wieży tej kryje się wiele jego magicznych przedmiotów.

Kashilowa: odzwierny Valkarky, który zezwala bądź odmawia wstępu do miasta. To wielki stwór o tysiącu odnóży, stworzony magią specjalnie do tego celu.

Kastarand: słowo to oznacza po kobalosku świętą wojnę, którą rozpętają, by pozbyć się z ziemi ludzkich istot, uważanych za potomków uciekinierów z niewoli. Nie rozpocznie się, póki nie narodzi się Talkus, kobalowski bóg.

Kirrhos: „płowa śmierć”, która spotyka ofiary haggenniota.

Kobaloska anatomia:

Kobalos ma dwa serca – większe mniej więcej w tym samym miejscu, co człowiek, i drugie, czterokrotnie mniejsze, u podstawy gardła. Jeśli nie da się obciąć głowy, należy przebić oba serca; inaczej umierający kobalowski wojownik pozostanie niebezpieczny.

Komnata Łupów:

skarbiec, w którym Triumwirat przechowuje przedmioty skonfiskowane mocą magii, siłą oręża bądź wyrokiem sądu. To najbezpieczniejsze miejsce w Valkarky.

Uzupełnienie: Aby odzyskać skradzione mi przedmioty, przedarłam się z powodzeniem przez ochronę owego, jak to nazywa Browne, „najbezpieczniejszego miejsca w Valkarky”. Okazało się to całkiem proste, ale być może dlatego, że Kobalosi nie mieli pojęcia o moich umiejętnościach, zarówno magicznych, jak i bojowych. Nie wątpię, że kiedy znów zapuszczę się do miasta, zabezpieczenia okażą się znacznie trudniejsze do pokonania. Dodatkowo narodziny ich boga Talkusa co najmniej potroiły moc wszystkich kobalowskich magów. – Grimalkin

Kontrruch: ruch w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara albo wędrówki słońca po niebie. Kobalosc magowie stosują go czasem, by narzucić kosmosowi swoją wolę. Pełen kontrruch, wiąże się z ogromnym ryzykiem.

Kulad: wieża obronna wzniesiona przez Kobalosów, strzegąca strategicznych miejsc na granicy ich terenów. Inne, leżące wewnątrz ich ziem, mieszczą w sobie targi niewolników.

Uzupełnienie: wiele kuladów zajęli także wysocy magowie. Mieszkają w nich i przechowują swoją magię i magiczne przedmioty. – Grimalkin

Lenklewth: drugi z trzech kobalowskich wysokich magów, tworzących Triumwirat.

Liga: odległość, którą w pięć minut pokonuje galopujący koń.

Losta: to język, którym posługują się wszyscy mieszkańcy Półwyspu Południowego, także Kobalosi, twierdzący, iż ludzie wykradli i zniekształcili ową mowę. Kobaloska wersja losty dysponuje słownikiem co najmniej o jedną trzecią większym niż ta ludzka, co może potwierdzać ich słowa. Z całą pewnością to anomalia lingwistyczna: dwa odmienne gatunki posługujące się wspólnym językiem.

Uzupełnienie: Mag, którego zabiłem nieopodal Chipenden, posługiwał się naszą mową, nie lostą. Grimalkin twierdzi, że kobalosc magowie mają wielki talent lingwistyczny i specjalnie uczą się języków odległych krain, szykując się do inwazji. – Tom Ward

Magowie: istnieje wiele rodzajów ludzkich magów: to samo dotyczy Kobalosów. Przybyszowi z zewnątrz jednak trudno jest ich opisać i podzielić. Nominalnie najwyższa ranga to wysoki mag; istnieje też odmiana magów zwana haizdanami, niepasująca do

hierarchii, są to bowiem samotnicy, żyjący na własnych terytoriach, z dala od Valkarky. Trudno opisać i ocenić ich moce.

Mandragora: korzeń podobny z kształtu do człowieka, czasami używany przez kobaloskich magów, by skupić moc drzemiącą w umyśle.

Meliann: trzeci z trzech kobaloskich wysokich magów, tworzących Triumwirat.

Uzupełnienie: Podczas mojej wizyty w Valkarky walczyłam z Meliannem i zabiłam go w Komnacie Łupów, próbując odzyskać mój dobytek. Nie wiem, kto go zastąpił. – Grimalkin

Nowicjat: pierwszy etap studiów podejmowanych przez haizdana, trwający około trzydziestu lat. Kandydat studiuje pod okiem jednego z najstarszych i najpotężniejszych magów. Jeśli z powodzeniem ukończy nowicjat, musi odejść, by samotnie uczyć się dalej i rozwijać swoje umiejętności.

Uzupełnienie: Przypuszczam, że haizdan, zabity niedaleko Chipenden przez Thomasa Warda, dopiero co ukończył nowicjat – i całe szczęście! Ktoś taki jak Wijec, którego poznałam w Valkarky, byłby o wiele groźniejszym przeciwnikiem. – Grimalkin

Oszer: substancja służąca za awaryjny pokarm dla koni, zrobiona z owsa nasączonego specjalnymi chemikaliami, które pozwalają jucznemu zwierzęciu przetrwać długą podróż: niestety, w rezultacie dochodzi do znaczącego skrócenia jego życia.

Olkie: to bóg kobaloskich kowali. Ma cztery ręce i zęby z mosiądzu. Kobalosi wierzą, że to on wykuł Kangadon, magiczną lancę, której ciosu nie da się odbić.

Oussa: elitarna gwardia, chroniąca Triumwirat i służąca mu. Jej członkowie strzegą też czasem grupy niewolników, prowadzone z Valkarky do kuladów na sprzedaż.

Dziwne, że Nicholas Browne nie wspomina o Polyzni, największym i najpotężniejszym z nich wszystkich. – Grimalkin

Polyznia: To największe i najmajętniejsze z północnych państw, graniczących z ziemiami Kobalosów. Armię ma niewielką, ale dobrze wyszkoloną, a łuczników i jazdę znakomitych. Rządzi nim książę Stanisław.

Północne Królestwa:

wspólna nazwa, którą obdarza się małe królestwa, takie jak Pwodente i Wayland, leżące na południe od Wielkiego Uskoku. Częściej określa się tym mianem wszystkie królestwa na północ od Shalloth i Serwentii.

Purra (l. mn. purrai):

określenie, oznaczające jedną z ludzkich niewolnic, hodowanych przez Kobalosów. Można je także stosować do kobiet z haizdy.

Salamandra: tulpa ognistego smoka.

Shaiksa: bractwo kobaloskich zawodowych zabójców. Jeśli jeden z nich zginie, honor nakazuje pozostałym ściganie jego pogromcy.

Grimalkin mówiła, że w chwili śmierci Shaiksa potrafi przestać ostatnią wiadomość swoim braciom, informując ich, jak zginął i kto za to odpowiada. Wówczas członkowie bractwa rozpoczynają łowy na zabójcę. – Tom Ward

Shakamure: sztuka magiczna haizdanów, czerpiąca moc z krwi ofiar i wypożyczonych dusz.

Shanna, rzeka:

Shanna wyznacza dawną granicę między Północnymi Królestwami i ziemiami Kobalosów. Obecnie Kobalosi osiedlają się często na południe od owej linii. Obie strony już dawno odrzuciły traktat, wytyczający granice.

Przed rytualnym wyzwaniem, rzuconym przez zabójcę Shaiksa, wszyscy kobaloscycy wojownicy wycofali się na swój brzeg rzeki. Jak dotąd nie znamy powodów, które nimi kierowały. Wiele kobaloskich zachowań wciąż pozostaje dla nas tajemnicą. – Grimalkin

Shatek (zwany też dzinnem):

wojownicza istota, złożona z trzech części, którymi kieruje wspólny umysł. Różni się od hagenmiota tym, że stworzono ją do walki w wojnach. Kilkanaście z nich zbuntowało się i nie podlega już władzy Kobalosów. Mieszkają z dala od Valkarky, siejąc śmierć i zniszczenie w okolicy swych nor.

Shudru: kobalaska nazwa surowej zimy, panującej w Północnych Królestwach.

Skaiium: czas, kiedy mag haizdan musi zmierzyć się z niebezpiecznym złagodzeniem swojej drapieżnej natury.

Skapien: mała sekretna grupka Kobalosów w Valkarky, sprzeciwiająca się handlowi purrai.

Skelt: stwór, który żyje nad wodą i zabija ofiary, wbijając im w ciało długi ryj w kształcie kościstej rurki wysysając krew. Kobalosi wierzą, że tę właśnie postać przybierze w chwili narodzin ich bóg, Talkus.

Skleech, zagrody:

zagrody w Valkarky, w których Kobalosi trzymają ludzkie niewolnice, służące im za pokarm i do hodowli nowych użytecznych hybryd.

Skutch: odmiana stworzeń, służących Kobalosom. Specjalizują się w oczyszczaniu ścian i sufitów w Valkarky z szybko porastających je grzybów.

Skoja: materiał, powstający w ciałach whoskorów, z którego zbudowano Valkarky.

Skulka: jadowity wąż wodny, którego ukąszenie wywołuje natychmiastowy paraliż. Często wykorzystywany przez kobaloskich zabójców, unieruchamia ofiarę, którą z łatwością można zabić. Jad skulki jest niewykrywalny we krwi ofiary.

Slarinda: kobiety Kobalosów. Wymarły ponad trzy tysiące lat temu. Zostały wymordowane z powodu kultu kobaloskich mężczyzn, nienawidzących kobiet. Teraz Kobalosi rodzą się z purrai, ludzkich kobiet, więzionych w zagrodach skleech.

Staja: odległość, którą galopujący koń pokonuje w pięć minut.

Talkus: bóg Kobalosów, który jeszcze się nie narodził. Po przyjściu na świat przybierze postać skelta. Imię Talkus oznacza Tego, Który Jeszcze Nie Nadszedł. Czasami określa się go też mianem Nienarodzonego.

Therskold: próg, który oznaczono słowem zakazu bądź bólu. To wyjątkowo niebezpieczny obszar haizdy, nawet ludzki mag bardzo ryzykuje, przekraczając podobny portal.

Uzupełnienie: Kiedy zbadałam kryjówkę haizdana niedaleko Chipenden, nie znalazłam żadnych barier, bez wątplenia dlatego, że Tom Ward zabił już maga. Jak dotąd zatem nie

zdołałam zbadać siły podobnych przeszkód. Nie potrafię orzec, czy bariery strzegące Komnaty Łupów stanowiły przykład therskoldu, czy też czegoś innego, ale przetamałam je bez trudu. – Grimalkin

Triumwirat: ciało rządzące Valkarky, złożone z trzech najpotężniejszych magów w mieście. Utworzone po tym, jak ostatni król Valkarky zginął z ręki Eblisa, zabójcy Shaiksa. W gruncie rzeczy to dyktatura, utrzymująca się u władzy bezwzględnymi metodami. W mieście nigdy nie brak kandydatów, gotowych zastąpić trzech członków Triumwiratu.

Tulpa: istota stworzona w umyśle maga, czasami przybierająca postać w świecie rzeczywistym.

Wiele podróżowałam i zgłębiałam ezoteryczne sztuki niezliczonych czarownic i magów, ale nigdy dotąd nie natknęłam się na nic podobnego. Czy kobaloscy magowie naprawdę to potrafią? Jeśli tak, tylko wyobraźnia może ograniczać tworzone przez nich istoty. – Grimalkin

Ulska: rzadka, śmiertelna kobaloska trucizna, która pali ofiarę od środka. Wydobywa się ją z gruczołów u podstawy szponów haggemniota. Wywołuje kirrhos, zwany „płową śmiercią”.

Unktus: pomniejszy kobaloski bóg, czczony jedynie przez najuboższych nędzarzy z miasta. Przedstawia się go w koronie z dwoma niewielkimi kręconymi rogami.

Valkarky: główne miasto i stolica Kobalosów, leżące tuż za Kołem Polarnym. Jego nazwa oznacza Miasto Skamieniałego Drzewa.

Vartek: to najpotężniejsza z trzech istot wyhodowanych przeze mnie z materiałów znalezionych w kryjówce haizdana.

Fakt, że potrafi przekopywać się przez warstwy skał oznacza, że może wyskoczyć z ziemi w samym sercu ludzkiej armii, budząc powszechną panikę. Ma trzy macki, zakończone kościanymi szpikulcami, niezwykle groźne zęby i umie pluć kwasem, który pali ciało i kości. Dzięki licznym nogom potrafi poruszać się bardzo szybko. Choć chronią go czarne łuski, uszy i podbrzusze, są wrażliwe na ciosy. Trudno orzec, jakie rozmiary osiąga dorosły vartek – może okazać się najgroźniejszym z bojowych stworów, jakie wypuszczą na nas Kobalosi. – Grimalkin

Walkron: mała moneta, często nazywana walk, używana na całym Półwyspie Południowym, zrobiona ze stopu złożonego w dziesiątej części ze srebra. Jeden walkron to dzienna zapłata zwykłego kobaloskiego żołnierza.

Whalakai: inaczej „wizja tego, co będzie”, to chwila percepcji, nawiedzająca zarówno wysokich magów, jak i haizdanów. To objawienie, które ukazuje im w jednym przeblysku całkowity obraz sytuacji, ze wszystkimi złożonymi niuansami, które do niej doprowadziły. Kobalosi wierzą, iż wizje te zsyła Talkus, Ten, Który Jeszcze Nie Nadszedł, i że mają doprowadzić do jego narodzin.

Whoskor: ogólna nazwa stworzeń, służących Kobalosom do niekończącej się rozbudowy miasta Valkarky. Mają szesnaście odnóży, z których osiem służy do kształtowania skoi,

miękkiego kamienia, który wydzielają z pysków.